

MEG CABOT

IDOL NASTOLATEK

Przekład

Edyta Jaczewska

Dla Benjamin

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

Moja macocha ciągle mi powtarza, że wszystko, co lubię, jest niemoralne i, jak tak dalej będzie, po śmierci pójdę do piekła. Uważa, że słuchanie rocka, czytanie fantasy i oglądanie MTV to grzech. Na okrągło mówi, że muzyka, książki i ludzie, których lubię, to wcielenie zła.

Szanuję jej poglądy, ale uważam, że ona też powinna szanować moje. Co o tym sądzisz, Annie?

Grzesznica

Droga Grzesznico,

Powiedz macosze, żeby wyluzowała. TY nie pójdziesz do piekła. Ty już w nim jesteś. A to piekło nazywa się szkoła średnia.

Annie

1

Byłam świadkiem porwania Betty Ann Mulvaney. Jak dwadzieścia trzy inne osoby, które miały łącinę na pierwszej lekcji w Liceum Clayton (ogółem tysiąc dwustu uczniów).

Ale, w przeciwieństwie do całej reszty, tylko ja zrobiłam coś, żeby temu zapobiec. W pewnym sensie. Odezwałam się:

- Kurt, co ty robisz?

Kurt przewrócił oczami i rzucił:

- Wyluzuj, Jen. To tylko dowcip.

Ale, widzicie, to wcale nie było zabawne. Kurt Schraeder zwinął Betty Ann z biurka pani Mulvaney, a potem wcisnął ją do swojego jansporta. Pasma włosów z żółtawej włóczki utkwiło między ząbkami suwaka. Kurt się nie przejął. Szarpnął zasunął plecak.

Powinnam dodać coś więcej. Na przykład: „Odłóż ją na miejsce, Kurt”.

Ale tego nie zrobiłam, bo... Wrócę do tego później. Poza tym wiedziałam, że to przegrana sprawa. Kurt już przybijał piątkę wszystkim swoim kumplom, mięśniakom, którzy siedzą w tylnych ławkach i chodzą na ten przedmiot (po raz drugi, bo mieli już łącinę w trzeciej klasie) w nadziei, że poprawią sobie ocenę z zaliczenia, a nie ze względu na szczególne umiłowanie kultury łacińskiej ani dlatego, że słyszeli, że pani Mulvaney jest znakomitą nauczycielką.

Kiedy po drugim dzwonku weszła pani Mulvaney z kubkiem parującej kawy w rękę. Kurt i jego kolesie ukryli wredne uśmieszki za ćwiczeniówkami *Paulus et Lucia*.

Jak co rano, pani Mulvaney zanuciła do nas: *Aurora interea miseris mortalibus almam extulerat lucem referens opera atque labores* (Co znaczy mniej więcej: „To kolejny beznadziejny poranek, a teraz zabierajmy się do pracy”), potem sięgnęła po kredę i kazała nam zapisać koniugację *gaudeo, gaudere* w czasie teraźniejszym.

Nawet nie zauważyła, że Betty Ann zniknęła.

A przynajmniej do trzeciej lekcji, kiedy łącinę ma moja najlepsza przyjaciółka Trina (to skrót od Catrina - ona zawsze twierdzi, że z charakteru w ogóle nie przypomina kotki, chociaż ja niezupełnie mogę się z tym zgodzić). Trina powiedziała, że pani Mulvaney była w połowie omawiania imiesłowu czasu przeszłego, kiedy zauważyła puste miejsce na swoim biurku.

Według Triny pani Mulvaney powiedziała zabawnym wysokim głosem:

- Betty Ann?

Do tej pory oczywiście cała szkoła wiedziała, że Kurt Schraeder upchnął Betty Ann w swojej szafce. Ale i tak nikt nie puścił pary z ust. A to dlatego. Że wszyscy lubią Kurta.

No, to nie do końca prawda. Ale ci, którzy Kurta nie lubią za bardzo się boją, żeby coś powiedzieć, bo Kurt jest przewodniczącym najstarszych klas i kapitanem drużyny futbolowej i mógłby ich zmiażdżyć jednym spojrzeniem, jak Magneto z X - Mena.

No niezupełnie, ale wiecie, o co mi chodzi. Przecież nie wchodzi się w drogę takiemu facetowi jak Kurt Schraeder. Jeśli chce porwać szmacianą lalkę nauczycielki, po prostu mu na to pozwalasz albo jesz drugie śniadanie samotnie, przed szkołą, przy maszynie flagowym, jak Cara Krowa. Chyba że wolisz obrywać po głowie kanapkami.

Kłopot w tym, że pani Mulvaney kocha swoją lalkę. Co roku pierwszego dnia szkoły ubiera ją w głupi kostium cheerleaderki Liceum Clayton, który jej zrobiła ze ścinków.

A na Halloween wkłada Betty Ann ubranko czarownicy, w komplecie ze spiczastym kapeluszem i małą miotłą. A potem, na Boże Narodzenie, przebiera Betty Ann za elfa. Jest też strój na Wielkanoc, ale pani Mulvaney mówi po prostu, że to wiosenna sukienka Betty Ann.

Lalka ma też kapelusz z kwiatami i koszyczek pełen prawdziwych jajek rudzika - prezent pewnie z lat osiemdziesiątych. Wtedy właśnie jakaś pradawna klasa maturalna sprezentowała pani Mulvaney Betty Ann.

Bo tak im było żal pani Mulvaney, która jest naprawdę bardzo, bardzo dobrą nauczycielką, ale nie ma własnych dzieci.

A przynajmniej tak się mówi. Nie wiem, czy to prawda, czy nie. Pomijając, że pani M. jest dobrą nauczycielką. Bo jest. No i to, że faktycznie nie ma własnych dzieci.

Ale cała reszta... Nie wiem.

Ale wiem, że oto właśnie zbliża się do końca mój trzeci rok w liceum - Betty Ann, zanim zniknęła, miała na sobie letni strój: ogrodniczki i słomkowy kapelusz, jak Huck Finn - a ja tu siedzę i zamartwiam się o nią. O głupią lalkę.

- Chyba nic jej nie zrobią co? - spytałam Trine trochę później tego samego dnia, w czasie próby chóru rewiowego.

Trina martwi się, że nie mam na świadectwie wystarczająco wielu zajęć nadobowiązkowych, bo nie lubię robić nic poza czytaniem. Więc mi zaproponowała, żebym razem z nią zapisała się do chóru rewiowego.

Tyle tylko, że Trina trochę przekręciła informacje o tym chórze rewiowym. Okazało się, że to wcale nie jakieś tam zajęcia pozalekcyjne, tylko wielka sprawa - musiałam przejść wstępne przesłuchanie. Nie jestem najlepszą śpiewaczką na świecie, ale oni akurat

potrzebowali altów i dostałam się. Bo właśnie śpiewam altem. Alty w zasadzie mruczą tylko la - la - la na jedną nutę, podczas gdy sopranicy ciągną wszystkie wysokie partie, ze słowami i melodią. Taki układ w sumie bardzo mi odpowiada. Mogę po prostu siedzieć sobie, odwalać la - la - la na jedną nutę i czytać przy tym książkę, bo Karen Sue Walters, sopranistka, która stoi na podium przede mną, ma niesamowicie wielką fryzurę i pan Hall, dyrygent Bardów - tak właśnie, nasz szkolny chór ma nawet własną nazwę - nie widzi, co robię.

Pan Hall każe wszystkim dziewczynom nosić staniki z wkładkami, żebyśmy miały „jednolity wygląd” podczas występów - to trochę nie w porządku, ale nieważne. To potem wygląda dobrze na świadectwie. To znaczy, uczestnictwo w chórze. Nie staniki.

Ale nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczę Trinie taniec. Poważnie. Musimy tańczyć, śpiewając... No, niezupełnie tańczyć, ale trochę machać rękami. A ja nie jestem największym specjalistą od machania rękami. Nie mam za grosz wyczucia rytmu...

Pan Hall uważa za stosowne wypominać mi to trzy razy dziennie.

- A co, jeśli oni jej obcięli ucho? - szepnęłam do Triny. Musiałam szeptać, bo pan Hall pracował z tenorami kilka rzędów dalej. Szykujemy się do wielkiego międzystanowego konkursu chórów rewiowych, w szkole, która nazywa się Bishop Luers, i pan Hall strasznie się tym przejmuje. Na przykład wrzeszczy na mnie za złe machanie rękami cztery albo nawet pięć razy dziennie, a nie jak zwykle trzy. - A potem wyślą je do pani M. z żądaniem okupu? Nie zrobią tego, prawda? Jak sadzisz? No bo to by było niszczenie cudzej własności.

- O mój Boże - powiedziała Trina. Jest pierwszym sopranem i siedzi obok Karen Sue Walters. Pierwsze sopranicy, jak zauważyłam, mają nieco przewrócone w głowie. Ale to chyba zrozumiałe, skoro muszą odwalać całą robotę, no wiecie, ciągnąć wszystkie wysokie nuty. - Weź ty się w garść, dobra? To tylko dowcip. Maturzyści co roku jakiś robią. Co się z tobą dzieje? Tamtą głupią kozą tak się nie zajmowałaś.

W zeszłym roku żart maturzystów polegał na tym, że wciągnęli kozę na dach Sali gimnastycznej. Nie bardzo rozumiem, co w tym miało być śmiesznego. Kozą mogła przecież doznać poważnych obrażeń.

- No, ale... - Przed oczyma cały czas miałam obraz włosów Betty Ann tkwiących w suwaku. - To jest strasznie nie w porządku. Pani Mulvaney kocha tę lalkę.

- I co z tego? - zapytała Trina. - To tylko lalka.

A właśnie że dla pani Mulvaney Betty Ann to coś więcej niż tylko lalka, jestem tego pewna.

W każdym razie cała ta sprawa tak mnie dręczyła, że po szkole, kiedy dotarłam do redakcji „Gazety” - szkolnego pisma, w którym pracuję prawie codziennie, i nie po to, żeby

mieć więcej zajęć nadobowiązkowych na świadectwie, ale dlatego, że to lubię - w czasie zebrania redakcyjnego wypaliłam, że ktoś powinien napisać artykuł o porwaniu Betty Ann Mulvaney.

- Artykuł - powtórzyła Geri Lynn Packard. - O lalce.

Przy tych słowach Geri Lynn potrząsnęła puszką dietetycznej coli. Geri Lynn lubi dietetyczną colę bez bąbelków, więc potrząsa puszką, dopóki gaz się nie ulotni, i dopiero pije. Osobiście uważam upodobanie do odgazowanych napojów gazowanych za lekkie dziwactwo, ale to wcale nie jest najdziwniejsza rzecz u Geri Lynn. Otóż ma ona jeszcze zwyczaj rysowania serduszka w kalendarzu za każdym razem, kiedy ze Scottem Bennettem, naczelnym „Gazety”, obściskują się w pokoju rekreacyjnym w suterenie domu jej rodziców. Żeby uwiecznić to zdarzenie.

Wiem o tym, bo raz mi pokazała swój kalendarz. Serduszko było chyba na każdej stronie.

W ogóle dziwne, że Geri i Scott są parą. Bo i ja, i chyba wszyscy z redakcji „Gazety” - nie wyłączając, jak podejrzewam, samej Geri - spodziewaliśmy się, że w tym roku szkolnym to Geri awansuje na naczelną. No bo Scott przecież przeprowadził się do Clayton dopiero zeszłego lata.

To znaczy, niezupełnie. On kiedyś tutaj mieszkał... Nawet byliśmy razem w piątej klasie podstawówki. Nie żebyśmy wtedy ze sobą rozmawiali, bo w tym wieku nie rozmawia się z przedstawicielami płci przeciwnej. A zresztą Scott nigdy nie był specjalnie rozmowny.

Ale on i ja wypożyczaliśmy te same „drętwe” książki ze szkolnej biblioteki. No wiecie, nie jakieś popularno naukowe czytała, żadne tam biografie Michaela Jordana czy *Domek na prerii*, ale książki SF albo fantasy, na przykład *Kroniki marsjańskie* albo *Fantastyczną podróż*. Bibliotekarka marszczyła brwi, wypisując kartę, a potem mówiła: „Jesteś pewna, kochanie, że chcesz wziąć te książki?”, bo one nie należały do lektur przewidzianych dla naszej grupy wiekowej.

Nie żebyśmy też kiedykolwiek o nich ze sobą dyskutowali. Po prostu wiem, że czytał te same książki co ja, tylko stąd, że ile razy niosłam je do wypisania, podpis Scotta widniał tuż nad moim na karcie bibliotecznej.

A potem rodzice Scotta się rozwiedli, a on wyjechał ze swoją mamą i nie widziałam go do ubiegłego lata, kiedy zespół redakcyjny „Gazety” przymusowo wysłano na sponsorowany przez szkołę wyjazd motywacyjny z naszym opiekunem, panem Shea, który kazał nam brać udział w grach na zaufanie, żebyśmy nauczyli się pracować zespołowo. Stałam sobie na parkingu i czekałam, aż będę mogła wsiąść do autobusu, który zatrzymał się

jakiś samochód, a z niego wysiadł - zgadnijcie kto?

Tak, Scott Bennett. Okazało się, że zdecydował się przez jakiś czas pomieszkać z tatą i podesłał wycinki ze swojej dawnej szkolnej gazety, a pan Shea włączył go do naszego zespołu redakcyjnego.

Scott był o metr wyższy i zrobił się totalnie umięśniony od czasu, kiedy miał jedenaście lat. Ale od razu poznałam, że to ten sam Scott. Bo z plecaka wystawał mu egzemplarz *Łowcy snów*, którego oczywiście sama zamierzałam przeczytać.

Poza tym Scott już nie był taki zamknięty w sobie. Pod koniec wyjazdu pan Shea poprosił go, żeby został redaktorem naczelnym, bo wykazał się imponującymi zdolnościami przywódczymi. Stworzył też świetny szkic w czasie sesji pisania na tematy dowolne - o tym, jak to był jedynym facetem na lekcjach gotowania, które musiał zaliczyć, kiedy narozrabiał w Milwaukee. Scott wpadł tam w jakieś tarapaty, miał chyba zadatki na młodocianego przestępcę, i władze kazały mu wziąć udział w eksperymentalnym programie dla trudnej młodzieży.

Dali mu wybór: warsztat samochodowy albo lekcje gotowania.

Scott okazał się jedynym facetem w historii programu, który wybrał gotowanie.

W każdym razie w tym szkicu Scott opisał, jak pierwszego dnia lekcji gotowania instruktorka pokazała im kabaczka i powiedziała: „Zrobimy z tego zupę”, a on pomyślał sobie, że jak wszyscy inni znani mu dorośli, jest potworną oszustką.

A potem rzeczywiście zrobili zupę z kabaczka, co raz na zawsze odmieniło życie Scotta. Już nigdy więcej nie popadł w tarapaty.

Stwierdził tylko, że został mu jeden problem. Od tamtej pory wiecznie ma ochotę coś ugotować.

Oczywiście szkic Scotta, dobry czy nie, pewnie by mu nie przyniósł stanowiska naczelnego redaktora „Gazety”, gdyby na wyjeździe motywacyjnym była Geri Lynn i mogła przypomnieć panu Shea - a niewątpliwie by to zrobiła, bo do nieśmiały nie należy - że powierzanie Scottowi tak ważnej funkcji jest nie fair. Geri była przecież w maturalnej klasie i zdążyła już zapracować na uznanie, a Scott chodził dopiero do drugiej klasy i ni stąd, ni zowąd pojawił się w Liceum Clayton.

Ale Geri zdecydowała się spędzić lato na obozie dla adeptów dziennikarstwa telewizyjnego w Kalifornii (tak, okazuje się, że istnieje coś takiego, a Geri Lynn całkiem nieźle umie się skumać z gwiazdami show - biznesu, bo zdołała nawet załatwić sobie stypendium na ten obóz), więc na wyjeździe motywacyjnym jej nie było.

Przyjęła jednak decyzję pana Shea ze sporym wdziękiem. Można to takich rzeczy uczyć

na obozach dla dziennikarzy telewizyjnych. No wiecie, jak z wdziękiem przyjmować porażkę. Na wyjeździe motywacyjnym niczego podobnego się nie nauczyliśmy - chociaż mieliśmy niezłą zabawę, nabijając się z pana Shea. Na przykład pan Shea kazał nam wykonać takie ćwiczenia na zaufanie, w których musieliśmy przeprowadzić cały zespół redakcyjny przez kłodę tkwiącą między dwoma drzewami, dwa metry nad ziemią, w środku lasu, tak żeby nikt nie został sam po drugiej stronie (czy ja już mówiłam, że te gry na zaufanie są naprawdę strasznie głupie?). Nie mieliśmy drabiny. Mogliśmy wykorzystywać tylko własne ręce, a wszystko dlatego, iż rzekomo waliła na nas potężna fala masła orzechowego.

Czy ja już mówiłam, że poczucie humoru pana Shea też jest bardzo, bardzo głupie??

W każdym razie wszyscy staliśmy tam i gapiliśmy się na pana Shea jak na idiotę, a on powiedział:

- No co? Nie uciekacie przed falą?

Na co Scott odparł beznamiętnie:

- W sumie, panie profesorze, będzie smaczna.

Wtedy zrozumieliśmy, że Scott ma wszelkie cechy potrzebne redaktorowi naczelnemu. Nawet Geri Lynn - kiedy na początku roku szkolnego połapała się, że straciła funkcję, na której tak bardzo jej zależało - chyba poznała się na ogromnych zdolnościach przywódczych Scotta. A przynajmniej pierwsze serduszko w jej kalendarzu pojawiło się zaledwie tydzień po rozpoczęciu semestru, więc chyba nie chowała do Scotta urazy.

- Moim zdaniem to świetny pomysł - posiedział Scott. No wiecie, żeby napisać artykuł o porwaniu Betty Ann. - To będzie zabawne. Moglibyśmy zrobić taki portret pamięciowy zaginionej, jak te, które wiszą na pocztach. I wyznaczyć w imieniu pani Mulvaney nagrodę.

Geri Lynn przestała potrząsać puszką coli. Kiedy puszka Geri przestaje chlupotać, to znak, że trzeba wiać i kryć się, Bo Geri ma temperament. Pewnie na obozach dla dziennikarzy telewizyjnych nie oferują żadnych szkoleń w zakresie trzymania nerwów na wodzy.

- W życiu nie słyszałam czegoś głupszego - parsknęła. - Nagrodę? Za zwrot lalki?

- Ale Betty Ann to nie jest zwyczajna lalka - odparował Scott. - To coś w rodzaju nieoficjalnej szkolnej maskotki.

Fakt, bo oficjalna szkolna maskotka jest strasznie debilna. Drużyny naszego liceum nazywają się Koguty z Clayton. Żalorny pomysł. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, skoro szkoła i tak przegrywa każdy mecz, niezależnie od dyscypliny sportu.

Ale powinniście zobaczyć kostium koguta! Prawdziwa żenada. O wiele większa, niż mieć maskotkę w postaci szmacianej lalki.

- Moim zdaniem Jen ma nosa - powiedział Scott, ignorując groźną minę Geri. -

Kwang, może napiszesz coś na ten temat?

Kwang pokiwał głową i zrobił notatkę w swoim palm pilocie. Ja nie podniosłam oczu znad notatnika z desperacką nadzieją, że Geri się na mnie nie wścieknie. Co prawda niw uważam Geri za swoją najlepszą przyjaciółkę, ale codziennie jemy razem obiad, a poza tym jesteśmy jedynymi dziewczynami w „Gazecie” (poza parą pierwszoklasistek, ale one się przecież w ogóle nie liczą) i Geri często mi się zwierza - na przykład z tymi serduszkami... Nie wspominając już o tym, że Scott naprawdę fenomenalnie całuje.

Ach, i o tym, że w niedzielę rano często piecze szarlotkę z kruszonką.

Uwielbiam szarlotkę z kruszonką. Ale Geri Lynn nie tknie jej nawet kijem. Twierdzi, że Scott zużywa kostkę masła do samej kruszonki, i na sam widok ciasta Geri czuje, jak blokują się jej tętnice.

A ponieważ Geri już była wściekła na Scotta, że zgodził się robić coś, co uznała za bzdurę, przydzielenie tematu Kwangowi tylko jeszcze ją rozwścieczyło.

- Na litość boską! - zawołała. - To był pomysł Jen. Czemu nie pozwolisz jej tego napisać? Czemu zawsze podkradasz jej pomysły, a potem dajesz je do napisania innym?

Ogarnęła mnie panika. Spojrzałam na Scotta ostrzegawczo.

Ale on ze stoickim spokojem odpowiedział:

- Jen ma za dużo roboty z układem graficznym.

- Skąd wiesz? - burknęła Geri. - Czy kiedykolwiek ją o to spytałeś?

Wtrąciłam się:

- Nie ma sprawy. Jestem zadowolona ze swojej roli w redakcji.

Geri parsknęła, jakby mi nie uwierzyła.

- Och, przestań.

Nie mogłam powiedzieć, że łamanie stron „Gazet” zupełnie mi odpowiada. A to dlatego, że robię dla pisma znacznie więcej.

Ale nikt nie może tego wiedzieć. Poza Scottem i kilkoma osobami z dyrekcji.

Bo w czasie letniego wyjazdu motywacyjnego zdarzyło się coś jeszcze. Pan Shea zapytał mnie, czy nie zechciałabym przyjąć jednej z najbardziej upragnionych - i owianych tajemnicą - posad w redakcji... Tej, która od lat tradycyjnie trafiała się komuś z maturzystów, ale pan She uznał, że ja się do niej szczególnie nadaję, chociaż jestem dopiero w drugiej klasie...

A ja się zgodziłam.

Przepraszam za jakieś błędy (jak będą), następnym razem rozdział drugi

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

ratunku] Kocham się w chłopaku, który nie ma pojęcia, że istnieję. Oczywiście, nigdy go nie spotkałam, bo mieszka strasznie daleko stąd i pracuje w przemyśle rozrywkowym. Ale i tak, kiedy go widzę na wielkim ekranie i patrzę w te niebieskie oczy, wiem, że jesteśmy bratnimi duszami. Czuję, że długo bez niego nie wytrzymam. Ale nie stać mnie na bilet lotniczy do Los Angeles. Poza tym nie miałabym się tam gdzie zatrzymać. Proszę, pomóż mi wymyślić jakiś sposób, żebym mogła spotkać się z ukochanym, zanim wyjedzie do Nowej Zelandii, gdzie będzie kręcił swój następny film.

Zalamana

Droga Zalamana,

między uwielbieniem a prześladowaniem kogoś jest cienka granica, a Twój list brzmi tak, jakbyś miała ją niedługo przekroczył. Daj sobie spokój z marzeniami i zacznij się koncentrować na tym, co ważne: na skończeniu szkoły i dostaniu się na studia.

Poza tym domyślam się, że mówisz o Luke'u Strikerze. Słyszałam, że on nadal nie doszedł do siebie po aferze z Angelique Tremaine. Więc daj sobie na wstrzymanie,

Annie

W sumie nie byłam zdziwiona, kiedy pan Shea poprosił mnie, żebym została nową Annie „Gazety”. To dlatego, że odkąd pamiętam, ludzie przychodzili do mnie ze swoimi problemami. Nie wiem dlaczego. Ja przecież nie mam ochoty wysłuchiwać zwierzeń o życiu miłosnym Geri i Scotta.

Ale najwyraźniej od urodzenia jestem skazana na rolę powiernicy całego świata. Poważnie. Kiedyś myślałam, że mam w środku jakiś dziwaczny magnes, bo gdziekolwiek się ruszyłam, jacyś obcy ludzie podchodzili do mnie, żeby opowiadać z detalami, na przykład o swojej kolekcji młotków albo o chorej fretce.

Ale nie chodzi tylko o przypadkowe obce osoby, jak się okazuje. Wszyscy to robią. Trina pierwsza domyśliła się dlaczego. Zbliżały się jej dwunaste urodziny i obie niedawno dostałyśmy pierwszy okres. Irina zdecydowała się zorganizować swoją imprezę urodzinową w wielkim parku wodnym. Tylko że w dniu imprezy zaczął się mi okres. A obie bałyśmy się tamponów (kiedy masz dwanaście lat, boisz się takich rzeczy; poza tym jeszcze nas wtedy nie oświeciło, żeby kupować te specjalne, dla nastolatek - „Łagodne jak płatki kwiatów i delikatnie różowe!” - i nadal usiłowałyśmy sobie wciskać te wielkie, superchłonne tampony naszych mam i pozwólcie, że wam to powiem - jakoś się w naszym przypadku nie sprawdzały). Więc nie miałam wyjścia i musiałam zostać w domu.

Irina, od której oczekiwałam współczucia, w ogóle mi go nie okazała. Powiedziała:

- A co mnie obchodzi, że ci się ta głupia podpaska wysunie spod kostiumu i odpłynie! Masz przyjść na moją imprezę! Musisz! Jesteś majonezem!

Nie wiedziałam, o czym ona mówi, Ale okazało się, że bardzo chętnie to wyjaśni.

- Bo dzięki tobie wszystko do wszystkiego pasuje - powiedziała mi przez telefon tamtego dnia. - Zupełnie jak majonez. Bez majonezu cała kanapka po prostu się rozpada. Moja impreza też się rozleci, jeśli na nią nie przyjdiesz.

I rzeczywiście tak było. Z jej imprezą. Elizabeth Gertz oskarżyła Kim Doss o papugowanie, bo obie pojawiły się w identycznych czerwonych kostiumach i uczesane we francuski warkocz, a Kim, żeby dowieść, że ma swoje własne pomysły, wepchnęła rywalkę na głębszą część basenu przy ujściu zjeżdżalni i Elizabeth wyszczerbiła sobie ząb na cementowym dnie.

Gdybym tam była, wkroczyłabym do akcji, zanim komuś stałoby się krzywda.

Więc, rozumiecie - to nie był dla mnie wielki szok, kiedy pan Shea wyznaczył mi

funkcję Annie. Bo osoba, która ją sprawuje, udziela dobrych rad tym, którzy piszą do „Gazety”. Co ciekawe, porady muszą być zaakceptowane przez szkolną pedagog, panią Kellog.

Co nie jest wcale takie proste. Bo pani Kellog to dziwadło. Ma kota na punkcie jogi, biorytmów i feng shui i ciągle chce, żebym tłumaczyła czytelnikom, że jeśli przesuną lustro w sypialni, tak żeby nie wisiało naprzeciwko okna albo drzwi, to przestaną tracić aż tak dużo karmicznej energii.

Nie żartuję. .

I to jest osoba, która rzekomo ma mi w przyszłości pomóc w wyborze uczelni. Strach się bać.

Ale pani Kellog i ja w sumie całkiem niezle się dogadujemy. Ja słucham, jak ona przynudza na temat diety makrobiotycznej, a ona zawsze zgadza się wypisać mi zwolnienie, żebym mogła się wymigać od siatkówki na wuefie.

W każdym razie, w tym całym *Spytaj Annie* chodzi o to, że tożsamość redakcyjnej doradczynie powinna być otoczona wielką tajemnicą, ponieważ Annie nie wolno faworyzować żadnych grup rówieśniczych, jak to nazywa pani Kellog. Na przykład nie może należeć do jakiejś konkretnej paczki, w przeciwnym razie czytelnicy uznają, że nie zrozumie problemów kogoś niepopularnego, takiego jak Cara Krowa, albo mięśniaka, takiego jak Kurt Schraeder.

Poza tym, wiecie, gdyby uczniowie wiedzieli, kim jest Annie, mogliby wcale do niej nie pisać, w obawie, że się domyśli, kto jest autorem listu, a potem to rozpowie. Ludzie zupełnie nie potrafią ukrywać własnej tożsamości, kiedy piszą do Annie. To znaczy, może nawet próbują, ale trafiają się takie osoby jak Trina, która wysyła list do Annie przynajmniej raz w miesiącu i opowiada o tym, co ją teraz gryzie (zwykle chodzi o problemy z Lukiem Strikerem, miłością jej życia). Trina nawet nie usiłuje zmieniać charakteru pisma czy posługiwać się fałszywym adresem e - mailowym.

Kolejnym uzasadnieniem anonimowości Annie jest właśnie to, że wielu powierza jej swoje najintymniejsze, najmroczniejsze sekrety.

Mam zatem w „Gazecie” tę odlotową posadę, ale nikomu nie mogę o niej powiedzieć. Nawet Trinie ani mamie - obie są największymi gadułami w całym stanie Indiana. Muszę po prostu robić swoje i wmawiać wszystkim, że powierzono mi szalenie istotne zadanie opracowywania szaty graficznej gazetki. Hura.

I nie ma sprawy. Ja się nie przejmuję.

Jest okay.

Tyle że wołałabym o tym powiedzieć Geri Lynn. Żeby wreszcie przestała uważać, że

Scott mnie wykorzystuje.

W każdym razie jako Annie jestem często wzywana do gabinetu pani Kellog. Wtedy zawsze pyta, czy ktoś napisał jakiś szczególnie niepokojący list czy e - mail.

Czasami to wiem. Czasami nie. Czasem jej mówię. Czasem nie. No bo trzeba szanować czyjeś prawo do prywatności, chyba że, no wiecie, ktoś ma autentycznego świra.

Na szczęście wystarczająco wiele osób chce, żeby pani Kellog i dyrekcja szkoły wiedzieli o ich problemach, więc starzy nie mają zbyt wiele czasu na wtykanie nosa w sprawy tych, którzy sobie tego nie życzą.

Weźmy choćby Carę Schlosburg. Tej pannie jest totalnie obojętne, czy cały świat dowie się o jej kłopotach, Cara pisze listy do Annie na tony. Odpowiadam na wszystkie, chociaż nie drukujemy ich w „Gazecie”, bo nawet gdybyśmy nie zamieścili nazwiska autorki (a podpisuje się zawsze), to i tak każdy by się domyślił. Typowy list wygląda tak:

Droga Annie,

wszyscy mówią na mnie Cara Krowa, chociaż nazywam się Cara Schlosburg, i naśladują, ryk krowy, kiedy ich mijam na korytarzu.

Proszę, pomóż mi, zanim zrobią coś strasznego.

Cara oczywiście jeszcze nigdy niczego strasznego nie zrobiła, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Kiedyś rozniosła się plotka, że się pocięła. Potem przez trzy dni nie było jej w szkole. Naprawdę się martwiłam, że podcięła sobie żyły. Więc poprosiłam mamę, żeby wy badała sytuację, bo z panią Schlosburg są w tej samej grupie wodnego aerobiku na miejscowym basenie.

Ale okazało się, że Cara sama sobie robiła w domu pedicure i ścięła za dużo skóry z pięt, więc przez jakiś czas nie mogła chodzić.

To właśnie typowy przykład tego, co się przytrafia Carze. Bardzo często.

Podobne historie skłaniają też moją mamę do takich uwag:

- Wiesz, Jen, pani Schlosburg naprawdę martwi się o swoją córkę. Mówi, że Cara bardzo się stara dopasować do grupy, ale nic jej z tego nie wychodzi. Rówieśnicy wciąż się z niej naśmiewają. Może wzięłabyś ją pod swoje skrzydła?

Oczywiście nie mogę powiedzieć mamie, że ja już wzięłam Carę pod swoje skrzydła. Jako Annie.

W każdym razie, kiedy zostałam wezwana do dyrekcji następnego dnia po tym, jak Kurt Schraeder porwał Betty Ann Mulvaney, uznałam, że to ma coś wspólnego z listem od Cary albo, na odmianę, z Betty Ann.

Bo chociaż pani Mulvaney zachowywała się jak zwykle, ignorując całą tę sprawę,

widać było, że w głębi duszy jest jej przykro.

Na przykład zauważyłam, że często spogląda na miejsce, gdzie zawsze na biurku siedziała Betty Ann.

I przed każdą lekcją wygłaszała przerywane chichotami oświadczenie, że jeśli porywacze po prostu zwrócą Betty Ann, nie będzie chowała urazy ani zadawała żadnych pytań. Nawet złapałam Kurta w stołówce i spytałam, czy ma zamiar napisać list z żądaniem okupu, bo doszłam do wniosku, że skoro pani Mulvaney uznaje to wszystko za żart, to może lepiej się po tym poczuje.

Ale Kurt rzucił tylko:

- Co? Jaki list?

Musiałam Kurtowi wyjaśnić, bardzo przystępnie, czym jest list z żądaniem okupu i że ten żart - skoro przecież właśnie o żart mu chodziło, jak założyłam - będzie jeszcze zabawniejszy. Pani Mulvaney otrzyma list z instrukcją. Będzie musiała na przykład odwołać pracę domową zadaną na weekend albo rozdać przed lekcją karmelki, co zagwarantuje bezpieczny powrót Betty Ann.

Kurtowi chyba naprawdę spodobał się ten pomysł. Zupełnie jakby nigdy wcześniej sam na to nie wpadł. On i jego kumple zaczęli przybijać sobie piątkę i wołać:

- Hej! Genialne, człowieku!

Trochę się zaniepokoiłam. No bo ci faceci nie należą do najbystrzejszych owieczek w stadzie. Nie miałam pojęcia, jak to się stało, że Kurta wybrano na przewodniczącego klas maturalnych, ale okazało się, że był jedyną osobą, której się chciało zgłosić swoją kandydaturę.

Więc, żeby się upewnić, czy w ogóle jeszcze mają Betty Ann, spytałam:

- Kurt, nie zrobiłeś chyba niczego głupiego? Na przykład nie wrzuciłeś Betty Ann do jakiegoś kamieniołomu, co?

Kurt spojrzał na mnie jak na wariatkę.

- Do diabła, nie - prychnął. - Nadal ją mam. To żart, kapujesz? Żart maturalny, Jen. Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

Nie chciałam, żeby Kurt sobie pomyślał, że nie uważam tego za rewelacyjny dowcip. Powiedziałam więc tylko:

- Tak, doskonały.

Potem złapałam swoje drugie śniadanie i uciekłam.

Więc rozumiecie, dlaczego po wezwaniu do dyrekcji byłam całkiem pewna, że albo Cara znów się zamknęła w jednej z kabin w toalecie, żeby się tam wypłakać, albo wezmą

mnie na męki w sprawie miejsca pobytu Betty Ann.

Tak czy inaczej, znalazłabym się w dość niezręcznej sytuacji. No bo nie mogę przecież brać strony dyrekcji w sprawie Betty Ann, mimo że moim zdaniem Kurt postąpił głupio i źle. Ale żart maturalny - nawet jeśli jest debilny - pozostaje żartem maturalnym. Tak jak z wieloma innymi rzeczami w szkole średniej - balem maturalnym i dopingiem przed meczami - krytyka jest źle widziana.

No więc wlokłam się do gabinetu pani Kellog, a po drodze składałam sobie obietnice, że nawet jeśli mnie będą torturować wizją pracy społecznej w sekretariacie przez całe lato, utrzymam język za zębami i nic im nie powiem o Betty Ann. Pani Kellog nie była sama, ale początkowo nie zwróciłam na to uwagi.

Siedział tam też dyrektor Lewis. I wicedyrektorka Lucille Thompson - Soczysta Lucy, jak wszyscy na nią mówią, co jest wredne, ale przewrotnie niezwykle trafne, bo bardziej zasuszonej, przypominającej patyk dyrektorki szkolnej niż Lucille Thompson nie sposób sobie w ogóle wyobrazić.

I był tam jeszcze jeden facet. W takim połyskliwym, szarym garniturze. Powinnam od razu zwrócić na niego uwagę - jaki na to, że przyjechał spoza Clayton, bo pod marynarką nie miał koszuli zapinanej na guziki tylko czarną bawełnianą koszulkę, a tak ubierają się ludzie w Kalifornii albo w Nowym Jorku, ale nie w Indianie - ale za bardzo się martwiłam tym, że zaraz mi się dostanie.

- Pani Kellog, proszę posłuchać - zaczęłam od razu, żeby mieć to jak najszybciej z głowy. - Jeśli chodzi o Betty Ann, to ja nic pani nie mogę powiedzieć. To znaczy, oczywiście widziałam wszystko. Ale nie mogę pani zdradzić, kto zabrał lalkę. Naprawdę nie mogę. Ale on mi obiecał, że Betty Ann nic się nie stanie, a ja się postaram, żeby została zwrócona w jednym kawałku. Tylko tyle mogę zrobić. Przykro mi...

I wtedy zauważyłam tego faceta w T - shircie. Nie wspominając już o doktorze Lewisie i Soczystej Lucy. Głos mi uwiązał w gardle.

Pani Kellog przysłała mi z odsieczą. Chyba się zorientowała, że uleciało ze mnie całe chi na widok doktora Lewisa, Soczystej Lucy i zupełnie nieznanego człowieka.

- Jen, tu nie chodzi o Betty Ann - powiedziała.

- Jeśli panna Greenley wie coś o tej lalce - wtrąciła się Soczysta Lucy z zatroskaną miną - to moim zdaniem powinna nam powiedzieć, Elaine. Pani Mulvaney było bardzo przykro, kiedy dziś rano nikt nie oddał lalki. Rozumiem, że skoro „Gazeta” robi na ten temat artykuł, to najwyraźniej członkowie redakcji coś wiedzą. Skandal, żeby z biurka ginęły rzeczy...

- Zostawmy tę lalkę, Lucillo - powiedział doktor Lewis. Miał na sobie koszulkę polo i spodnie khaki. Zauważyłam na nich plamy po trawie. Chyba go wezwano prosto z pola golfowego. Sprawa musiała więc być poważna. Z powodu byle błahostki nie odciąga się doktora Lewisa od golfa.

- Jane - powiedział - chcieliśmy ci przedstawić... - Jen - poprawiła go pani Kellog.

Tyle że nikt nigdy nie poprawia doktora Lewisa, więc zamrugął, jakby w ogóle nie rozumiał, o co jej chodzi.

- Jane - zaczął. - To jest John Mitchell. John, przedstawiam ci Jane Greenley.

- Jak się masz, Jane - powiedział pan Mitchell. Uścisnął mi rękę. - Miło cię poznać.

- Mnie też miło pana poznać - odparłam uprzejmie. Miałam dość spokojny głos, ale w głowie myśli wirowały mi jak na karuzeli. Co tu się dzieje? Kim jest ten facet? - zastanawiałam się gorączkowo, w jak poważne tarapaty się wpakowałam? Czy to miało coś wspólnego z tym, że w ankiecie napisałam, że chcę się specjalizować w obróbce skrawaniem? Ja naprawdę wtedy tylko żartowałam. Trina też. I czy to się skończy przed dzwonkiem? Bo mam tylko dwadzieścia pięć minut przerwy najedzenie.

- Jane - ciągnął doktor Lewis. - Dzięki panu Mitchellowi Liceum Clayton spotkał wielki zaszczyt. Ogromny zaszczyt.

- Też mi zaszczyt - parsknęła Soczysta Lucy.

Doktor Lewis rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, ale panna Thompson zlekceważyła wskazówkę. Zaczęła nawet stawiać opór.

- Nie oszukujmy się, Richardzie - powiedziała. - To śmieszne. Po co mamy zakłócać spokój naszych uczniów?

- Zależy nam, żeby spokój nie został zakłócony, panno Thompson - odparł pan Mitchell. - I oczywiście natychmiast się wycofamy, gdyby...

- Nic złego się nie stanie, Socz... To znaczy, Lucille - powiedziała pani Kellog. Ciągłe się myli, zwracając się do własnej przełożonej, od czasu kiedy wygadałam jej, jak wszyscy przezywają pannę Thompson. - W tym właśnie rzecz. Oni chcą to przeprowadzić tak gładko, jak tylko się da...

- No nie wiem, jak to sobie wyobrażają. - Wargi Socz... to znaczy panny Thompson, praktycznie znikły, tak mocno je zacisnęła. - One rzucają się na chłopaka, gdy tylko pojawi się w szkole. Te dziewczyny... Są zupełnie pozbawione samokontroli. Widzieliście, co włożyła dziś na siebie Courtney Deckard? Bluzkę z dekoltem niemal do pępka. Do szkoły! Kazałam jej zadzwonić do matki i poprosić, żeby przywiozła córcę na resztę dnia coś przyzwoitego.

Doktor Lewis i pani Kellog spojrzeli na pannę Thompson, jakby właśnie wysłała z

pomieszczenia cały zapas tlenu. I chyba to zrobiła, bo mnie samej aż zakręciło się w głowie.

- Zapewniam państwa, że nic takiego się nie stanie - powiedział pan Mitchell - Pan Striker zadba o to, żeby nie rzucać się w oczy. I będzie w przebraniu.

- W przebraniu. - Panna Thompson przewróciła oczami. - Och, to rzeczywiście wszystko zmienia.

- Będzie pani zaskoczona, ile mogą zdziałać zwykłe okulary - odparł pan Mitchell.

- Och - westchnęła Soczysta Lucy, unosząc ręce w bezradnym geście. - No tak, okulary. Czemu pan wcześniej nie powiedział. To na pewno zmyli dziewczyny.

- Przepraszam bardzo - wtrąciłam. Naprawdę chciałam się dowiedzieć, co jest grane. Wydawało się, że wcale nie chodzi o Carę ani o Betty Ann. Jeśli się nie przesłyszałam, to sprawa była związana z... - Powiedzieli państwo Luke Striker?

Pani Kellog uśmiechnęła się szeroko i zaczęła energicznie kiwać głową.

- Tak - powiedziała. - Tak, tak. Luke Striker. Przyjeżdża tutaj. Do Liceum Clayton.

Spojrzałam na nią jak na wariatkę. W sumie tak zwykle patrzę na panią Kellog. Bo generalnie uważam, że jest wariatką.

- Luke Striker - powtórzyłam. - Luke Striker, gwiazda *Pomóżcie nam niebios*?

A to był chyba najpopularniejszy serial telewizyjny w czasach, zanim jeszcze pojawiły się reality show. Obserwowałam, jak Luke Striker, który grał syna kaznodziei, dorasta na planie i robi się z roku na rok coraz seksowniejszy. W końcu odszedł z serialu, żeby robić karierę filmową poza telewizją i udało mu się dostać rolę Tarzana w ostatniej ekranizacji, w której pokazał się całkiem...

No, nago.

Potem zagrał Lancelota w najnowszym filmie o rycerzach Okrągłego Stołu...

I w sumie w obu filmach całkiem nieźle wypadł. Przynajmniej zdaniem zagorzałych fanek, takich jak Trina.

Fankom jednak nie za bardzo podobało się to, co się działo w życiu prywatnym Luke'a Strikera. Chodziły plotki - według Triny, która mówiła o tym *ad nauseam** przez całą zimę - że; Luke wdał się w burzliwy romans ze swoją partnerką z planu *Lancelota i Ginewry*, Angeliqwe Tremaine. Podobno nawet wytatuowali sobie na bicepsach imię partnera w ramach przysięgi wierności. No wiecie, zamiast obrączek ślubnych.

Tylko że Angeliqwe nie dotrzymała swojej części umowy, bo niecałe pół roku temu wyszła za mąż za francuskiego reżysera filmowego, dwa razy od niej starszego. Trina skakała z radości - chociaż, oczywiście, bardzo jej było żal Luke'a. Teraz jednak był wolny -

* *ad nauseam* (łac.) - aż do znudzenia (przyp. red.).

załamany, zdaniem brukowców, ale wolny. Więc może się zakochać w Trinie.

I oto Luke Striker, gwiazda srebrnego ekranu i porzucony kochanek, przyjeżdża do Clayton w stanie Indiana.

- W swoim kolejnym filmie został obsadzony w roli maturzysty ze Środkowego Zachodu - wyjaśniał uprzejmie pan Mitchell. - Fascynująca opowieść o miłości i zdradzie, osadzona w samym sercu „stanu twardych ludzi”. Ponieważ Luke dorastał w Los Angeles - rozumieją państwo, zaczął grać w *Pomóżcie nam niebiosy*, kiedy miał zaledwie siedem lat - czuje, że powinien zanurzyć się w atmosferze szkoły średniej z Indiany, żeby na ekranie wypaść przekonująco...

- Czy to nie wspaniałe? - pisnęła pani Kellog z roziskrzonym wzrokiem. - Kto mógł przypuszczać, że jest prawdziwym artystą, tak oddanym swojej sztuce?

Hm, ja tam bym nie przypuszczała. No bo z pewnością trudno było się czegoś takiego domyślić po tej jego reklamie, którą ostatnio pokazywano.

- Więc... - Przenosiłam spojrzenie z pana Mitchella na panią Kellog i z powrotem - Luke Striker przyjeżdża do Clayton?

- Tylko na dwa tygodnie - wyjaśnił pan Mitchell. - Żeby przygotować się do nowej roli. I wyraźnie sobie zażyczył - a raczej, studio filmowe sobie wyraźnie zażyczyło - żeby jego prawdziwa tożsamość została utrzymana w ścisłym sekrecie. Luke uważa, że nie będzie mógł doświadczyć autentycznej szkolnej atmosfery, jeśli będą się za nim uganiać hordy wielbicielek.

- I pomyśleliśmy sobie, że pomożesz nam z tego wybrnąć, Jen - wtrąciła radośnie pani Kellog, nadal z błyskiem w oku. - Planujemy przedstawiać pana Strikera jako Lucasa Smitha, ucznia, który został do nas przeniesiony.

- Aha... - mruknęłam. Teraz, kiedy wiedziałam, że nie Jestem tu po to, żeby bronić Cary ani wyjaśnić tajemnicę porwania Betty Ann, słuchałam tylko jednym uchem. Po pierwsze dlatego, że nie mam kota na punkcie gwiazd filmu Jak, powiedzmy, Trina, a po drugie, spóźniałam się na próbę Bardów. Pan Hall będzie się złościł. Nie dlatego, że stanowiłam główny filar chóru, ale dlatego, że powinnam jeszcze popracować nad machaniem rękami przed Luers, konkursem chórów rewiowych, w którym mamy wystąpić w przyszłym tygodniu. Najwyraźniej nadal nie mam odpowiednio Jazzowych” rąk.

- Więc zasugerowaliśmy panu Mitchellowi, Jen - ciągnęła pani Kellog - że... No cóż, ponieważ jesteś osobą, która nigdy nie zdradza sekretów, i wiemy, że możemy na ciebie liczyć... Uznaliśmy, że powinnaś zostać opiekunką Luke'a. Wiesz, że wyznaczamy przeniesionym do nas uczniom opiekuna, który się nimi zajmuje w pierwszych dniach. Więc

Luke towarzyszyłby ci na lekcjach. Pokażesz mu, jak wszystko działa, że się tak wyrażę. Będziesz odpowiadać na jego pytania, może pomożesz zmylić tych, którzy staną się zbyt dociekliwi...

Wtedy on, rozumiesz, nasiąkłby atmosferą naszego liceum, a przy tym pozostałby nierozpoznany. Co o tym sądzisz?

Szczerze? Totalna bzdura. Czy oni naprawdę wierzyli, że nikt nie zauważy, że ten nowy facet wygląda dokładnie jak Luke Striker? Uważali, że imię i nazwisko Lucas Smith zmyli kogokolwiek - a zwłaszcza kogoś takiego jak Trina, która faceta uwielbia? Stwierdziłam, że pan Mitchell, dyrekcja i sam Luke Striker zupełnie nie doceniają inteligencji moich kolegów z Liceum Clayton.

Ale co tam, nie pierwszy raz.

Wzruszyłam ramionami. Co miałam powiedzieć? Ze się nie zgadzam?

- Jasne - powiedziałam. - Dobrze. Nie ma sprawy.

Pani Kellog uśmiechnęła się z zadowoleniem i rzuciła triumfujące spojrzenie Soczystej Lucy. To znaczy, pannie Thompson.

- Widzicie? - powiedziała. - Mówiłam wam. Zawsze można liczyć na Jen. Ona nigdy nie robi zbędnego zamieszania.

I to jest totalna prawda.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

zwierzam się mojej najlepszej przyjaciółce ze Wszystkiego. Opowiadam, co mi się śniło. Ale ona nigdy się przede mną nie otwiera - nawet w ważnych sprawach. Nie mówi, kogo lubi i tak dalej. Naprawdę mam wrażenie, że nie łączy nas szczerą relacją, na jakiej mi zależy. Co zrobić, żeby przyjaciółka zrozumiała, że może mi spokojnie zaufać?

Zaniedbywana

Droga Zaniedbywana,

może Twoja przyjaciółka nie ma Ci się z czego zwierzać. Ty ewidentnie uważasz swoje sny za pasjonujące, ale nie każdy musi myśleć podobnie. Może ona po prostu usiłuje nie zanudzać wszystkich wokół. Czemu jej się nie zrewanżujesz tym samym?

Annie

Pan Mitchell powiedział, że muszę mieć zgodę rodziców. Bo jestem niepełnoletnia. Nie do końca to rozumiem, bo przecież my z Lukiem nie będziemy się umawiać na randki. Ja mu tylko pokażę, gdzie jest sala gimnastyczna, i uprzedzę, żeby nie jadł glazurowanych marchewek w stołówce. No, nieważne.

Pan Mitchell zaproponował, że sam porozmawia z moimi rodzicami - ale ja mu powiedziałam, że lepiej nie. Wiedziałam, że jeśli on to zaczynie załatwiać, rodzice rozdmuchają sprawę do niebotycznych rozmiarów. Lepiej zachować tajemnicę, jak z tą rubryką *Spytaj Annie*.

Zaczekałam i zajęłam się tym dopiero po obiedzie, kiedy moi bracia poszli odrabiać lekcje. Mam dwóch młodszych braci - Cala i Ricka, w drugiej gimnazjum i w szóstej klasie podstawówki. Cal jest zapalonym sportowcem - uprawia każdy sport poza futbolem, na który nie pozwala mu mama, bo uważa, że to zbyt niebezpieczne. A życiowym celem Cala jest praca w organach ochrony porządku publicznego, a już najlepiej w brygadach antyterrorystycznych. Rick natomiast nienawidzi sportu. Pragnie już teraz zacząć karierę gwiazdy filmowej, jak kiedyś Luke Striker. Nie rozumie, dlaczego rodzice nie chcą mu zatrudnić agenta. Usiłowali wyjaśniać, że w Clayton w stanie Indiana nie ma agentów, ale Ricka to nie rusza. Mówi, że czas ucieka i niedługo nie będzie już taki uroczy, więc niech go ktoś wreszcie odkryje, im szybciej, tym lepiej.

Tak jak ja, moi bracia dogadują się w zasadzie z każdym... Nawet ze mną i ze sobą nawzajem, pomijając sporadyczne awantury o pilota od telewizora albo ostatnie czekoladowo - karmelowe ciastko.

Ale i tak uznałam, że lepiej pozostawić ich w nieświadomości co do tej sprawy z Lukiem Strikerem, bo trzymanie języka za zębami może im się nie udać. Cal nadal ma przecież starą figurkę Luke'a Strikera - alias Tarzana. A Rick pewnie usiłowałby od Luke'a wydobyć telefon do jego agenta.

O sprawie wspomniałam zupełnie mimochodem: „Wiecie, taki jeden aktor przyjeżdża do naszego miasta, żeby się przygotować do roli i dyrekcja chce, żebym się nim zajęła w szkole i nie dopuszczała do niego paparazzich...” Rodzice w zasadzie wzruszyli ramionami na tę nowinę. Tata wprawdzie przeraził się, ale tylko na moment - i to zupełnie z innego powodu, niż początkowo myślałam.

- Ale on się u nas nie zatrzyma, prawda? - spytał, zerkając znad „Dziennika Clayton”,

gazety, która ukazuje się po południu, a nie rano, żeby reporterzy nie musieli zbyt wcześnie wstawać do pracy. Clayton to naprawdę małe miasteczko. Czy ja już o tym wspominałam?

- Nie - uspokoiłam go. - Wynajął willę nad jeziorem.

- Dzięki Bogu - odetchnął i znów zniknął za gazetą. Tata nie cierpi, jak goście u nas nocują.

- Jak się nazywa ten chłopiec? - dopytywała mama.

- Luke Striker - powtórzyłam. - Kiedyś występował w *Pomóżcie nam niebiosą*. Grał najstarszego syna.

Mama się uśmiechnęła.

- Ach, ten słodki blondynek?

Ciekawe, czy mama nadal uważałaby, że Luke jest słodki, gdyby widziała go w scenie na lagunie z *Tarzana*. Tej, w której niby przypadkiem przesunęła mu się przepaska biodrowa, co sprawiło w szalony zachwytny Jane - i Trinę.

- Tak, ten - potwierdziłam.

- No cóż - powiedziała mama, wracając do szkicownika. - Mam nadzieję, że się w nim nie zadurzysz. Bo wiesz, on mieszka kawał drogi stąd, w Hollywood. Wątpię, żebyście mogli często się widywać, kiedy już stąd wyjedzie.

- Nie ma obawy, mamó - powiedziałam, myśląc o tatuażach i przysięgach wierności. - Luke Striker to nie mój typ.

- Jak nie ty, to Trina - powiedziała mama. - Wiesz, jaka ona jest.

- Tak - mruknęłam. Dobrze znałam Trinę. - Ale on przez cały czas w szkole ma nosić okulary. Żeby nikt go nie rozpoznał.

- To absurd - wybuchnęła mama.

- A niby czemu? - Tata otworzył gazetę na stronach obrotu nieruchomości. Jest architektem i lubi sprawdzać, jakie domy pojawiają się co tydzień w ofercie sprzedaży. - W przypadku Clarka Kenta podziało.

I tak po wypełnieniu obowiązków rodzinnych poszłam na górę do swojego pokoju zająć się własnymi lekcjami. Włączyłam komputer i ściągnęłam masę e - maili, głównie od Triny. Mimo że mieszka tuż obok, częściej piszemy do siebie maile, niż gadamy przez telefon... Właściwie nawet częściej, niż się widzimy. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że po szkole zwykle tkwimy w domach. W Clayton nie ma znów tak wielu miejsc, dokąd można by pójść po zajęciach. Przy tym ja wiecznie coś czytam, a Trina przygotowuje się do kolejnych ról teatralnych.

W zasadzie da się nawet słyszeć, jak je powtarza w swoim pokoju, bo nasze domy

stoją zaledwie jakieś trzydzieści metrów od siebie. Trina ma to, co pan Hall nazywa niezwykle mocną przeponą, która jej umożliwia wyjątkowo silną emisję głosu. Dostaje główne role niemal we wszystkich sztukach wystawianych w Liceum Clayton, więc chyba ma spore szanse na karierę aktorską. Planuje dostać się do szkoły teatralnej w Yale, jak jej idolka Meryl Streep. A potem, mówi, weźmie szturmem Broadway. Trina zupełnie nie interesuje się aktorstwem filmowym. Mówi, że kontakt między artystą a widownią w czasie przedstawienia na żywo jest narkotykiem, od którego się już uzależniła.

Hej, a gdzie ty znikłaś w czasie próby chóru, pisała Trina. W Internecie używa, jak się można spodziewać, nicka DramaQueen. La Hall omal nie dostał apopleksji, że cię tak długo nie ma.

Całkiem się już przyzwyczaiłam, że okłamuję Trinę odnośnie *Spytaj Annie* - raz kiedyś bez ogródek posądziła mnie, że piszę tę rubrykę. To było wtedy, kiedy „Gazeta” wydrukowała list od dzieciaka, który twierdził, że nijak nie może się obudzić, jeśli nie wypije sześciopaką dietetycznej coli, a z kolei wieczorem musi połknąć co najmniej ze cztery środki nasenne, żeby w ogóle zmrużyć oko. Moja odpowiedź: „No to przestań pić tyle napojów gazowanych z kofeiną”, była najwyraźniej tak „w stylu Jen” - przynajmniej według Triny - że o mało nie zostałam zdemaskowana.

Więc bez większego oporu odpisałam:

JennyG: Och, znów problemy z Carą i jej krowami. A co mnie ominęło?

DramaQueen: Na tę dziewczynę chyba nikt nie zwraca uwagi w domu. No bo tak się narzuca w szkole? W każdym razie żałuj, że cię nie było. La Hall pokazał nam sukienki, jakie mamy sobie podobno zamówić na występ w Luers. Lepiej usiądź. Są czerwone, z cekinową błyskawicą z przodu.

Coś okropnego. Biorąc pod uwagę, że ja mam to na sobie włożyć.

JennyG: Łżesz.

DramaQueen: *Au contraire, mon frère**. Poza tym nie ma w niej ani jednej nitki włókna naturalnie występującego w przyrodzie oraz kosztuje sto osiemdziesiąt doliców.

JennyG: *Verberat nos et lacerat fortuna!**

DramaQueen: Dokładnie tak. Faceci mają dobrze. Wystarczy, że sobie sprawią czerwone chusteczki do butonierek i muszki do smokingów. W sobotę organizujemy „myjnię samochodów”, żeby zbierać pieniądze dla tych dziewczyn, które fortuna pokrzywdziła. Zapisałam cię na zmianę od 12.00 do 14 - 00. Stwierdziłam, że przynajmniej trochę przy tej robocie popracujemy nad opalenizną. Pod warunkiem, że nie będzie padać.

JennyG: Wiesz co? Jakoś zapomniałaś wspomnieć, kiedy się zapisywałam do chóru, że powoli, ale nieubłaganie te zajęcia zaczną pożerać moje życie towarzyskie.

DramaQueen: Tak jakbyś miała coś lepszego do roboty.

Smutne, ale prawdziwe. Ja rzeczywiście nie mam nic lepszego do roboty. No ale

* *Au contraire, mon frère* (fr.) - wręcz przeciwnie, mój bracie. Tu chodzi o zachowanie rymu, co w wolnym tłumaczeniu mogłoby brzmieć: Nic z tego, kolego (przyp. red.).

* *Verberat nos et lacerat fortuna!* (łac.) - Nękać nas i trwonią fortunę (przyp. red.).

mimo wszystko...

JennyG: Sto osiemdziesiąt dolców? Za sukienkę, której nigdy nie włożę po raz drugi? To śmieszne.

DramaQueen: Tak już bywa w show - biznesie.

JennyG: A ja uważałam, że staniki z wkładkami to przegięcie...

DramaQueen: No tak. Ale wiesz co? Steve zaprosił mnie na Wiosenne Szaleństwo.

Steve McKnight to chłopiec - zabawka Triny. Śpiewa barytonem w Bardach i grał Henryka II, kiedy Trina grała Eleonorę Akwitańską w wystawionej przez Klub Dramatyczny adaptacji *Lwa w zimie*. Steve grał także Beauregarda, kiedy Trina była Ciocią Marne. Romea, kiedy ona grała Julię, i tak dalej. Trina nie darzy go płomiennym uczuciem - czeka na Luke'a Strikera - ale skoro jest od niej wyższy i zakochany do szaleństwa, pozwala mu się zapraszać na randki. W ten sposób udaje jej się obejrzeć wszystkie nowe filmy. Za darmo.

Trina ma nędzne morale, ale i tak ją lubię. Jednak wkurzam się, kiedy Steve'a rzuca - a robi to niemal za każdym razem, kiedy zaprosi ją na randkę ktoś inny - bo Steve zawsze wtedy leci do mnie i dopytuje się, czym ją mógł urazić.

Ucieszyłam się, że wybiorą się razem na wiosenny bal - zwany także Wiosennym Szaleństwem. Dla Steve'a to by dużo znaczyło. A potem Trina mogłaby mi opowiedzieć, jak było. Skoro sama się nijak nie dowiem, bo nikt mnie jeszcze nie zaprosił i raczej nie zaprosi.

JennyG: Szczęściara.

DramaQueen: Czemu nie znajdziesz sobie jakiegoś faceta na tę imprezę?

JennyG: Ależ nie ma sprawy. Sprawdzę tylko... Ach, no cóż, przykro mi, ale w tym tygodniu nikt się we mnie nie kocha.

DramaQueen: To dlatego, że jesteś zbyt miła dla wszystkich.

JennyG: jasne. Bo większość facetów szuka dla siebie rozchwianej emocjonalnie żony.

DramaQueen: Mówię serio. Traktujesz każdego faceta tak samo. Więc skąd oni mają wiedzieć, czy uważasz ich tylko za kolegów, czy za potencjalnych *amor*. Na pewno dlatego nikt cię nigdy nie zaprosił na randkę. No bo przecież nie jesteś brzydka.

JennyG: Hej, dzięki za dobre słowo. Jak miło.

W gruncie rzeczy wiem, że nie jestem brzydka. No może do topmodelki mi daleko, ale na moją korzyść przemawia wygląd typowej „dziewczyny z sąsiedztwa”. Wiecie: brązowe włosy, piwne oczy, piegi - pełen pakiet. W sumie aż mnie od tego mdli. Ale próbuję to nadrobić i grzywka już mi odrasta.

DramaQueen: Och, przestań. Mogłaś mieć Scotta Bennetta, ale to schrzaniłaś.

Trina ma cudaczny pogląd, jakoby Scott Bennett był dla mnie idealnym facetem. Rzeczywiście, kiedy wróciłam z wyjazdu motywacyjnego „Gazety”, dużo o Scotcie mówiłam. Ale to tylko dlatego, że świetnie się tam bawiliśmy. Na przykład wieczorami

siedzieliśmy obok siebie przy ognisku i spieraliśmy się, czy film *Pamięć absolutna* oddawał sprawiedliwość opowiadaniu Philipa K. Dicka, na którego podstawie został nakręcony, albo czy prawdziwym ojcem science fiction był H.G. Wells czy Isaac Asimov.

I być może wspominałam jej, jak w drodze powrotnej mieliśmy postój na obiad w Outback Steakhouse, a Scott ciągle zwracał się do kelnerki po imieniu. No wiecie, miała imię wypisane na identyfikatorze. Mówił do niej: „Co byś nam poleciła, Rhondo?”, albo: „Dzięki za dolewkę kawy, Rhondo”. Nie wiem czemu, ale zupełnie nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. W pewnym momencie śmiałam się tak bardzo, że o mało się nie zakrztusiłam i Kwang musiał mnie walić po plecach.

Ale chyba Trina zaczęła naprawdę uważać, że Scott to dla mnie świetna partia, kiedy opowiedziałam jej o kłodzie. Tej między dwoma drzewami, po której musieliśmy wszyscy przejść, żeby nas nie pochłonęła fala masła orzechowego. I nie chodziło o ten żart Scotta - „W sumie, panie profesorze, będzie smaczna” - ale o to, jak Scott i ja jako ostatni mieliśmy wykonać zadanie, a on mnie uniósł, żebym mogła się złapać kłody i wciągnąć na górę.

Pewnie wspomniałam Trinie, że Scott podniósł mnie zupełnie bez wysiłku, jakbym nic nie ważyła. I że wtedy zwróciłam uwagę na jego wspaniale napięte bicepsy. I na to, że przyjemnie pachniał. I ręce miał jakieś takie... No, wiecie. Duże. I mocne.

To był błąd, że powiedziałam o tym Trinie. Natychmiast stwierdziła, że ja Scotta lubię - tak wyjątkowo - i zaczęła mi zawracać głowę, żebym go zaprosiła na randkę. Do kina, czy gdzieś. Uznała, że jesteśmy sobie przeznaczeni i jeśli ja go nie zaproszę, to nigdy nie zostaniemy parą, bo on nadal będzie myślał, że go lubię wyłącznie jak przyjaciela, bo tak właśnie traktuję wszystkich chłopaków, nie będąc flirtiarą, jak ona.

To śmieszne, co Trina wygaduje, bo wszyscy widzą, że Scott i Geri tworzą idealną parę. Tak szybko między nimi zaiskrzyło. Już pierwszego dnia szkoły. A przynajmniej tak wynika z serduszek w kalendarzu Geri.

To dobrze, że Trina planuje karierę w teatrze, bo jako swatka musi się jeszcze wiele nauczyć.

Mówiłam jej o tym tysiąc razy, ale to jej wcale nie powstrzymuje przed kolejnymi próbami wyszukiwania mi chłopaka.

DramaQueen: Dobra, może ze Scottem nie wypaliło, ale to nie powód, żeby w ogóle dawać sobie spokój z facetami. Jesteś naprawdę miłutka. Steve mógłby poprosić któregoś z barytonów, żeby cię zabrał. A może tenora...

JennyG: Przestań. Czekać. Nie chcę.

DramaQueen: Dobra, dobra. Ale przecież ktoś musi ci się podobać.

JennyG: Hej, przecież tobie nikt się nie podoba. Dlaczego *mnie* musi się ktoś podobać, a

tobie nie?

DramaQueen: Bo, *pulchera*^{*}, ja czekam na Luke'a Strikera.

Oooch. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że jeśli rozejdzie się informacja o prawdziwej tożsamości Luke'a, może to wpłynąć na moje bardzo osobiste sprawy. No wiecie, na przykład w ten sposób, że moja przyjaciółka straci dziewictwo przede mną. Jeśli Luke też ją polubi.

Muszę przyznać, że poczułam ukłucie poczucia winy. W związku z tym, że ukrywam przed Trina wizytę Luke'a Strikera w naszym pięknym mieście. Zdrowo się wścieknie, kiedy się dowie prawdy.

No ale z drugiej strony, wściekłość na mnie zawsze Trinie szybko przechodziła.

Trina i ja zaczęłyśmy sobie przysyłać e - mailami odpowiedzi do naszej pracy domowej z łaciny - ale to nie było oszukiwanie. Po prostu upewniałyśmy się, że tak samo ją odrobiłyśmy - kiedy nagle dostałam wiadomość od kogoś, kto nie był ani Triną, ani Geri, ani żadną z osób, które zwykle piszą do mnie maile. Nick tej osoby brzmiał Otempora. Jak się uczyliśmy na łacinie, powiedzenie to oznacza „Co za czasy!”, jakby w dziewiątym roku naszej ery ludzie musieli się przejmować al - Kaidą i J.Lo.

Tak się składa, że Otempora to internetowy nick Scotta.

Natychmiast otworzyłam wiadomość. Byłam pewna, że chodzi o coś związanego z „Gazetą”.

Otempora: Hej, Jen. Nie gniewasz się, że dałem twoją historię Kwangowi, prawda? Tę o porwaniu Betty Ann.

Geri musiała mu niezle suszyć głowę. Ostatnio wydaje mi się, że coraz częściej truje Scottowi na różne tematy. Pewnie dlatego, że Geri zdaje maturę i jedzie na studia. Do Kalifornii. Żeby się specjalizować w dziennikarstwie telewizyjnym. Zauważyłam, że czasami, kiedy ludzie mają gdzieś wyjechać, zaczynają szukać z tobą zwady bez powodu. Jakby łatwiej im było pożegnać się z tobą, kiedy są wściekli, niż wtedy, kiedy cię bardzo lubią. Trina robi mi to za każdym razem, kiedy wyjeżdża z rodzicami na lato do ich domku nad jeziorem Wawasee. Moim zdaniem, to nawet zabawne.

Oczywiście, nie mogłam powiedzieć Scottowi, że jego dziewczyna prowokuje kłótnie, bo tak jej przykro, że będzie musiała go tu zostawić. W sumie to przecież nie moja sprawa. A poza tym nie pytał o to. Napisałam więc:

JennyG: Jasne, że się nie gniewam.

Otempora: Tak, tak myślałem. Ale Geri uważa, że się obraziłaś. Oczywiście, ona nie wie, ile tak właściwie masz spraw na głowie...

^{*} *pulchera* (łac.) - piękna (przyp. red.)

No tak, Geri, jak cała reszta świata, nie ma pojęcia, że jestem Annie.

Otempora: ...ale powinna przecież wiedzieć, że ty nie wściekasz się o byle głupstwo. Przecież nie jesteś taka.

Jasne, nie jestem taka.

Powiedziałam mu, żeby się tym wcale nie przejmował, potem wróciłam do pracy domowej z trygonometrii. Bo nawet „takie jak ja” muszą odrabiać lekcje.

I w tajemnicy przed całym światem zaprzyjaźnić się z wielką gwiazdą, taką jak Luke Striker.

Spytaj Annie

Pytaj Annie o nawet najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

podobają mi się tylko ci faceci, którzy już są zajęci. To znaczy mają dziewczynę. Flirtuję z nimi, póki nie rzucą obecnej partnerki, a kiedy tylko robią się osiągalni, przestają mi się tak bardzo podobać. O co tu chodzi? I co ja mogę zrobić, żeby tak nie było?

Uwodzicielka

Droga Uwodzicielko,

albo boisz się angażować, albo sprawia Ci frajdę podkradanie cudzych facetów. Tak czy inaczej, skoro dostrzegasz, że masz problem, jesteś już w połowie drogi do jego rozwiązania. Spróbuj trzymać pazurki z dala od facetów swoich przyjaciółek... Bo jeśli nad tym nie zapanujesz, wkrótce przestaną być Twoimi przyjaciółkami i niedługo nie będziesz miała żadnych przyjaciół, tej samej ani przeciwnej płci.

Annie

Spodziewałam się, że Luke Striker zjawi się w przyszłym tygodniu, może nawet jeszcze w następnym. Z pewnością nie przypuszczałam, że przyjedzie do Clayton następnego dnia.

Ale dokładnie tak się stało. Siedziałam sobie spokojnie w sali od łączyny, czekając, aż zacznie się lekcja, i przeglądając egzemplarz „Gazety”. Nagle drzwi się otworzyły, do środka zajrzała pani Kellog i wywołała mnie na zewnątrz.

Wyślizgnęłam się zza stolika i wyszłam na korytarz. Obok pani pedagog stał wysoki, niedbale ubrany facet.

- Jenny - powiedziała pani Kellog, a oczy lśniły jej bardziej niż zwykle. - To jest Lucas Smith, nasz nowy uczeń, o którym z tobą wczoraj rozmawiałam.

Tak byłam pochłonięta artykułem Kwanga na temat Betty Ann - muszę przyznać, że zламаłam tę stronę szczególnie starannie: było tam wielkie zdjęcie Betty Ann w kostiumie cheerleaderki Liceum Clayton, z napisem: POSZUKIWANA, a pod spodem: NAGRODA - że w pierwszej chwili omal nie wypaliłam: „Jaki nowy uczeń?”

I wtedy sobie przypomniałam. Luke Striker przyjeżdżał do Clayton, żeby się przygotować do roli, i miał zamiar udawać nowego ucznia naszej szkoły.

I oto stał przede mną.

Chociaż nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na panią Kellog i „Lucasa”, zaczęłam się rozglądać wkoło z zażenowaniem. Dzwonek jeszcze nie zadzwonił, więc większość uczniów nadal kręciła się po korytarzu, nawet nie patrząc w naszą stronę. Nie wiem, czemu byłam tak skrepowana.

Na pewno nie spodziewałam się po sobie takiej reakcji na widok Luke'a Strikera na żywo. A przecież miał na sobie o wiele więcej ubrań niż w swoim ostatnim filmie. Ktoś musiał mu podpowiedzieć, co noszą chłopcy w Indianie, bo udało mu się odtworzyć ten wygląd - za luźne dżinsy, za duża bluza, naprawdę paskudne adidas. Na nosie miał okulary w drucianej oprawce. Poza tym wyglądało na to, że zapuszcza włosy. Były jeszcze dłuższe niż wtedy, kiedy grał Lancelota. I ciemniejsze. Najwyraźniej wcale nie był naturalnym blondynem.

I okazał się wyższy, niż przypuszczałam. Facet, który stał przy drzwiach i czekał, aż mu „pokażę jak wszystko działa”, w sumie nie bardziej przypominał gwiazdę kina niż ja...

No chyba że się wiedziało, że nią jest.

- Och - odezwałam się głupawo, bo pani Kellog tylko patrzyła na mnie wyczekująco, ze swoim najbardziej zalotnym uśmiechem. - Tak. Cześć.

Luke skinął mi głową. Trudno było wyczuć, czy to z litości, czy z uprzejmości. W każdym razie wyraźnie widziałam, że interesuję go mniej więcej tak samo jak powtórkowa emisja *Pomóżcie nam niebios*.

- No cóż - powiedziała pani Kellog - mam nadzieję, że pomożesz znaleźć, eee, Lucasowi, wolne miejsce. I pokażesz mu szkołę. Tak, Jen?

- Jasne - udało mi się wychrypieć. Co się ze mną działo? Przysięgam, że sława zupełnie mi nie imponuje. Poza tym ja cenię sławnych inaczej, na przykład Stephena Kinga albo Tolkiena.

A tu stałam i rumieniłam się, bo skinął mi głową Luke Striker?

Coś było nie tak. Poważnie nie tak.

- Świetnie - ucieszyła się pani Kellog.

Zadzwoił dzwonek. Luke zmrużył oczy, jakby ten hałas go zabolął.

- No cóż, to ja zostawiam cię z, eee, Lucasem - powiedziała pani Kellog.

Uczniowie zaczęli wchodzić do klasy - a przynajmniej usiłowali, bo blokowaliśmy przejście.

- Wszyscy nauczyciele powinni wiedzieć, że jesteś, hm, tutaj. Wczoraj wieczorem rozesłaliśmy memo - dodała pani pedagog.

- Super - rzucił Luke.

Zza jego pleców usłyszałam wołanie pani Mulvaney: *Eo! Eo!*, co znaczy: chodźcie, a w tym przypadku: dajcie ludziom przejść.

Daliśmy ludziom przejść. Pani Mulvaney dostała się wreszcie do klasy. Zauważyłam, że nie patrzyła na panią Kellog ani na Luke'a, chociaż stali jej na drodze. A przynajmniej, nie od razu na nich spojrziała. Popatrzyła za to na biurko, gdzie zwykle siedziała Betty Ann.

Gdy zobaczyła, że lalki nadal nie ma, dopiero wtedy zwróciła uwagę na nowo przybyłych... Ale wcześniej, jak dostrzegłam, leciuteńko drgnął jej podbródek. Upewniłam się jeszcze bardziej, że tęskni za Betty Ann. No, naprawdę tęskni.

- Pani Mulvaney, to jest ten nowy uczeń, o którym rozmawialiśmy, Lucas Smith - poinformowała pani Kellog. - Jenny się nim zajmie.

- Ach tak, oczywiście - powiedziała pani Mulvaney, niczym nie zdradzając, że domyśla się, kim naprawdę jest Luke. Prawdopodobnie dlatego, że się nie domyślała. Nauczyciele łaciny zwykle nie orientują się zbyt dobrze w pop kulturze. - Niech wszyscy siedzący za Jen cofną się o jeden stolik... Dziękuję.

Luke osunął się na krzesło. Musiałam przyznać, że udało mu się nawet naśladować ruchy, sugerujące, że „wcale nie jestem taki zachwycony, że muszę tu być”. Postawą i chodem niczym się nie różnił od Kurta Schraedera i jego kumpli, którzy weszli bez pośpiechu kilka sekund później, już po dzwonku.

Pani Mulvaney przedstawiła ucznia po łacinie, a my wszyscy posłusznie przywitaliśmy naszego nowego *amicus*. Luke podniósł rękę i znudzonym tonem mruknął:

- Yo!

Od tego głosu, odkryłam z przerażeniem, też się rumieniłam!

Kiedy tylko pani Mulvaney się odwróciła, Luke dźgnął mnie w plecy ołówkiem (na szczęście, od strony gumki) i szepnął mi do ucha:

- Poważnie macie lekcje codziennie o tej porze? Dopiero po kilku chwilach dotarło do mnie znaczenie jego pytania. A to dlatego, że po plecach przechodziły mi ciarki. Żeby teka gwiazda jak Luke Striker szeptała człowiekowi do ucha? Słowo daję, moja mama dostałaby gęsiej skórki! Ale usiłowałam zachowywać się jak luzak.

- Hm, owszem - odszepnęłam.

- Ale przecież jest, Jezu, ósma - powiedział Luke z lekkim niedowierzaniem.

- Wiem - odszepnęłam. Potem, usiłując go pocieszyć, dodałam: - Ale za to wychodzimy o trzeciej.

- O trzeciej! To dopiero za siedem godzin.

Oddech Luke'a łaskotał mnie w policzek. Pachniał, jakby właśnie żuł miętową gumę. Ciekawe, czy wszystkie gwiazdy kina mają taki świeży, miętowy oddech. Może to ich właśnie odróżnia od zwyczajnych ludzi.

- Hm - powiedziałam, usiłując nie tracić głowy. Ale udało mi się tylko dodać niezwykle dowcipnie: - Wiem.

Luke znów opadł na krzesło z cichym okrzykiem niedowierzania i wzburzenia.

- O ja cię...

Pani Mulvaney, która usłyszała tę drugą część zdania, odwróciła się i spytała Luke'a i mnie, po łacinie, czy mamy jakiś problem. Odpowiedziałam, że nie.

Ale miałam. A jakże! Bo nie spodziewałam się, że na żywo Luke okaże się tak totalnie, nieziemsko seksowny. Nie, żebym przedtem uważała, że cała jego ekranowa seksowność to efekty specjalne...

Ale może jednak tak myślałam.

A okazało się inaczej.

I nie byłam jedyną dziewczyną w szkole, która to zauważyła. Poważnie. Luke chodził

ze mną wszędzie - do mojej szafki, na lekcje, do fontanny z wodą pitną. I chociaż nikt go nie rozpoznał - nikt nawet się nie odezwał: „Hej, wiesz kogo przypominasz? Luke'a Strikera” - zauważyłam, że damska część Liceum Clayton nie odrywała wzroku od faceta. Wystarczyło, że odsunął kosmyk włosów, który opadał mu na oczy, a już połowa dziewczyn z moich zajęć angielskiego wstrzymywała oddech.

Facet był seksowny i tyle. Ani trochę nie potępiłam Angelique za ten tatuaż.

Jedyne, czego nie mogłam zrozumieć, to czemu rzuciła Luke'a.

Chociaż przyznam, że nie zrobił na mnie wrażenia osoby szczególnie elokwentnej. Przez cały ranek zamienił ze mną ze trzy słowa. Nie mogłam się zorientować, czy z natury jest milczący, czy też wściekł się na mnie za coś. Dopiero kiedy włókł się za mną na drugą lekcję - trygonometrię - zorientowałam się, w czym może leżeć problem, bo spytał mnie półprzutomnie:

- Słuchaj, czy tutaj można gdzieś dostać espresso?

- Espresso? - Czy mogę zaznaczyć, że espresso nie jest słowem często słyszonym w Clayton? Ale nadal usiłowałam traktować faceta wyrozumiale. - W śródmieściu jest kafejka.

- Chcesz powiedzieć, że muszę gdzieś pojechać, żeby się napić kawy? - Błękitne oczy Luke'a, takie niesamowite na ekranie, teraz (nawet na wpół skryte za okularami) zrobiły się jeszcze większe. Były podobne do dwóch bliźniaczych basenów z błękitną wodą i sprawiały piorunujące wrażenie. - Gdzie ja w ogóle trafiłem?

- No cóż... - odparłam. - Jesteś w szkole średniej. Luke właściwie przedzemał trygonometrię i francuski.

Zaczął się budzić, tak na dobrą sprawę, dopiero koło czwartej lekcji. I dobrze, bo wtedy miałam próbę Bardów. Luke zaś powinien mieć się na baczności przy Trinie. Bo jeśli ktokolwiek miał przejrzeć jego „przebranie”, to właśnie ona.

Ostrzegłam go w tej sprawie po drodze do muzycznego skrzydła szkoły. Im więcej czasu z nim spędzałam, tym bardziej przechodziło mi skrępowanie.

Ale to wcale nie znaczy, że czułam się przy nim swobodnie. Bo nadal nie rozgryzłam go do końca. Dziwne, zazwyczaj nie miewam z tym żadnych kłopotów.

- Jeśli naprawdę chcesz zachować anonimowość - radziłam - musisz bardzo uważać na Trinę. Ona ma aktorskie aspiracje. I zna na pamięć praktycznie wszystkie odcinki *Pomóżcie nam niebios*.

Luke nawet mnie nie słuchał. Wreszcie mu się udało otworzyć oczy na tyle szeroko, że dostrzegł automat z napojami.

- Kofeina! - zawołał i niemal rzucił się na maszynę. A potem mina mu zrzędła: - Nie

mam drobnych!

Wyłowiłam z kieszeni dzinsów dolara i mu wręczyłam.

- Luke, ja nie żartuję - powiedziałam, kiedy dzieciaki za nami wchodziły do sali orkiestry. - Trina to moja najlepsza przyjaciółka. Wiem, co mówię.

Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś wypił całą puszkę coli jednym duszkiem. Ale Luke'owi Strikerowi się udało. Kiedy skończył, wyrwało mu się ciche beknięcie, potem cisnął pustą puszkę nad głowę - za siebie - do najbliższego kosza.

I trafił.

- Nie ma problemu - odezwał się głosem znacznie bardziej rześkim.

Potem się uśmiechnął. A ja poczułam, że coś mnie ściska w żołądku. Niedobry znak.

Po coli Luke nabrał wigoru. Weszliśmy do sali chóru, z obniżoną podłogą i amfiteatralnie ustawionymi pulpitami. Luke wręcz poweselał na widok swojego odbicia w wielkich lustrach, które wiszą po drugiej stronie sali, żeby chórzyści mogli obserwować pracowanie nad oddechem. Przynajmniej ci, którym widoku nie zasłaniają włosy Karen Sue Walters.

Właśnie wtedy weszła Trina. Na pewno już słyszała o moim podopiecznym, bo rozejrzała się po sali, a potem, kiedy jej spojrzenie padło na Luke'a i na mnie, z bardzo stanowczą miną popruła w naszą stronę.

- No jak, Jen, nie przedstawisz mnie swojemu nowemu koledze? - wołała, niemal pędząc po schodach.

- Cześć Trina - powiedziałam szybko. - To jest Lucas Smith. Lucas, to moja przyjaciółka, Trina.

Luke obrócił się i odezwał do Triny:

- Cześć. Jesteś aktorką, no nie?

Trina podniosła oczy na Luke'a - oh jest dość wysoki, ma ponad metr osiemdziesiąt - i omal się nie rozpląnęła w kałużę u jego stóp.

- Ależ... - powiedziała głosem, jakiego u niej jeszcze nigdy nie słyszałam. - Owszem. Tak jest.

- Miło mi cię poznać - ciągnął Luke. - A jaki jest tutejszy klub dramatyczny? Nadaje się do czegoś?

Chciałam szturchnąć Luke'a, żeby już przestał z tym teatrem, bo bałam się, że Trina skojarzy: Lucas Smith... teatr... Luke Striker.

Ale chyba wyolbrzymiałam obsesję Triny na punkcie tego faceta, bo ona tylko zaczęła nawijać o tym, jaka to szkoda, że przeniósł się do nas zbyt późno, żeby wziąć udział w

przesłuchaniach do wiosennego musicalu, i jakie miał szczęście, że pan Hall pozwolił mu w ogóle dołączyć do Bardów, bo procedura przesłuchań jest surowa...

Właśnie. Zaczęłam się zastanawiać, jak doktorowi Lewisowi udało się namówić pana Halla na przyjęcie do jego ukochanego chóru rewiowego faceta, który nawet nie przeszedł przez przesłuchanie. Czy to możliwe, że pan Hall został dopuszczony do sekretu? Prawdę mówiąc, w tej chwili był mocno wyprowadzony z równowagi tenorami. Mniej więcej tak jak moim tańcem.

Podszedł do nas Steve - baryton, który jest tak zakochany w Irinie, że dobrowolnie odsiaduje wszystkie romantyczne komedie puszczone w multipleksie tylko po to, żeby być przy niej blisko przez półtorej godziny.

- Cześć - powiedział. Steve jest chudy i ma wystające jabłko Adama. A kiedy się denerwuje, to jabłko Adama skacze mu w górę i w dół. Kiedy podszedł do Triny i Luke'a, podskakiwało mu jak wściekłe. - Co słyszać?

- Och, witaj Steve - rzuciła Trina niedbale. - To jest Lucas.

- Cześć - powiedział Steve do Luke'a.

- Hej, facet. - Luke totalnie zdystansował Steve'a w luzactwie za pomocą dwóch słów i skinięcia głową. Biedny Steve!

- No dobra, moi drodzy! - Pan Hall wyszedł z zaplecza na tyłach sali chóru i zaklaskał.

- Na miejsca, proszę. - Dostrzegł Luke'a. - A ty, kto ty jesteś?

Trochę zabawnie było patrzeć, jak spotyka Luke'a Strikera. Pan Hall najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia, z kim ma do czynienia.

No bo z jednej strony stał prawdziwy aktor - który zbił na aktorstwie fortunę - a z drugiej pan Hall, który kiedyś podobno pracował na Broadwayu, a teraz był dyrygentem chóru szkolnego w południowej Indianie.

A mimo to dyrygent chóru zadzierał nosa o wiele bardziej niż aktor. Pan Hall natychmiast zaczął się rozwodzić nad tym, jak to dostał memo w sprawie Luke'a, ale że naprawdę niechętnie przyjmował do wiadomości założenie dyrekcji, że każdy może się dostać do Bardów, i że Luke (Lucas) powinien przejść przesłuchanie jak wszyscy. Pan Hall nie rozumiał też, dlaczego miałby przyjąć do chóru chłopaka tylko z tej racji, że ten pojawił się w szkole pod sam koniec roku.

Luke nawet nie mrugnął. Pewnie dlatego, że przyzwyczał się do absurdalnych wymagań reżyserów. Powiedział:

- Och, sir, proszę się nie martwić, będę tylko obserwował, co się dzieje, póki nie załapię, o co chodzi.

Chyba ten zwrot: sir, załatwił sprawę. Zupełnie jak Trina, pan Hall natychmiast poddał się urokowi Luke'a. Pozwolił mu nawet zająć miejsce przy akompaniatorce i przewracać nuty.

Muszę przyznać, że Luke nieźle mi zaimponował tym, jak urobił pana Halla.

Ale na chórze nie miałam zbyt wiele czasu, żeby rozmyślać o Luke'u. A to dlatego, że pan Hall kazał nam powtórzyć cały program występu w Luers trzy razy. Bez przerwy musieliśmy wymachiwać rękami. Nie mogłam się już objąć, chowając za włosami Karen Sue Walters. Jeszcze bardziej mnie wkurzało, że ruchy ramion były naprawdę skomplikowane, więc ciągle się myliłam, a pan Hall na mnie wrzeszczał.

„Panna Greenley nie nadąża!” albo „Jenny, przestań się garbić!”, nic innego nie słyszałam przez całą lekcję.

Przez Trinę naprawdę musiałam się napocić, żeby zarobić na te dodatkowe punkty za zajęcia nadobowiązkowe, wiercie mi.

Ale my, alty, i tak mamy lepiej niż soprany. One muszą tańczyć. Z kapeluszami. Poważnie. Wykonują coś takiego jak numer z kapeluszami i laskami w takt *All that jazz z Chicago*, tyle że bez lasek. Co im w sumie nie robi żadnej różnicy, bo wszystkie soprany są dobrymi tancerkami. Ale my, alty, musimy im podać te kapelusze ze stosu schowanego za podium. To bardzo trudne... Zwłaszcza dla kogoś, kto jak ja nie ma za grosz wyczucia rytmu. Zanim zadzwonił dzwonek na przerwę, byłam już spocona jak mysz.

Ale Luke, jak się okazało, zaczynał się dopiero rozkręcać.

- Naprawdę dają wam z tego stopnie? - zapytał, kiedy wychodziliśmy z sali chóru.

Zabawne, że tak szybko załapał, jak beznadziejny jest nasz chór. Ja zorientowałam się dopiero po trzech miesiącach. Nie chodziło wyłącznie o staniki z wkładkami. *All that jazz* to nasz najlepszy numer. Reszta programu składa się z tego, co pan Hall nazywa przebojami Broadwayu, włącznie z *As long as he needs me z Olivera* i *Day by day z Godspell*.

Nie, najgorsze jest to, że pan Hall zmusza nas do występów w różnych szkołach podstawowych. Mówię totalnie poważnie. Kiedy się dowiedziałam o takich akcjach, chciałam zamordować Trinę. Ale wtedy było już za późno - na innych zajęciach nadobowiązkowych mieli komplet i pani Kellog nie mogła mnie przepisać.

Ale z pewnego punktu widzenia chór rewiowy nie jest zupełnie bezużyteczny, bo najbardziej uzdolnionym artystycznie wrażliwcom z naszej szkoły oferuje miejsce, gdzie mogą się poczuć bezpiecznie. Część Bardów nawet je drugie śniadanie w sali chóru, żeby nie natykać się na Kurtów Schraederów naszego liceum w stołówce.

Ale to nie dlatego Trina zawsze chce spędzać przerwy w sali chóru. Ona po prostu boi się, że pan Hall (który je na zapleczu, a nie w pokoju nauczycielskim, bo jak mi się wydaje,

nie jest zbyt lubiany przez grono pedagogiczne) rozda solówki innym sopranom tylko dlatego, że Trina akurat będzie miała pecha i nie znajdzie się wtedy w pobliżu.

Powiedziałam Trinie, że prędzej padnę trupem, niż pozwolę, żeby jej rywalizacja z Karen Sue Walters wpłynęła na moje gastronomiczne przyzwyczajenia, więc w rezultacie jemy w stołówce, a nie w sali chóru.

Ale skąd Luke miałby o tym wiedzieć? Obejrzał się przez ramię na Karen Sue i resztę chórzystów, którzy wyciągali pudełka z drugim śniadaniem spod pulpitów, kiedy my wychodziliśmy z sali.

- Lekcja się przecież skończyła - powiedział. - To dlaczego oni jedzą tutaj?

- Och, pytasz, co to za rezerwat dla nieprzystosowanych? - Trina roześmiała się głośno i serdecznie z własnego żartu, chociaż gdyby jej zostawić wolną rękę, sama też by z nimi siedziała.

To ja musiałam mu wszystko wyjaśnić. - Jedzą tu, bo się boją.

- Czego? - Luke zdębiał. Akurat weszliśmy do stołówki.

I już po raz drugi tego dnia Luke powiedział:

- O ja cię...

Tylko że teraz z innego powodu.

Spytaj Annie

Pytaj Annie o nawet najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

mój chłopak przeżuwa z otwartymi ustami i mówi,

kiedy ma w nich pełno jedzenia. To obrzydliwe!

Wspominałam mu o tym już z milion razy, ale on ciągle swoje. Jak mam mu zaszczerpić lepsze maniery?

Anty plujka

Droga Anty plujko,

możesz to zrobić, odmawiając siadania z nim przy jednym stole, dopóki nie nauczy się jeść jak dobrze j wychowany człowiek. Kitka samotnie spędzonych posiłków i gwarantuje, że będzie przetykał, zanim coś zacznie mówić.

Annie

Niewtajemniczonym stołówka Liceum Clayton może się wydawać przerażająca. Wtłoczcie sześciuset nastolatków - jemy na dwie zmiany - w jedno pomieszczenie, a przekonacie się, co to znaczy hałas.

Ale Luke chyba się nie spodziewał takiego natężenia rozwalających bębni decybeli.

Na dodatek poza Glenwood Road - główną ulicą przecinającą Clayton, po której w sobotni wieczór jeżdżą ci, którzy mają samochody - właściwie nie ma tu innego miejsca, które lepiej służyłoby za „scenę”, niż licealna stołówka. W Liceum Clayton nie możesz po prostu usiąść przy stole i zjeść.

Nie, musisz najpierw przejść długą alejką między stołami, żeby dostać się do bufetu, gdzie kupujesz jedzenie - nawet jeśli chcesz wziąć tylko szklankę mleka czy napój gazowany.

A kiedy idziesz tą alejką stołówki, śledzi cię każda para oczu. Poważnie. To w stołówce rodzi się lub umiera sława, w zależności od tego, jak luzacko wyglądasz.

Oczywiście, chyba że jesteś mną. Wtedy, szczerze mówiąc, nikt na ciebie nie zwraca uwagi.

Ale Luke tego nie wiedział. Stał w drzwiach i z przerażeniem patrzył na alejkę, którą właśnie przechadzały się, kołysząc biodrami, Courtney Deckard i część jej paczki.

- Dobry Boże - sapnął. Trochę słabo go słyszałam w tym hałasie. - Tu jest gorzej niż w barze na dworcu.

Trina wyskoczyła z informacją:

- Nazywamy to wybiegiem. Jesteś gotów pokazać, co potrafisz?

Nadal z osłupiałą miną, Luke ruszył za nami, kiedy szłyśmy wybiegiem w stronę bufetu. Nie zauważyłam, żeby rozgardiasz ucichł, kiedy przechodziliśmy, ale byłam pewna, że udało nam się przykuć uwagę wszystkich kobiet - od najmłodszej pierwszoklasistki po najstarszą bufetową - w całym pomieszczeniu.

Luke wydawał się całkiem nieświadomy wrzenia, jakie wywoływał. Zupełnie jakby był w szoku. Kiedy podałam mu tacę, wziął ją bez słowa. Kiedy bufetowa spytała go, czy chce kukurydzę, czy fasolkę szparagową, nie umiał się zdecydować. Powiedziałam jej, że kukurydzę, bo uznałam, że Luke, jako gość naszego stanu, powinien spróbować warzywa, z którego Indiana słynie.

Kiedy już zapełniliśmy tace, przeszliśmy do kasy. Luke nadal był zbyt oszołomiony, żeby wyłowić z kieszeni dwa dolary za swój posiłek. Sama zapłaciłam. To dobrze, że jestem

rozrywaną opiekunką do dzieci - nie mając chłopaka, zawsze dysponuję czasem w sobotnie wieczory - bo w przeciwnym razie, jeśli mam wszędzie płacić za Luke'a, mogłabym zbankrutować.

Trina i ja postawiłyśmy nasze tace na stole, przy którym siadamy od pierwszej klasy, dokładnie na środku stołówki, między popularnymi dzieciakami - tymi, które lansują modę - a tymi, które nie są na tyle wrażliwe, żeby zjadać drugie śniadanie w sali chóru, ale nie są dość popularne, żeby siedzieć razem z mięśniakami, czyli naśladowcami mody.

Trina i ja nie jesteśmy jedynymi osobami przy środkowym stoliku. Siada tam jeszcze grupa innych uczniów. W większości, ale nie wyłącznie, są to szkolni prymusi, mózgowcy, nałogowi komputerowcy, kinomaniacy, punki i redaktorzy „Gazety Liceum Clayton”.

Geri Lynn o mało nie Zakrztusiła się swoją odgazowaną dietetyczną colą, kiedy Luke Striker usiadł naprzeciw niej i zaczął ponuro przyglądać się swojemu jedzeniu.

- Och, cześć - powiedziała. - To ty pewnie jesteś Lucas. Widzicie? Widzicie, jak szybko rozchodzą się plotki? Ja nawet jeszcze tego dnia nie spotkałam Geri Lynn, a ona już słyszała o nowym facecie. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby rozniosło się, że jestem Annie? Jak niewiele czasu trzeba, żeby jakaś informacja obleciała całą szkołę?

Luke nawet nie spojrzał na Geri. Zaczął za to dziobać widelcem jedzenie na swojej tacy,

- Co to jest? - zapytał.

- Mielony w sosie pieczarkowym - odparłam. Sama wzięłam sobie pizzę. Pewnie powinnam go uprzedzić, żeby zamawiał spoza stołówkowego menu i nie brał „zestawu szkolnego”. Ale uznałam, że może w swojej żarliwej gotowości doświadczenia wszystkiego, co kojarzy się ze Środkowym Zachodem, będzie chciał spróbować mielonego.

- Jestem wegetarianinem - mruknął Luke, w zasadzie zwracając się do kotleta.

- Tam jest bar sałatkowy - podrzuciła uprzejmie Trina, która sama nie może się zdecydować, czy jest Jaroszka, czy weganką.

Scott miał jedzenie z domu, jak co dzień. Zwykle przynosi to, co ugotował poprzedniego dnia na obiad dla siebie i taty, ładnie zapakowane w plastikowe pojemniki. Dzisiejsze zawierały zapiekankę z makaronem i pieczywo czosnkowe, które Scott podgrzał sobie w stołówkowej mikrofalówce. Pachniały naprawdę bardzo ładnie.

- Będiesz to jadła? - spytał Scott Geri, wskazując na leżące przed nią ciastko czekoladowe.

- Nie, kochanie - powiedziała Geri, nadal nie odrywając wzroku od Luke'a. - Częstuj się.

Scott nadgryzł ciastko. Potem się skrzywił i je odłożyli. Kulinarne umiejętności pracownic stołówki nie dorównują jego własnym.

- Jecie tu codziennie? - spytał Luke, badając wzrokiem nadziany na widelec kawałek kotleta.

- Nie wolno nam wychodzić poza teren szkoły - poinformowałam go. - Tylko maturzyści mogą jeść na zewnątrz. A nawet oni mają do wyboru tylko McDonalda i Pizzę Hut. Wszystkie inne miejsca są za daleko, żeby zdążyli z powrotem na szóstą lekcję.

Luke westchnął i zdjął kotleta z widelca.

- Chcesz trochę? - spytał Scott, wskazując na resztkę swojego dania. - Co prawda jest z mięsem, ale...

Luke wsadził widelec do plastikowego pojemnika Scotta, nie czekając na ponowne zaproszenie. Wziął kęs makaronu, przeżuł i przełknął. A kiedy jadł, nie mógł nie zauważyć, że wszystkie dziewczyny w okolicy - od Triny i Geri po Japonczkę, która przyjechała do nas na szkolną wymianę, Hisae - nie odrywały wzroku od jego wyrazistej szczęki.

- Człowieku - odezwał się Luke, kiedy już przełknął. - To jest pyszne. Twoja mama takie robi?

Scott wcale nie wstydził się tego, że lubi gotować. W przeciwieństwie do wielu facetów, nigdy by nawet nie wpadł na pomysł, żeby zaprzeczać, że umie zrobić zapiekanek z makaronem. Przy „Lucasie” też nie skłamał.

- Nie, sam zrobiłem - powiedział. - Dojedz, bardzo proszę. Ja sobie wezmę jeszcze coś do picia.

Luke pożerał zapiekanek Scotta zaskakująco entuzjastycznie jak na kogoś, kto twierdził, że nie je mięsa. Nagle w całej stołówce rozległo się muczenie krowy. Poważnie.

Luke obejrzał się za siebie, usiłując się zorientować, co się dzieje. Ale zobaczył tylko to, co my wszyscy widzimy każdego dnia bez wyjątku, Carę Schlosburg, która szła wybiegiem, wracając z bufetu.

Biedna Cara. Szkoda że nigdy nie dostała się do chóru rewiowego (brała udział w przesłuchaniach, ale nie została przyjęta. Niektóre z co bardziej zarozumiałych sopranów mówiły, że to dlatego, że nie ma staników z takimi wkładkami, które mogłyby dorównać obfitości biustu Cary i zapewnić nam jednolity wygląd). Bo gdyby należała do chóru, przynajmniej jadłaby w bezpiecznym miejscu.

Ona jednak korzysta ze stołówki jak normalny człowiek i szczerze mówiąc jakoś nigdy jej to nie wychodzi na dobre.

Oczy Cary, jak zawsze, wypełniły się łzami, kiedy muczenie z każdą chwilą narastało. Trzymała tacę z niskokalorycznym posiłkiem - listek sałaty, sos osobno, kilka grzanek, dietetyczny napój gazowany.

Ale Kurt i jego kolesie mają zero szacunku dla jej prób zrzucenia nadwagi. Po prostu dalej muczeli, w sumie tak trochę mimochodem. Widziałam, że Courtney Deckard wydaje krowi ryk, a potem wraca do przerwanej rozmowy z inną cheerleaderką siedzącą po drugiej stronie stołu, jakby w ogóle tej rozmowy nie przerywała.

- Zamknijcie się! - wrzasnęła Cara w tę stronę stołówek, gdzie siedzą popularne dzieciaki, a skąd dochodziła większość krowich ryków. - To nie jest śmieszne!

Najgorzej, że Cara oddałaby wszystko, żeby siedzieć z nimi. No wiecie, przy popularnym stole z tymi ryczącymi. Bo ona wielbi mięśniaków i cheerleaderki, popularnych ludzi. Nie wiem czemu, bo ja z nimi rozmawiałam, na przykład z Courtney Deckard, a one zawsze mówią tylko: „Widziałas w ten weekend wyprzedaż w Bebe? Fantastyczna, co?” albo: „Mówiłam im, że chcę mieć francuski pedicure, żeby podkreślał moją opaleniznę, ale moim zdaniem wyszedł o wiele za różowy, nie uważasz?”

Nie żeby rozmowy przy moim stole były znów tak bardzo inteligentne. Ale przynajmniej gadamy nie tylko o strojach na imprezę i lodach beztłuszczowych.

Ale Cara jest przekonana, że omija ją coś wartościowego, więc ciągle próbuje zarobić na akceptację grupy popularnych,,; kupując trendy ubrania, nosząc trendy fryzury...

Ale właściwe dla kogo? Nie dla siebie samej. Co z tego, że ma takie same obcisłe rybaczki jak Courtney Deckard. Ale nie wygląda w nich dobrze - a przynajmniej, nie tak jak Courtney w swoich. Ani trochę.

I owszem, włosy ma w identycznym kolorze co Courtney! - miodowy blond (zresztą, dzięki usługom tego samego salonu fryzjerskiego). Ale miodowy blond pasuje dziewczynom takim jak Courtney, nie jak Cara.

Więc Cara wygląda tak fatalnie we fryzurach i ciuchach lansowanych przez paczkę Courtney jako niezbędny element luzackiego wyglądu, że ci sami ludzie, na których usiłowała zrobić wrażenie, mogli się z niej tylko wyśmiewać.

Albo raczej muczyć na jej widok.

Byłoby zupełnie inaczej, gdyby Cara po prostu nie przejmowała się tym, co inni o niej myślą. No bo w Clayton jest mnóstwo dziewczyn z nadwagą. Ale tylko ona jest gnębiona z tego powodu.

A reakcja Cary na muczenie sprawia muczącym jeszcze większą frajdę. Zaczynają ryczeć jeszcze głośniej, kiedy ona błaga, żeby przestali. Nie wiem, czemu Cara tego nie

widzi. Mówiłam jej o tym mnóstwo razy... No cóż, w każdym razie Annie jej o tym mówiła.

Ale Cara nic nie umie zrobić jak normalna osoba. Zamiast po prostu wziąć tę swoją tacę i zejść z linii ostrzału, obracała się wkoło własnej osi, usiłując dokładnie namierzyć miejsce, z którego dochodziło muczenie.

- Przestańcie! - wrzeszczała. - Słyszycie?!

Wreszcie zdarzyło się to, co się zdarza niemal codziennie - ktoś rzucił w Carę jedzeniem. Tym razem był to pieczony ziemniak.

Uderzył ją prosto w czoło. Cara upuściła tacę - rozrzucając wszędzie liście sałaty i rozbryzgując sos ranczerski - i uciekła z płaczem do damskiej toalety.

- O Jezu... - mruknęłam, bo wiedziałam, że to sygnał dla mnie, żebym poszła ją pocieszać.

- Czy ci ludzie, u diabła, poszaleli? - powiedział Luke, rozglądając się z oburzoną miną.

- Och, nie martw się o Carę - odparła Geri Lynn. - Jen ją ustawi do pionu jeszcze przed dzwonkiem.

- Jen ją... - Luke popatrzył na mnie, jakbym to ja, a nie Cara, była istotą z obcej planety. - To się już kiedyś zdarzyło? Trina przewróciła oczami.

- Kiedyś? Codziennie!

Uśmiechnęłam się grzecznie do Luke'a, potem wstałam od stołu i ruszyłam za Carą.

Pod drzwiami łazienki dla dziewczyn zastałam pana Steele'a, nauczyciela biologii, który miał pecha, że tego dnia przypadł mu dyżur w stołówce.

- Cara, wszystko będzie dobrze! - wołał. - Wyjdź tylko stamtąd i powiedz mi, co ci się stało... - Kiedy tylko mnie zobaczył, odetchnął z ulgą. - Och, Jenny - jęknął. - Dzięki Bogu, że tu jesteś. Możesz się upewnić, czy Carze nic nie jest? Sam bym to zrobił, ale wiesz, to damska łazienka...

- Oczywiście, proszę pana - powiedziałam.

- Dzięki - odparł. - Zawsze można na was liczyć, dzieciaki.

Zdziwiły mnie trochę te „dzieciaki”. Dopóki się nie obejrzałam, nie miałam pojęcia, że nie tylko ja wyszłam ze stołówki. Luke stał tuż za mną.

Uznałam, że trochę za bardzo serio traktuje to nieodstępowanie mnie na krok, więc powiedziałam:

- Uh, wrócę za minutę. - I ruszyłam za Carą.

Ale ku mojemu zdziwieniu Luke wziął mnie za ramię i zaciągnął trochę dalej, żeby pan Steele nie słyszał i spytał:

- Co to było, to tam?

- To znaczy? - Naprawdę nie wiedziałam, o co mu chodzi.

- Ten cyrk z muczeniem. - Luke miał taką minę, jakby rzeczywiście się martwił. No cóż, może to złe słowo. Wyglądał na wkurzonego. - Słuchaj, nie oczekiwałem, oczywiście, że życie w szkole to sceny z *Domku na prerii*. Ale nie sądziłem, że będzie tu jak na więziennym spacerunku na planie ostrego kryminału.

Sama nie przepadam za Liceum Clayton - zresztą za żadnym nie przepadam, może poza tym dla artystów, z musicalu *Fame*, gdzie wszyscy tańczyli na dachach taksówek - ale i tak nie bardzo rozumiałam, czemu Luke porównuje je z kryminałem. Liceum Clayton w niczym nie przypomina więzienia. Po pierwsze, w oknach nie ma krat.

A po drugie, więźniom za dobre zachowanie skraca się wyroki. W liceum jedyne, co wam dadzą za to, że się nie pozabijacie, to świadectwo, które w sumie do niczego się nie przyda, chyba że do zajęcia kierowniczego stanowiska w miejscowym barze.

- Hm... Przepraszam... - wymamrotałam. O co mu chodziło? Czemu był taki zdenerwowany? No bo owszem, Cara jest traktowana paskudnie, ale co ja miałabym niby na to poradzić? - Muszę iść...

- Nie - powiedział Luke, a oczy za szklami okularów nadal mu płonęły jak kawałki kryptonitu. - Chcę wiedzieć, dlaczego nie spróbujesz powstrzymać tych durni przed pastwieniem się nad tą biedną dziewczyną!

- Posłuchaj... - zaczęłam niepewnie. Cara szlochała coraz głośniejsze, a ja wiedziałam, że lada chwila rozlegnie się dzwonek na lekcję.

Nagle coś mnie dopadło. Może to wynik stresu związanego z nieustającym towarzystwem gwiazdy filmowej. Albo napięcie po godzinie wrzasków pana Halla na temat moich „jazzowych” rąk.

W każdym razie, coś we mnie chyba pękło. No bo, co on sobie wyobrażał, najpierw przez cały dzień się do mnie nie odzywa, a potem nagle mu się odmienia i ma pretensje do mnie za coś, co robi Kurt Schraeder i jego kumple?

- Jeśli tak bardzo ci się nie podoba - wrzasnęłam - to wracaj sobie do Hollywood! Bez obaw, ja się nie przejmę, bo naprawdę mam ważniejsze rzeczy do roboty, niż niańczyć taką primadonnę, jak ty.

Zawróciłam na pięcie i weszłam do łazienki.

Przyznam, że chociaż moja mała mówka brzmiała luzacko, wcale nie byłam wyluzowana. Serce waliło mi szybko i czułam się trochę tak, jakbym miała za moment zwrócić pizzę. Boja naprawdę nie wrzeszcze na ludzi. Nigdy.

A to, że rozdarłam się na tego słynnego aktora, wobec którego dyrektor i Soczysta Lucy kazali mi się zachowywać szczególnie uprzejmie... No cóż, trochę się przestraszyłam, że Luke powtórzy doktorowi Lewisowi, co powiedziałam; że w konsekwencji wyrzucą mnie ze szkoły, nie zrobię matury i będę musiała pracować jako technik obróbki skrawaniem, dokładnie tak jak napisałam w ankiecie.

Ale ja przecież żartowałam! Wcale nie chcę być technikiem obróbki skrawaniem! Przecież tak świetnie mi idzie rozwiązywanie problemów innych ludzi i graficzne opracowywanie „Gazety”. Po prostu widzę, jak różne rzeczy do siebie pasują, i co gdzie powinno się znaleźć, i to dlatego nie tylko jestem Annie, ale sporo pomagam przy tworzeniu scenografii dla klubu dramatycznego. Kiedy już będę dorosła, chcę zostać terapeutką - albo projektantką - albo i jedno, i drugie. A nie technikiem obróbki skrawaniem.

Tyle że trochę ciężko zostać terapeutą albo projektantem, jeśli się skończy edukację na poziomie drugiej licealnej.

Ale naprawdę nie miałam teraz czasu martwić się Lukiem. Musiałam najpierw poradzić sobie z Carą.

- Cara - powiedziałam, opierając się o drzwi kabiny, w której się zamknęła. - Wyjdź. To ja, Jen.

- Dlaczego? - chlipała Cara. - Dlaczego oni mi to ciągle robią, Jen?

- Bo są idiotami. A teraz wylaż.

Wyszła. Twarz miała zapuchniętą od płaczu. Gdyby tali często nie płakała, nie prostowała włosów jak Courtney Deckard, tylko pozwoliła im się naturalnie kręcić, i gdyby zrezygnowała z obcisłych rybaczek, to podejrzewam, że byłaby nawet całkiem ładna.

- To nie fair - wymamrotała Cara i pociągnęła nosem. - Staram się i staram... Nawet im w zeszłym tygodniu zaproponowałam, żeby urządzili u mnie w domu imprezę, bo moi rodzice wyjeżdżają na weekend. Myślisz, że ktoś się pokazał? Nikt.

Puściłam wodę do umywalki i zmoczyłam papierowy ręcznik, żeby zetrzeć miąższ ziemniaka z włosów Cary.

- Już ci mówiłam - powiedziałam. - To idioci, Cara.

- Wcale nie. Jakim cudem ludzie, którzy rządzą szkołą, mogą być idiotami? - Z przygnębioną miną przyjrzała się własnemu odbiciu w lustrze nad umywalką. - To moja wina. Jestem taka beznadziejna.

- Och, przestań, Cara - powiedziałam. - Szkołą rządzi samorząd, nie oni.

- Ale ci z samorządu nie są popularni - wytknęła mi Cara.

- Są ważniejsze sprawy niż popularność.

- Łatwo ci tak mówić, Jen - żaliła się Cara. - Jesteś ładna i szczupła, i wszyscy cię lubią. Wszyscy. Na ciebie nikt nigdy nie muczy.

To prawda. Ale ja też nigdy nie stoję na głowie, żeby ludzie mnie polubili, jak to robi Cara.

Ale kiedy o tym wspomniałam, Cara krzyknęła:

- Mówisz jak moja matka. Bądź sobą. Zawsze mi to powtarza.

- To dobra rada - stwierdziłam.

- Jasne - powiedziała Cara ze smutkiem. - Jeśli w ogóle wiesz, kim jesteś.

Zadzwoił dzwonek, głośno i długo. Chwilę potem łazienka wypełniła się dziewczynami. Pospiesznie czesały włosy przed rozejściem się do klas. Moje tête - à - tête z Carą skończyło się. Na razie.

- Zobaczymy się później - powiedziałam.

Cara w odpowiedzi tylko pociągnęła nosem i pogrzebała w torbie, szukając chusteczki. Nie zdziwiłam się. Nigdy mi nie dziękowała, że przychodzę z pomocą po tych jej atakach płaczu. Byłam absolutnie pewna, że między innymi dlatego nie ma żadnych przyjaciół. Ona po prostu nie wie, jak traktować ludzi.

Muszę przyznać, że przez tę akcję z Carą, całkiem zapomniałam o Luke'u Strikerze... A przynajmniej dopóki nie wyszłam z łazienki. Ciągle stał na korytarzu i czekał na mnie.

Znów zakręciło mi się w żołądku. Czemu on tam nadał tkwił? Naprawdę sądziłam, że po moim wybuchu wymknie się i zadzwoni po limuzynę, żeby go stąd zabrała. A on po prostu podszedł do mnie z rękoma w kieszeniach i zapytał:

- To co teraz mamy?

Jakby nigdy nic. Jakby zupełnie nic się nie stało. Jakbym mu nie kazała wracać do Hollywood.

Co to wszystko znaczyło? Że nie poleci do doktora Lewisa, żeby mu wypaplać, co powiedziałam? Że po prostu będzie udawał, że to załamanie wcale mi się nie przydarzyło? Kto tak postępuje? Bardzo dobrze umiem rozgryzać ludzi. Poza Lukiem Strikerem, najwyraźniej.

Ucisk w żołądku nieco zelżał, ale nadal nie odetchnęłam do końca. Nie miałam pojęcia, dlaczego Luke zmienił zdanie co do mnie i Liceum Clayton - ani nawet czy w ogóle je zmienił - ale wiedziałam jedno: ani ja, ani szkoła chyba nie spełnimy jego oczekiwań.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

woja dziewczyna ciągle robi mi malinki. Żenada. Cieszę się, że mnie kocha, ale... uh. Co mam zrobić, żeby przestała mnie tak „znacząco” całować?

Zmęczony Noszeniem Golfów

Drogi Zmęczony Noszeniem Golfów, twoja dziewczyna robi Ci malinki, bo chce, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś zajęty. Powiedz jej, żeby przestała albo znajdziesz sobie taką dziewczynę, która będzie miała więcej pewności siebie.

Annie

Powinnam przewidzieć, że wszystkie dziewczyny ze szkoły zakochają się w Luke'u. No bo nawet przebrany za Lucasa Smitha nadal był zabójczo przystojny. I, spójrzmy prawdzie w oczy, każdy facet, który nie ma totalnego świra na punkcie samochodów i nie czesze się „w pletwę”, może uchodzić w Liceum Clayton za symbol seksu.

Luke'owi nie dolegało ani pierwsze, ani drugie, poza tym miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był na tyle wrażliwy, żeby przejmować się Carą, no i wyglądał zupełnie jak... Luke Striker.

Istny cud, że ja się w nim nie zakochałam. I chyba nie powinnam winić Triny, że zadurzyła się w facecie.

W sumie jakoś strasznie mnie to nie zaskoczyło. Trina uwielbia Luke'a Strikera bardziej niż własnego kota, pana Momo, a pan Momo jest jej ulubieńcem od drugiej klasy podstawówki.

Ale i tak nie zorientowałam się, co się dzieje, dopóki nie znalazłam się w samochodzie Steve'a w drodze do domu. Ani Trina, ani ja nie mamy jeszcze prawa jazdy, bo:

a) nasi rodzice boją się nauczyć nas jeździć, a szkoła nie organizuje kursu na prawo jazdy, i

b) nawet gdyby nas nauczyli, w Clayton nie ma dokąd jeździć, i

c) nawet gdyby było dokąd jeździć, zawsze jest pod ręką chłopak Triny, Steve, który nas podwozi gdzie trzeba.

Na moje szczęście, Trina i Steve są w szkole do późna, na próbach kolejnych sztuk wystawianych przez klub dramatyczny. Teraz pracują nad upiornie nudną sztuką pod tytułem *Antologia Spoon River*, która mówi o zmarłych ludziach - ale nie o zombi czy czymś innym luzackim, tylko po prostu o zwykłych umarłych, którzy siedzą sobie na cmentarzu i rozmawiają o tym, jak im się kiedyś żyło, pewnie po to, żebyśmy w rezultacie bardziej docenili naszych jeszcze żyjących bliskich. Obiecałam Trinie, że pójde na premierę, ale na pewno nie usiąde w tylnym rzędzie z jakimś dowcipnisiem i punktową latarką.

Pewnie mógłby mnie podrzucić do domu Scott - on zawsze pyta, czy nie trzeba mnie podwieźć.

Ale ostatnio przejażdżki ze Scottem przestały mi sprawiać przyjemność, a to dlatego, że Geri Lynn ma straszne humory. Prowadzę sobie bardzo miłą rozmowę ze Scottem na ten czy inny temat - na przykład dyskutujemy o *Dwóch wieżach*, i o tym, że moim zdaniem enty

wyglądają zupełnie jak Jar Jar Binks - a tu nagle Geri Lynn nam przerywa:

Geri Lynn: Scott, pamiętałeś, żeby spytać w Ellis Floral, czy w tym roku przed Wiosennym Szaleństwem też będą mieli zniżkowe kupony na bukietki do przypinania do sukienek?

A wtedy rozmowa z entów i Jar Jar Binksa schodzi na:

Scott: Nie, Geri, nie pytałem, bo to zadanie Charlene. To ona zajmuje się działem reklamy.

Geri Lynn: Scott, twoim obowiązkiem jako redaktora naczelnego jest nadzorować wszelkie aspekty działania redakcji. Nie możesz oczekiwać, że Charlene, która jest pierwszoklasistką i nawet nie była w Liceum Clayton w czasie zeszłego Wiosennego Szaleństwa, zapamięta, żeby dowiedzieć się w Ellis Floral, czy wprowadzą tę obniżkę.

Ja: Hm, wiesz, kiedy składałam „Gazetę”, sama zauważyłam, że na ich reklamie nie było kuponów zniżkowych, zadzwoniłam i sprawdziłam, że mają zniżkę, więc się nie denerwuj.

Geri Lynn: No cóż, dobrze wiedzieć, że jest w redakcji ktoś, kto zwraca uwagę na to, co się wkoło dzieje.

Widzicie? I jak tu nie mówić o niezręcznych sytuacjach. Łatwiej po prostu pojechać ze Steve'em.

Luke poszedł nawet na moje spotkanie redakcyjne po lekcjach. Co też go niby ciekawiło? On i Geri Lynn wdali się w ożywioną dyskusję na temat prawa sławnych ludzi do prywatności. Geri upierała się, że dziennikarze odgrywają ważną rolę w budowaniu wizerunku sławnej osoby i że każdy, kto z własnej woli podejmuje pracę w dziedzinach publicznych, powinien liczyć się z tym, że go będą ścigać paparazzi. Luke, oczywiście, miał na ten temat zupełnie odmienną opinię. W każdym razie po zebraniu w „Gazecie” powiedział:

- Więc tak wygląda twój zwykły dzień?

- Tak - odparłam. - Chyba tak.

Trochę dziwnie się czułam, kiedy pomyślałam o tym, jak wygląda moje życie z perspektywy innego człowieka. A zwłaszcza kogoś, kto funkcjonuje innym trybem. No bo Luke'owi moje życie musi się wydawać naprawdę okropnie nudne, kiedy je porówna ze swoim. Na pewno jest ciągle zapraszany na otwarcia klubów, występy w talk show, premiery filmowe, do udziału w rozbieranych scenach filmowych, na imprezy, gdzie robi się malowidła z czekolady na ciele, i tego typu atrakcje.

Ale Luke nawet nie wspominał, że moje życie jest strasznie nudne w porównaniu z jego. Powiedział tylko:

- No dobra.

No dobra? A co to niby oznacza? Czy ten facet miał nie po kolei w głowie? Czemu nie mogłam go rozgryźć? Przecież zawsze mi się to udaje.

W tej samej chwili Steve zatrzymał swojego chevroleta przy krawężniku, a Trina wychyliła się i zawołała:

- Jedziecie z nami?

Ja, oczywiście, jechałam, ale Luke miał inne plany, jak się okazało.

- Przepraszam - powiedział. - Jestem z kimś umówiony. Oczywiście, to śmieszne, żeby całkiem nowy facet był „z kimś umówiony” o piątej po południu pod masztem flagowym Liceum Clayton pierwszego dnia swojego pobytu w szkole. Ale ani Trina, ani Steve tak tego nie potraktowali. Rzekli po prostu; „Okay, no to cześć”, i odjechaliśmy.

Żadne z tych dwojga nie spojrzało za siebie. Bo gdyby to zrobili, zobaczyliby wielką czarną limuzynę, która wyjechała zza rogu kilka sekund po naszym odjeździe, a Luke przybił piątkę komuś, kto siedział w środku, a potem sam wskoczył do auta.

Ciekawe, skąd on wytrzasnął taki samochód? W Clayton nie ma przecież żadnej firmy wynajmu limuzyn. Nasze miasteczko jest za małe, żeby taka firma się utrzymała. Jedyna okazja, przy której ludziom przydałyby się limuzyny, to Wiosenne Szaleństwo.

Trina zaczęła mówić o Luke'u. To znaczy, o Lucasie. Nawijała o nim przez całą drogę do domu. Potem, po obiedzie, kiedy poszłam na górę odrabiać lekcje, pisała do mnie e - maile na jego temat.

Cały czas tylko Lucas to, Lucas tamto. Czy moim zdaniem Lucasowi spodobało się w Liceum Clayton po pierwszym dniu? Czyja wiem, dlaczego jego rodzice zdecydowali się przenieść do Clayton pod koniec roku szkolnego? Dlaczego nie został w swojej dawnej szkole? Zostało mu przecież tylko kilka miesięcy do matury. Czy nie będzie żałował, że nie zdaje matury razem z dawnymi kolegami? Czy przyjemnie mu się mieszka nad jeziorem? Czy w dawnej szkole miał dziewczynę? I czy ja uważam, że to było coś poważnego?

A potem to, czego najbardziej się przez cały dzień obawiałam:

Czy nie sędzę, że Lucas niesamowicie przypomina Luke'a Strikera?

Usiłowałam jak najlepiej odpowiadać na pytania Triny, nie łżąc przy tym przesadnie, ale nie było to łatwe. No bo w odpowiedzi na niektóre musiałam kłamać. Okazywało się, że to nic prostego opiekować się w szkole gwiazdą filmową. Pan Mitchell naprawdę powinien mi płacić za to, że wszędzie ciągam za sobą Luke'a. Wiązała się z tym masa wysiłku...

I nie najmniejszą jego część stanowiło znoszenie obelg, którymi mnie obrzucał sam Luke. Tego wieczoru leżałam w łóżku i spoglądałam na baldachim nad głową. W

dzieciństwie miałam kota na punkcie księżniczek i bez końca marudziłam, że chcę spać w łóżku z baldachimem. Moja mama, która jest dekoratorem wnętrz, w końcu sprawiła mi najbardziej książęce łożo w całej południowej Indianie, na które od tamtej pory jestem na zawsze skazana. Leżałam więc teraz i myślałam o tym, co powiedział Luke na temat Cary za drzwiami stołówki.

Luke, oczywiście, nic nie wiedział o sprawie, o której gadał. Nie miał pojęcia, ile wysiłku wkładałam w to, żeby być dla Cary miłą; ile razy biegałam za nią do łazienki, ile łez otarłam, ilu rad jej udzieliłam (przy czym z żadnej nie skorzystała).

Nie wiedział, że jestem Annie i ciągle odpowiadam na masę listów od Cary. Nie rozumiał, o ile gorzej byłoby tej dziewczynie, gdyby mnie w pobliżu zabrakło.

I naprawdę nie miał pojęcia, jak to jest być mną. A szczerze mówiąc, to męczące. Przy tym całym cyrku z Cara, *Spytaj Annie*, Trina i Steve'em, porwaniem Betty Ann i machaniem rękami w Bardach...

To cud, że w ogóle znajdowałam siłę, żeby rano podnieść się z łóżka.

Muszę powiedzieć, że nie spodziewałam się, że następnego dnia znów zobaczę Luke'a. Po tych wszystkich problemach z dobudzeniem się poprzedniego dnia, przy braku espresso na terenie szkoły i po mielonych w sosie pieczarkowym - nie wspominając już o incydencie z Carą - sądziłam, że miał dość. Może i był oddany swojej sztuce, ale kto by wytrzymał w takich warunkach? Już na pewno nie milioner.

Więc kiedy weszłam na łacinę następnego dnia rano, omal się nie zakrztusiłam. Opuścił sobie koszulkę piłkarską na rzecz czegoś, co wyglądało jak wdzianko uszyte z meksykańskiego koca, a z dekoltu wyglądał naszyjnik z muszelek, jakie zawsze noszą surferzy. Zrezygnował też z adidasów. Teraz miał zamszowe buty,

Poza tym udało mu się gdzieś znaleźć espresso.. ..A raczej dużą kawę z mlekiem, w wysokim papierowym kubku. Wyglądał tysiąc razy przytomniej niż poprzedniego ranka.

- Cześć, Jen - zawołał, wślizgując się na siedzenie za mną.

Muszę przyznać, zgłupiałam na jego widok. Co on tu robił? Byłam pewna, że nie wróci. Naprawdę absolutnie pewna.

A on wrócił. Mimo wszystko nie uciekł.

Obróciłam się na krześle i szepnęłam, zadowolona, że w klasie było jeszcze mało uczniów:

- A co ty tu robisz?

Luke zamrugał.

- Jak to? Mam tu być dwa tygodnie. Nie mówili ci?

- Hm, tak - odszepnęłam. - Ale ja... po prostu myślałam...

- Ze się szybko uczę? - Luke się uśmiechnął. To był ten sam uśmiech, który podbijał serca na całym świecie, kiedy na ekranie kierował go do Ginewry granej przez Angelique Tremaine. I, muszę przyznać, mnie też serce drgnęło.

- Luke... - zaczęłam niepewnie.

- Lucas - poprawił mnie.

- Niech będzie, Lucas. Ty... No wiesz, ewidentnie strasznie ci się tu nie podobało. - Potem uznałam, że powinnam dodać coś jeszcze: - ja też ci się nie spodobałam.

Uśmiech zniknął.

- Co ty wygadujesz, Jen? Wcale nie było tak źle.

- Ale ten cyrk z Carą...

- No tak... - Skrzywił się. - Niezbyt miło została potraktowana. Ale kiedy na mnie nawrzeszczałaś, cóż... Zaciekawilo mnie to.

- Zaciekawilo? W jakim sensie? - A potem dodałam szybko: - I wcale na ciebie nie wrzeszczałam. Ja tylko...

- Upuszczalaś sobie pary. Wiem. No, ale mimo wszystko... - Zdjął pokrywke z kubka i w powietrzu rozniósł się bogaty aromat kawy. - Chcę zobaczyć, jak to się skończy.

Popatrzyłam na niego, jakby zupełnie oszalał.

- Jak co się skończy?

Ale nigdy się tego nie dowiedziałam, bo akurat zadzwonił dzwonek.

Nie powiedziałabym, że od tamtej chwili Luke i ja zaczęliśmy się dogadywać jak... Lancelot i Ginewra. On nadal przez większość czasu chodził ze zmarszczonym czołem... Zwłaszcza wtedy, kiedy w ogóle nie działo się nic wartego marszczenia czoła. Na przykład kiedy minęła nas na korytarzu Courtney Deckard ze swoimi kumpelami. Wszystkie opuściły wzrok na jego stopy, potem zmierzyły go wzrokiem od dołu do góry, aż wreszcie spojrzały mu w oczy. I dopiero wtedy się uśmiechnęły.

Czemu miałby się marszczyć z tego powodu? To właśnie tak porozumiewa się popularny tłumek. Wszyscy o tym wiedzą. Sprawdzają strój chłopaka, żeby wiedzieć, czy jest trendy. To status quo dla popularnych gości.

W innych sytuacjach nieprzytomnie go bawiły rzeczy zupełnie nieśmieszne. Na przykład w czasie próby chóru. Luke niemal tarzał się ze śmiechu, jak pan Hall stale mnie upominał, żebym się nie garbiła i szybciej podawała Trinie kapelusze w czasie *All that jazz*.

Naprawdę nie mam pojęcia, co go tak ubawiło. To wcale nie są żarty. Trzeba błyskawicznie zejść z podium, żeby wyrobić się przed tym kankanem sopranów, czy jak to się

nazywa. Wreszcie zorientowałam się, że jeśli zrzucę Trinie kapelusz ze szczytu podium, to ona wtedy zdąży dołączyć do Karen Sue i facetów tańczących w rzędku.

Nie jestem specjalistą od rzucania kapeluszem, ale za to Trina świetnie łapie, więc wydawało się, że to niezłe rozwiązanie. A przynajmniej pan Hall przestał się drzeć na mnie i poszedł się wydzierać na barytony.

Chyba po pierwszym szoku w zetknięciu z barbarzyństwem wszechobecnym w naszym liceum Luke trochę się odprężył. Poza tym przyniósł własne drugie śniadanie. Co prawda, o mało się tym nie zdemaskował - a przynajmniej ja się tego wystraszyłam - bo posiłek był ewidentnie sprowadzony samolotem z Indianapolis... No bo w Clayton nie ma barów sushi.

Ale Luke - dość zręcznie, moim zdaniem - wyjaśnił, że sam sobie zrobił sushi, z tuńczyka, którego kupił w delikatesach. O mało się nie zakrztusiłam swoją dietetyczną colą. Ale Luke powiedział to takim naturalnym tonem, że nawet Scott mu uwierzył. We dwóch wdali się nawet w dyskusję o tuńczykach nadających się na sushi i głębokim mrożeniu. Nie miałam pojęcia, o czym mówią, ale miło mi było, że moi przyjaciele starają się przyjąć z sympatią nowego kolegę...

Dopóki sobie nic przypomniałam, że Luke w sumie wcale nie był „nowym kolegą”, tylko eks gwiazdą *Pomóżcie nam niebiosy*, byłym facetem Angelique Tremaine, zapierającym dech w piersiach Tarzanem w skąpej przepasce biodrowej i bohaterskim, tragicznym Lancelotem. Przypuszczam, że to stanowiło dowód umiejętności aktorskich Luke'a, że nawet ja zaczęłam myśleć o nim jako o Lucasie Smisie, przeniesionym do szkoły w Clayton nowym uczniu. Przez cały następny dzień nie wychodził z roli nowego ucznia...

Poza jednym wyjątkiem. I zdarzyło się to tuż po pierwszej lekcji, kiedy dowiedział się o porwaniu Betty Ann Mulvaney.

- Po co uczysz się łaciny? - spytał mnie, kiedy szliśmy do mojej szafki po lekcji. - Przecież to martwy język? Nikt już nim nie mówi.

- Przydaje się - udzieliłam zwyczajowej odpowiedzi. Bo prawda jest zbyt dziwaczna, żeby się do niej przyznawać. Zwłaszcza przy zdobywaniu dodatkowych punktów.

- Nie potrzebujesz tego - powiedział Luke z przerażającą pewnością siebie, jak na kogoś, kto znał mnie od dwudziestu czterech godzin. - Pracujesz dla szkolnej gazety. Doskonale znasz gramatykę. Po co naprawdę się jej uczysz?

Luke ma tylko dziewiętnaście lat, ale jest o wiele starszy niż przeciętny chłopak w jego wieku, jeśli wziąć pod uwagę, że ma własny dom w Hollywood Hills i że jego czeki z wypłatą opiewają na ponad dziesięć milionów więcej niż zarabia co roku mój tata, nie

wspominając już o tym tatuażu na znak wierności. Może więc dlatego powiedziałam mu prawdę.

- Słyszałam, że pani Mulvaney jest naprawdę dobrą nauczycielką - szepnęłam, w razie gdyby Courtney Deckard albo jej przyjaciółki kręciły się w okolicy i mogły mnie podsłuchać.

- Więc się zapisałam na te zajęcia.

Luke zrozumiał to prędzej, niż się po nim spodziewałam.

- Ach, tak - mruknął. - To jak w aktorstwie. Chcesz pracować z naprawdę dobrym reżyserem, więc w ciemno bierzesz rolę. Tylko że... Nie obraż się, ale pani Mulvaney nie wydaje mi się taka świetna. To znaczy, ona tak tam... po prostu siedzi.

- Och - westchnęłam. - Tak. No cóż, taka się zrobiła w ostatnich dniach, przez to co się stało z Betty Ann.

Luke zapytał, kto to jest Betty Ann. Pewnie powiedziałam mu trochę za dużo - na przykład plotkę o tym, że pani Mulvaney sama nie mogła mieć dzieci i że Betty Ann była dla niej takim zastępczym dzieckiem. Prawdę mówiąc, nadal się martwiłam. Tym, co Kurt i tamci faceci zrobią Betty Ann. Bo nie sądziłam, żeby któryś z nich był na tyle bystry, żeby zrozumieć, jak ważna jest Betty Ann dla pani Mulvaney. Dla niej Betty Ann to nie żadna lalka czy szkolna maskotka. Ona jest jak... rodzina.

Ale zrobiłam błąd, mówiąc o tym Luke'owi.

- Porwali ją? - prawie krzyknął, na samym środku korytarza. - Ale dlaczego?

- To taki żart - wyjaśniłam. - Żart maturalny.

- Ach tak, szalenie zabawne - prychnął. - A kiedy mają zamiar ją oddać?

- Pewnie po maturze - powiedziałam. Taką miałam nadzieję.

Ale ta odpowiedź mu nie wystarczyła.

- Po maturze? - Luke był mocno zbulwersowany. - Wiesz, kto to zrobił? Kto ją ma?

- Nooo, tak... - odparłam niepewnie.

- No więc zmusz ich, żeby ją oddali - powiedział Luke. - Żeby zrobili jakiś inny żart.

Ten nie jest śmieszny.

Zgadzałam się z nim, oczywiście, ale co mogłam zrobić? Byłam zwykłą drugoklasistką. Nie miałam żadnego wpływu na Kurta i jego kumpli.

Ale Luke patrzył na to inaczej.

- Nieprawda - zawołał. - I ty to wiesz, Jen.

Opowiedziałam Luke'owi, że Kurt kazał mi się wyluzować.

Luke pokręcił głową. Nic więcej potem już nie dodał na ten temat.

Ale zauważyłam, że zaczął odnosić się do pani Mulvaney szczególnie uprzejmie. Luke

był uprzejmy wobec wszystkich - i to dlatego praktycznie wszystkie dziewczyny w szkole, nie tylko Trina, zakochały się w nim, zanim jeszcze nadszedł następny weekend. Ale dla pani Mulvaney był więcej niż miły i jej też przynosił co rano dużą kawę z mlekiem, otwierał przed nią drzwi i nawet spróbował się nauczyć kilku koniugacji.

W gruncie rzeczy, jeśli cokolwiek poprawiało humor pani Mulvaney, to właśnie Luke. Artykuł na dwie strony w „Gazecie” nie wystarczył, żeby sprawcy się ujawnili, a list Kurta z żądaniem okupu, który głosił wyłącznie: *Piątki na koniec roku, dla wszystkich maturzystów albo Betty Ann kopnie w kalendarz*, raczej odbiegał od pogodnego dowcipu, jakim powinien się charakteryzować żart maturalny. Pani Mulvaney wydawała się więc zauroczona Lukiem. Do tego stopnia, że uśmiechała się wyłącznie wtedy, kiedy wchodził do sali.

Pani Mulvaney, jak wspomniałam, raczej nie należała do wyjątków, kiedy chodziło o odporność na wdzięk Luke'a. Trina z dnia na dzień coraz bardziej się w nim durzyła. Prosto z mostu poprosiła go o numer komórki - i to przy Stevie, który miał zdruzgotaną minę, ale ani słowem tego nie skomentował - a potem poskarżyła mi się gorzko, że zadzwoniła, ale odezwała się poczta głosowa Luke'a. Jedenaście razy.

Mimo to Trina wcale nie nabrała podejrzeń. Jeśli już, to cała ta niedostępność tylko wzmogła urok Luke'a w oczach Triny.

To samo dotyczyło Geri Lynn. wydawało się, że wciąż nie może się napatrzeć na Luke'a... Zwłaszcza w czasie obiadu i na zebraniach „Gazety”. Co było tym bardziej dziwne, że tych dwoje w zasadzie przez cały czas się sprzeczało. Geri Lynn wciąż się rozwodziła o decydującej roli, jaką odgrywają dziennikarze w tworzeniu lub niszczeniu kariery jakiegś sławy, podczas gdy Luke nie ukrywał swojej opinii o dziennikarzach jako o szukających sensacji i zawsze gotowych wbić komuś nóż w plecy krwiopicach, spragnionych wyłącznie pieniędzy. Spory osiągnęły taki stopień zacietrzewienia, że Scott polecił Geri i Luke'owi napisać felietony do kolumny *Za i przeciw*. Geri Lynn miała bronić paparazzich, Luke ich atakować.

Muszę przyznać, że felieton Luke'a był zaskakująco dobrze napisany. Co tylko pogłębiło moją dezorientację co do niego. Czasami wydawał się totalnie znudzony i zniechęcony wszystkim, co miało związek z Liceum Clayton. Ale czasami (jak na przykład w akcji z Carą) prezentował zaskakującą powagę i zasadniczość. Poza tym facet był wyraźnie bystry.

Ale chociaż mogłam wybaczyć Trinie zauroczenie Lukiem, nie potrafiłam zdobyć się na taką samą wyrozumiałość wobec Geri Lynn - która wprawdzie się z nim kłóciła, ale jednocześnie wlepiła w niego oczy, ile razy pojawiał się gdzieś w pobliżu. No bo przecież

Geri nie chodziła z takim Steve'em, który raczej nie jest najseksowniejszym facetem pod słońcem. Ona chodziła ze Scottem Bennettem... Którego, ja wiem, większość uzna za nudnego intelektualistę bo jest naczelnym redaktorem szkolnej gazety, i uwielbia czytać i gotować.

Ale ci ludzie nie znają Scotta. Oni nigdy z nim nie dyskutowali, tak jak ja, o wyższości nowego, pełnego wydania *Bastionu* Stephena Kinga nad wydaniem skróconym.

Nigdy nie spróbowali, tak jak ja, jego chłodnika ogórkowego.

W przeciwieństwie do mnie, nie siedzieli razem z nim przy ognisku, słuchając, jak opowiada o bolesnym rozstaniu swoich rodziców, o swojej decyzji o wyjeździe i mieszkaniu z mamą, a potem, kilka lat później, o powrocie do Clayton i daniu kolejnej szansy ojcu.

Oni nigdy nie zauważyli, w przeciwieństwie do mnie, że oczy Scotta są jeszcze bardziej piwne niż moje, że czasami bywają zielone, a czasem złote, tego samego koloru co bursztyny z zatopionymi komarami w *Jurassic Park*.

Nigdy nie obserwowali, jak silne dłonie Scotta śmigają po klawiaturze komputera, kiedy poprawia moje odpowiedzi do rubryki *Spytaj Annie*. Ani tego, jak sprawnie się podciągnął na kłodę drewna, zanim mogła go pochłonąć fala orzechowego masła.

Nigdy nie słyszeli historii o zupie z kabaczka.

Czy jakaś zwykła gwiazda filmowa może być warta, żeby odrzucać dla niej takiego faceta?

Nawet jeśli ta gwiazda filmowa się demaskuje i wszyscy nagle się dowiadują, że wcale nie jest nowym uczniem przeniesionym do naszej szkoły?

Nawet jeśli tak się złoży, że ta gwiazda filmowa zaprosi cię na Wiosenne Szaleństwo?

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów mailowych.

Droga Annie,

wydaje mi się, że mój chłopak mnie zdradza, ale on temu zaprzecza. Skąd mam wiedzieć, czy mnie okłamuje, czy nie?

Randkująca z Niegodziwcem

Droga Randkująca,

jeśli Cię zdradza, to zauważysz przynajmniej kilka z niżej opisanych zachowań:

- *Coraz więcej sobotnich wieczorów spędza „z chłopakami”.*
- *Dostaje na komórkę telefony, których nie odbiera przy tobie.*
- *Nagle zaczyna dbać o fryzurę/ubranie.*
- *Oskarża Ciebie o to, że to Ty go zdradzasz (wywoływanie poczucia winy).*
- *Zadaje dziwne, pozornie bezsensowne pytania, na przykład: „Czy twoim zdaniem, można kochać dwie osoby naraz?”*
- *Dostaje nowa, pracę albo tak czy inaczej ciągle jest „zapracowany”.*
- *Nagle zaczyna się interesować zespołem, którego nigdy przedtem nie lubił.*
- *Przestaje pisać do Ciebie e - maile tak często jak przedtem, chociaż, wydaje się, że w sieci spędza więcej czasu.*
- *Otwiera sobie nowe konto e - mailowe.*
- *Nie próbuje dobrać się do Twoich majtek.*

A co najważniejsze, jeśli go podejrzewasz, że Cię zdradza, to prawdopodobnie tak jest... Ufaj własnej intuicji. Chyba że jesteś jedną z tych głupich, pozbawionych poczucia bezpieczeństwa dziewczyn, którym zawsze się wydaje, że je chłopak zdradza, nawet wtedy, kiedy tego wcale nie robi - a w takim przypadku, stuknij się w rozum.

Annie

Zaczęło się tak, jak zwykle się takie rzeczy zaczynają - całkiem niewinnie. W sobotę miałyśmy być w myjni samochodów - tej zorganizowanej przez Bardów żeby zebrać pieniądze na durne sukienki na durny występ w ramach konkursu chórów rewiowych, który czekał nas w przyszłym tygodniu.

Organizowanie mycia samochodów w stanie Indiana pod koniec wiosny to trochę jak loteria, bo nigdy nie wiesz, jaka będzie akurat pogoda. Po pierwszym czerwca zwykle bywa: ciepło. Ale pojawia się też ryzyko nagłych burz z piorunami, a czasem nawet tornada. Chociaż one najczęściej przychodzą dopiero pod koniec czerwca.

Tak czy siak, nie wiesz, czy budząc się którejs czerwcowej soboty, zobaczysz idealny letni dzień - temperatura około dwudziestu stopni, ciepła bryza wszędzie roznosząca zapach kapryfolium, czyste błękitne niebo, szelest zielonych liści w gałęziach drzew - czy też dzień szary, z porywistym wiatrem i temperaturą koło piętnastu stopni, kiedy stopy ci marzną w sandałach, które nosiło się tak wygodnie jeszcze wczoraj.

Ale w sobotę wyznaczoną przez Bardów na mycie samochodów pogoda była letnia. Do dziesiątej rano zrobiło się już ze dwadzieścia pięć stopni. Trina zadzwoniła i powiedziała:

- Wkładam kostium i krótkie spodnie. Ty też lepiej tak zrób.

Posłuchałam jej, ale tylko po to, żeby dała mi spokój z Lukiem. Od wczorajszego wieczoru zadreżczała mnie pytaniami, czy moim zdaniem pojawi się na myciu samochodów, czy nie. Prawdę mówiąc, przydałby mi się dzień bez Luke'a. To znaczy, on jest miły - i oczywiście bardzo przyjemny dla oczu - ale dziewczyna naprawdę zniesie tylko tyle i nie więcej. Do czasu, kiedy Steve i Trina wysadzili mnie z samochodu pod domem w piątek wieczorem, nerwy miałam w strzępach. Bo usiłowałam:

a) nie dopuścić, żeby ludzie się zorientowali, że Lucas Smith to w gruncie rzeczy Luke Striker, a nie żaden uczeń przeniesiony do naszej szkoły, i

b) powstrzymać Luke'a od myślenia, że wszyscy z Liceum Clayton to pomioty szatana, ze względu na tę całą sytuację z Betty Ann i Carą, i

c) podawać Trinie na czas kapelusz podczas *All that jazz*, nie mówiąc już o opanowaniu choreografii, i

d) nie zaniedbać swoich innych zajęć, takich jak pisanie do rubryki *Spytaj Annie*, uczenie się trygonometrii i powstrzymywanie Cary przed popełnieniem samobójstwa.

A więc po takim tygodniu po prostu byłam wrakiem człowieka.

Opieka nad dzieckiem była tego wieczoru prawdziwą ulgą. Z niekłamaną przyjemnością zagrałam milion razy z rzędu w loteryjkę.

Niezbyt cieszyła mnie perspektywa mycia samochodów. Trina i ja zwykle spędzamy sporą część soboty w centrum handlowym, gdzie nieodmiennie wpadamy na znajomych, na przykład na Geri Lynn i Scotta w księgarni, gdzie jak zawsze wdajemy się w długą rozmowę o nowościach z działu SF. To znaczy Scott i ja. Geri Lynn i Trina zwykle idą wtedy poprzeglądać kolorowe pisma.

Poza tym wcale nie przepadam za spędzaniem czasu w towarzystwie Bardów. Nie zrozumcie mnie źle, uwielbiam alty. Żyrafa Kim i Pękata Deb, Nieśmiała Audrey, Twarda Brenda i Znudzona Liz to moje dobre kumpele. Bardzo się zbliżyłyśmy, wyśpiewując la - la - la na środkowym C.

Ale cała reszta tych śmiesznych odmieńców, jak ich nazywa Trina (choć, jak zauważyłam, dopiero od momentu, kiedy mnie namówiła, żebym się do nich przyłączyła), może trochę działać człowiekowi na nerwy - zwłaszcza soprany. One wszystkie uwielbiają pana Halla i bezwarunkowo wykonają każde jego polecenie... Zupełnie jak klony w *Gwiezdnych Wojnach, Część II.*

Tenory też są trochę irytujące. Większość z nich to chłopcy z pierwszej klasy. Nic tylko żarty o pierdzeniu i Limp Bizkit.

Ale nie miałam większego wyboru. Dzięki Irinie.

I przecież musiałam wytrzymać w Bardach jeszcze tylko kilka tygodni, a potem skończy się szkoła. I nieważne, jaką presję zamierzała wywierać na mnie Trina - nie ma mowy, żebym wzięła udział w przesłuchaniach w przyszłym roku.

W każdym razie, chociaż były miejsca, w których wolałabym się w tym czasie znaleźć zamiast myć samochody z Bardami - przychodzi mi na myśl, na przykład, partyjka loteryjki z jakimś czterolatkiem - ładna pogoda trochę złagodziła moją złość. Trina i ja naprawdę mogłyśmy popracować nad opalenizną - z pomocą kremu z mocnym filtrem, bo jako typowa „dziewczyna z sąsiedztwa” na słońcu raczej się spalam, niż opalam. Więc nie była to taka totalna strata czasu.

A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Ponieważ pan Hall chciał zebrać jak najwięcej pieniędzy - niektóre dziewczyny nie miały stu osiemdziesięciu dolców do wywalenia na sukienkę, nawet taką z błyskawicą z cekinów, pewnie dlatego, że nie opiekują się dziećmi tak często jak ja - poprosił meksykańską restaurację na rogu ulicy tuż przed skrzyżowaniem na parking centrum handlowego, żeby nam pozwolili zorganizować to mycie samochodów na swoim parkingu. Właściciele restauracji,

dla utrzymania dobrosąsiedzkich stosunków ze szkołą, jak podejrzewam, zgodzili się.

Więc kiedy Steve, Trina i ja pojawiliśmy się na naszą zmianę przy myciu samochodów od 12.00 do 14.00, w sumie był tam całkiem duży ruch. Poza wszystkimi samochodami należącymi do rodziców i przyjaciół Bardów - a jest nas trzydzieścioro, więc tych mit zebrało się sporo - były tam też samochody klientów restauracji meksykańskiej, pracowników restauracji oraz tych wszystkich, którzy nie mieli nic lepszego do roboty w piękny sobotni dzień i przyjechali do centrum handlowego.

Czyli bardzo dużo samochodów.

Biznes kwitł. Ledwo pojawiliśmy się na parkingu, podleciał do nas pan Hall, wręczył każdemu wiadro z mydlinami i gąbkę, i rzucił:

- Do roboty! Przez trzy ostatnie godziny już zebraliśmy dwieście dolarów. Ale potrzeba nam jeszcze dwóch tysięcy, zanim zwiniemy interes na dzisiaj.

Nie chciałabym stawiać Clayton w złym świetle - no bo poza sporadycznymi przypadkami przestępstw na tle rasowym (w końcu jest to jednak południowa Indiana), całkiem przyjemnie się tu mieszka.

Ale pragnęłabym tylko zaznaczyć, że myjnia samochodowa Bardów nie zarobiłaby i połowy tych pieniędzy, gdyby nie to, że pod szyldem meksykańskiej restauracji stała Karen Sue i grupa innych sopranów, ubranych wyłącznie w bikini.

I okay, trzymały afisze, które głosiły: WESPRZYJCIE BARDÓW Z LICEUM CLAYTON, ale poważnie wątpię, żeby to z powodu samego hasła zatrzymywało się tylu facetów w furgonetkach, którzy najwyraźniej byli w drodze na ryby nad jezioro Clayton.

Trzeba mieć dość spore... hm... płuca, żeby być sopranem. No cóż, a przynajmniej jeśli jesteś w Bardach Liceum Clayton. To stąd, no wiecie, te staniki z wkładkami, które pan Hall każe nam nosić dla jednolitego wyglądu”.

W każdym razie Trina, Steve i ja złapaliśmy gąbki i kubły i zabraliśmy się do pracy. Znalazłam swoje zaprzyjaźnione alty i w sumie całkiem nieźle się bawiłyśmy, myjąc furgonetki i od czasu do czasu ochlapując się mydlinami, kiedy nagle kątem oka dostrzegłam poobijane stare audi Scotta Bennetta. On i Geri jechali właśnie do centrum handlowego, zauważyli nas i przystanęli, żeby dołączyć do zabawy.

Przynajmniej Scott miał ochotę dołączyć do zabawy. Wygrzebał nawet z kieszeni dziesięć dolców, żebyśmy mu umyli samochód.

Ale Geri Lynn miała minę, jakby nie była tym pomysłem zachwycona. Najwyraźniej jechali właśnie do sklepu ze sprzętem komputerowym, rzucić okiem na laptopy. Scott pewnie chciał pomóc Geri wybrać laptopa, którego ona zabierze na studia.

- Sklep nigdzie nam nie ucieknie, Geri - powiedział do niej Scott, kiedy zaprotestowała przeciwko zatrzymaniu się przy nas.

Potem, chociaż nam zapłacił, sam wziął gąbkę i zabrał się do szorowania własnego samochodu. Właściwie zaczął myć tuż obok miejsca, w którym ja pracowałam nad jednym z kołpaków.

Geri, w żółtej minispódniczce i espadrylach, była raczej nieodpowiednio ubrana do mycia samochodów, więc odpłynęła w stronę sopranów, które stały obok szyldu restauracji i zaczęła rozmawiać z Karen Sue o Wiosennym Szaleństwie. Geri i Scott wybierali się, oczywiście. Karen Sue i Geri miały chyba wiele wspólnych tematów, biorąc pod uwagę, że spotykają się z facetami młodszymi od siebie.

- Skończyłem *Młot Lucyfera* - oznajmił Scott, kiedy ścierałam zaschnięte błoto z kołpaka.

Zapomniałam, że mu to pożyczyłam. Oboje mamy hopla na punkcie książek o wielkich katastrofach, które zagrażają zniszczeniem życia na Ziemi.

- Ach, tak? - powiedziałam. - I co o tym myślisz?

- To kupa prawicowego łajna - stwierdził Scott.

No i zaczęło się. Trina nawet powiedziała: „O, ci znowu swoje”, i przewróciła oczami, bo już zdarzało jej się słyszeć, jak ze Scottem dyskutujemy o książkach.

I to pewnie nie jest najlepsza metoda, żeby facet cię polubił. To znaczy, mówić mu, że bardzo się myli na temat jakiejś książki. Ale fakt faktem, że Scott i ja nie mamy nic do stracenia, bo on najwyraźniej wcale nie zamierza mnie polubić w szczególny sposób, a poza tym on i Geri Lynn są jak papużki nierozłączki.”

No więc bawiliśmy się świetnie, dyskutując o *Młocie Lucyfera*. To powieść science fiction o tym, jak wielki asteroid uderza w Ziemię i niszczy znaczną jej część, i jak ludzie, którzy przetrwali, muszą zdecydować, kto będzie miał dostęp do tej niewielkiej pozostałej ilości pożywienia. Książka stawia interesujące filozoficzne pytania, na przykład: Kto jest ważniejszy przy tworzeniu nowego społeczeństwa, lekarz czy artysta? Prawnik czy więzień? Komu pozwolić żyć, a komu dać umrzeć?

Ja się upierałam przy tym, że *Młot Lucyfera* to historia o przetrwaniu jednostki i o jej wartości. Scott twierdził, że to polityczny komentarz do typowej socjoekonomiki z lat siedemdziesiątych. Trina i Steve, którzy nie czytali książki, trzymali się z boku i tylko pojękiwali za każdym razem, kiedy któreś z nas używało słowa takiego, jak „powierzchowny” albo „zwodniczy”.

Ale dyskusowanie ze Scottem o książkach to świetna rozrywka.

I było tak do chwili, kiedy Scott spojrział na mnie i powiedział:

- Więcej mydlin wylewasz na siebie niż na samochód.

I miał rację. Jak się okazuje, mycie samochodów wymaga równie dużej koordynacji ruchowej jak taniec. A chociaż z łatwością umiem rozsądzać spory między ludźmi, koordynacja ruchowa najwyraźniej nie jest moją mocną stroną.

Sama nie wiem, co mnie wtedy opętało. Naprawdę. To było zupełnie tak, jakby na sekundę w moją duszę wstąpiła zupełnie inna dziewczyna, flirtująca taka jak Trina czy Geri Lynn. Wiem tylko, że chwilę później powiedziałam: „Ach, tak?”, i cisnęłam gąbką, trafiając Scotta w sam środek klatki piersiowej.

- Witaj w klubie - dodałam.

Chwilę później Scott ganiał mnie po parkingu, grożąc, że wyleje mi na głowę wiadro mydlin, kiedy mnie złapie. Wszyscy przerwali pracę i zaczęli się śmiać... Wszyscy poza Geri Lynn. Podeszła do nas zamaszystym krokiem z miną naprawdę wkurzoną.

- Popatrz na siebie - powiedziała do Scotta. - Jesteś cały mokry!

Scott spojrział na siebie.

- To tylko woda, Ger - odparł lekkim tonem.

- Ale nie możemy iść tak do centrum. - Tupnęła nogą w espadrylu. - Jesteś przemoczony do suchej nitki!

- Wyszchnę - uspokoił ją Scott.

Do tego czasu już skończyliśmy myć jego samochód, więc oddał mi wiadro. Trochę byłam rozczarowana, że nie wylał mi wody na głowę, tak jak obiecywał. Nie pytajcie mnie dlaczego.

- Pewnie! Za kilka godzin! - krzyknęła Geri.

- Och, daj spokój, Geri - powiedziałam. - Tylko się wygłupialiśmy. A poza tym, nikt w sklepie nie zwróci na to uwagi.

- Ja zwrócę na to uwagę - powiedziała. Wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać. - Czy ja się tu nie liczę?

Wtedy zrozumiałam, że wcale nie chodzi o mokrą koszulkę. Chyba Geri była zazdrosna. Ona wyjeżdżała na studia, a Scott miał jeszcze rok do matury.

Bez słowa zawróciłam i poszłam tam, gdzie stali Trina, Steve i alty. Złapałam nową gąbkę i zajęłam się osobówką, którą mieli czyścić.

- Wygląda na to, że w rajku pojawił się problem - zanuciła Trina, oglądając się przez ramię na Geri i Scotta, którzy stali na skraju parkingu przy jego samochodzie, rozmawiając z wielkim ożywieniem (ale niestety za cicho, żebyśmy mogli coś usłyszeć).

- Moim zdaniem oni nigdy do siebie nie pasowali - stwierdziła Znużona Liz. - Geri jest zbyt zaborcza. I co ona wiecznie z tą odgazowaną colą?

- Och, daj spokój - zaprotestowałam, bo czułam się winna. Wiem, że ich kłótnia to niezupełnie moja wina, ale nie powinnam rzucać w Scotta gąbką. Pożyczanie książek czyjemuś chłopakowi to jedna rzecz. No bo, mimo wszystko, Scott i ja jesteśmy przyjaciółmi. Ale rzucanie mokrą gąbką? To niedopuszczalne. - Geri jest miła.

- A wkrótce będzie samotna, jeśli się nie opanuje - zawyrokowała Twarda Brenda. - Nie można tak facetem pomiatać.

- Tak - mruknęła Trina ledwo słyszalnym szeptem. - Ale jeśli ze sobą zerwą, wtedy będziesz wreszcie mogła się z nim umówić, Jen, tak jak ci mówiłam już na początku roku szkolnego.

- Trina! - Byłam zaszokowana. Biedna Geri! Biedny Scott!

Pan Hall, który samodzielnie zajmował się przeliczaniem funduszy, podszedł do nas i zaklaskał.

- Starczy już tych pogaduszek! - zawołał, a kozia bródka aż mu się trzęsła. - Do pracy, ludzie! Do pracy!

I dokładnie wtedy pojawił się Luke, zupełnie nie wiadomo skąd. No bo nigdzie w okolicy nie widziałam jego limuzyny.

- Luke! - Nie zdołałam powstrzymać okrzyku na jego widok, a potem natychmiast się poprawiłam: - Eee, to znaczy, Lucas.

- Hej! - Luke wyszczerzył zęby, przechodząc przez parking w naszą stronę. W przeciwieństwie do nas wszystkich Luke nie miał na sobie kostiumu ani szortów. Był kompletnie ubrany, w dżinsy i flanelową koszulę. Wydawało mi się, że jest za ciepło na flanelę, ale może według Luke'a coś takiego powinien wkładać licealista na mycie samochodów. - Przepraszam za spóźnienie.

- O rany, przyszedłeś! - zawołała Trina, podbiegając do niego w podskokach. - To świetnie! Jen nie była pewna, czy do nas zajrzysz.

Prawdę mówiąc, Luke i ja w ogóle nie rozmawialiśmy o jego planach na weekend. Po prostu założyłam, że zostanie w willi nad jeziorem i pokaże się w szkole w poniedziałek. Nawet nie przyszło mi do głowy, że zechce... no cóż, tracić czas z bandą licealistów. Poczulałam się trochę winna, że wcale go nie spytałam, czy do nas dołączy.

Ale Luke najwyraźniej nie potrzebował zaproszenia.

- Zmiana planów - powiedział, nadał szeroko uśmiechając się do Triny. - Poza tym chyba przyda wam się każda para rąk. Samochody stoją w diabelnie długiej kolejce.

Trina pobiegła po kubek i gąbkę i niebawem, na moich pełnych niedowierzania oczach, Luke zabrał się do mycia razem z nami. Śmiał się i żartował, szczerze się tym wszystkim bawiąc. Jak my wszyscy zresztą.

To znaczy poza Scottem i Geri. Tamci nadal sprzeczali się na skraju parkingu. Usiłowałam nie gapić się na nich - ani też nie wmawiać sobie, że to wszystko moja wina - ale było to trudne, zwłaszcza kiedy Geri nagle krzyknęła:

- Świetnie! Jeśli tak właśnie uważasz, to między nami koniec! - I ruszyła jak burza w stronę restauracji, pewnie po to, żeby schować się tam w damskiej łazience i wypłakać.

Scott wołał za nią, ale nic. Geri wpadła do restauracji, szlochając niemal tak głośno jak Cara po szczególnie brutalnym muczeniu.

Odłożyłam gąbkę. Nie miałam już wątpliwości, gdzie w takiej sytuacji spędzę większą część popołudnia.

Ale zanim zdążyłam pobiec za Geri - zanim w ogóle zdołałam wyrzec chociaż jedno słowo pocieszenia do wyraźnie wzburzonego Scotta, którego mijałam po drodze do restauracji - Luke, któremu ewidentnie umknęła cała kłótnia, powiedział:

- Ludzie, ale tu gorąco!

I zdjął koszulę.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

jestem poważnie zakochany w dziewczynie mojego najlepszego przyjaciela. Co mam robić?

Anonim

Drogi Anonimie,

nic, jeśli chcesz zachować tą przyjaźń. Jakikolwiek ruch możesz wykonać tylko wtedy, kiedy Twój przyjaciel i jego dziewczyna zerwa,. Wtedy, i tylko wtedy, możesz się z nią umówić... Ale dopiero kiedy minie już odpowiedni okres żałoby. I nie zdziw się, jeśli Twój przyjaciel i tak się na Ciebie wścieknie. Przyjaciele nie umawiają, się z drugimi połówkami swoich przyjaciół... Nawet jeśli to są byle drugie połówki.

Annie

W pierwszej chwili w ogóle nie zwróciłam uwagi na to, że Luke zdjął koszulę. Połowa facetów myślała samochody bez koszuli.

No i co z tego, że facet zdjął koszulę? Wielkie rzeczy. Miałam o wiele poważniejsze zmartwienia. Na przykład to, że najbardziej znana para z Liceum Clayton najwyraźniej zerwała na moich oczach i że prawdopodobnie - wiem, że nie wyłącznie, ale chyba częściowo - stało się to przeze mnie.

Mimo to, słysząc jak Trina nagle głośno wdycha powietrze, stanęłam jak wryta i już nie pobiegłam za Geri.

Nie wiem, dlaczego tak zrobiłam. Zatrzymałam się, a potem powoli obróciłam.

Popatrzyłam na Trinę. Nie odrywała oczu od Luke'a. I nie tylko od jego doprawdy imponującego kaloryferka... Światło igrało na jasnych włosach pokrywających jego tors, schodzących prostą linią przez umięśniony brzuch i znikających za paskiem lewisów...

Nie, żeby nie było warto patrzeć na te wszystkie cuda. Bo totalnie było warto.

Ale uwagę Triny najwyraźniej przykuł tatuaż na prawym ramieniu Luke'a.

Tatuaż, który mówił: *Angelique*.

- O mój Bo... - zaczęła Trina. Ale nie udało jej się skończyć zdania, bo zasłoniłam jej usta dłonią. - Mmm, mmm...

- bełkotała gorączkowo pod moimi palcami.

Trzymałam ją jednak w żelaznym uścisku.

- Zamknij się i chodź ze mną - syknęłam Trinie do ucha, potem zaczęłam ją ciągnąć w stronę restauracji.

- Al... mmm... - usiłowała wykrztusić Trina.

- Dziewczynki! - zawołał z irytacją pan Hall, kiedy go mijaliśmy. - Nie czas na zabawy. Mamy mnóstwo samochodów do umycia.

- Tak, tak. Za chwilę wrócimy, panie Hall - zapewniłam.

- Musimy tylko na chwilę skoczyć do toalety.

W restauracji wepchnęłam Trinę do łazienki... gdzie wreszcie zdjęłam rękę z jej ust.

- O mój Boże, Jen! - zawyła. - To Luke Striker! Ten nowy facet to Luke Striker!

- Óóó... - Potrwało chwilę, zanim oczy mi się przyzwyczyły do półmroku wnętrza po tak długim przebywaniu na słońcu. Ale i tak się zorientowałam, że nie jesteśmy w łazience same. Słyszałam, jak Geri chlipie w ostatniej kabinie...

A przynajmniej chlipała, póki nie usłyszała magicznego hasła: Luke Striker.

- Posłuchajcie. - Popatrzyłam na nie poważnie. Trina była zarumieniona od słońca i z ekscytacji, Geri zapuchnięte od łez. Obie miały jednak bardzo entuzjastyczne miny. - Dobra. Tak, Lucas to Luke Striker. Jest tu po to, żeby się przygotować do roli. I sam doktor Lewis poprosił mnie, żebym łaskawie utrzymała jego tożsamość w sekrecie, więc musicie mi obie...

Ale równie dobrze mogłam przemawiać do przedszkolaków. Trina i Geri spojrzały na siebie i zaczęły podskakiwać, wrzeszcząc, ile sił w płucach:

- Luke Striker! Luke Striker! Luke Striker!

- Hej - krzyknęłam, obawiając się, że zlecą się wszyscy ludzie z restauracji. - Przestańcie. To miał być sekret...

- O mój Boże, wiedziałam, że to on. - Trina tylko na chwilę przestała skakać. - Kapnęłam się już tamtego dnia w stołówce, kiedy powiedział, że jest wegetarianinem. Bo wiecie, że przestałam jeść mięso, kiedy przeczytałam w „Teen People”, że Luke jest wegetarianinem od czasu pracy w *Pomóżcie nam niebios*.

- Ja też wiedziałam, że to Luke Striker - wtrąciła Geri. - Od wczorajszego zebrania „Gazety”. Kiedy zaczął mówić o prawie do prywatności sławnych ludzi. Przysięgam, że kiedy to powiedział, pomyślałam sobie wtedy: „Ależ on jest podobny do Lancelota z filmu. Ciekawe czy to nie Luke Striker?”

- Dziewczyny! - wrzasnęłam najpaskudniejszym głosem, tym, którego używam tylko jako opiekunka do dzieci, kiedy zaczynają oblewać się keczupem.

Mimo wszystko, podziałało. I Trina, i Geri zamknęły się i spojrzały na mnie.

- Posłuchajcie mnie - powiedziałam już cichym, spokojnym głosem. - Prawdziwa tożsamość Luke'a ma zostać tajemnicą. Nikt nie może poznać prawdy, jasne? Tak chce Luke. Jest tu, żeby się przygotować do roli. A nie zdoła tego zrobić, jeśli ludzie w szkole nie będą się zachowywać naturalnie. Więc jeśli się rozejdzie, że naprawdę jest Lukiem Strikerem, to przepadło, jasne?

Trina i Geri wymieniły spojrzenia.

- Oczywiście - oznajmiła Trina. - Luke ma tak wiele szacunku dla własnej pracy, że jako koleżanka artystka nigdy bym nie zrobiła czegoś, co mogłoby zakłócić jego artystyczne cele. Nie powiem słowa nikomu.

Ger, nie chcąc być gorsza, podniosła dwa palce jak do przysięgi.

- Zabiorę tę wiedzę do grobu.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy Luke zdjął koszulę - nie od kiedy Geri zaczęła wydierać się na Scotta - poczułam, że trochę się odprężam.

- Okay - powiedziałam. - No to umowa stoi. Żadna z was nie puści pary z ust, kim naprawdę jest Lucas...

- O mój Boże! - Trina klepnęła się w czoło. - I po co ja obiecywałam Steve'owi, że pójde z nim na Wiosenne Szaleństwo, skoro mogłabym pójść z Lukiem Strikerem?

- Możesz sobie pomarzyć - odpaliła Geri. - Zabierze tam mnie.

Własnym uszom nie wierzyłam.

- Czy wyście słyszały chociaż jedno słowo z tego, co mówiłam?

- Tak, jasne - odparła Trina. - Przysięgamy nic nie mówić, bla, bla, bla. Ale wolno mi o nim marzyć, no nie?

- Ha! Ja już nie mam z kim iść na Wiosenne Szaleństwo - oznajmiła radośnie Geri, wyjmując z torebki błyszczki. - Więc moje marzenia mogą się spełnić. Wyjdę tam i zaraz go sama zaproszę.

Spojrzałam na Geri z przerażeniem.

- Kogo? Luke'a? Na Wiosenne Szaleństwo? Ale... ja myślałam, że idziesz ze Scottem!

- Już nie! - Geri uśmiechnęła się i z wprawą nałożyła warstwę błyszczki.

Szczyt wszystkiego. No dobra, zerwali, ale żeby paplać o tym z taką swobodą...

- Ty i Scott rozstaliście się? Na dobre? Przed chwilą?

- Otóż to. - Ewidentnie zadowolona z tego, co zobaczyła w lustrze, Geri wrzuciła błyszczki z powrotem do torby i zwróciła się do mnie: - I nawet nie próbuj mnie namawiać, żebym się z nim pogodziła, Jen. Wiem, że uważałaś nas za świetną parę, ale prawdę mówiąc, tak będzie dla nas obojga najlepiej. Ja pod koniec lata wyjeżdżam, a on ma przed sobą jeszcze rok tu, w Clayton, i... Po prostu tak będzie łatwiej.

Widziałam po jej zaciśniętej szczęce, że mówi serio.

Mimo to czułam, że muszę coś powiedzieć.

- Ale wy się już ze sobą kłóciliście i zawsze się jakoś potem układało. Powinnaś się jeszcze nad tym zastanowić, Geri. Jutro rano może pomyślisz inaczej. Daj sobie trochę czasu...

- Nie tym razem - przerwała mi Geri Lynn. Jeszcze raz sięgnęła do torby, tym razem po kalendarz. Ten kalendarz, w którym ma te wszystkie serduszka. Otworzyła go i postawiła* duży czarny krzyżyk przy dzisiejszej dacie.

Nie mogłam nie zauważyć, że liczba serduszek na stronie kalendarza na kwartał zmalała dość drastycznie w ciągu ostatnich sześciu czy siedmiu tygodni. Mniej więcej do zera. Albo Geri zaniedbała notowanie najbardziej intymnych chwil, albo ona i Scott nie mieli żadnych od całkiem długiego czasu...

Jej następne stwierdzenie wyjaśniło sytuację.

- Zanosiło się na to już od dłuższego czasu, Jen - powiedziała. - Czułam, jakbyśmy dryfowali ze Scottem w dwie różne strony. Po prostu nie mamy wspólnych zainteresowań... celów. Uwierzysz, że on w ogóle nie chciał iść na Wiosenne Szaleństwo? Zamierzał pójść na Antywiosenne Szaleństwo, imprezę, którą organizuje Kwang.

Wiedziałam o Antywiosennym Szaleństwie u Kwanga. Sama planowałam tam pójść.

- I zamierzasz tak po prostu zaprosić Luke'a? - Zwróciła się do Geri Trina ostrym tonem.

Po Trinie można było oczekiwać, że zupełnie zignoruje bolesne rozstanie Geri ze Scottem. Interesowały ją wyłącznie plany Geri co do Luke'a Strikera.

- Pewnie - odparła Geri, prostując plecy. - Złóż mi z drogi.

- Momencik - powiedziała Trina. - To był mój pomysł. Pierwsza na to wpadłam!

- Ale ty już jesteś z kimś umówiona, prawda? - przypomniała jej słodko Geri.

- Mogę się odmówić - oświadczyła Trina i rzuciła się do drzwi łazienki.

- Czeka! - Geri omal nie skrzyła sobie karku, rzucając się za nią w pogoń.

Nie wierzyłam własnym oczom. Dwie osoby, które uważałam za raczej dojrzałe młode kobiety - inteligentne i niezależne - skakały sobie do oczu z pazurami. I to o chłopaka!

- Hej, zaczekajcie! - zawołałam, biegnąc za nimi przez restaurację, potem przez parking. - Pamiętajcie, że obiecałyście nie...

Ale zanim je dogoniłam, stały już na obrzeżach potężnego tłumu, który zebrał się wokół Luke'a i mytej przez niego osobówki.

Tylko że teraz Luke znajdował się na dachu samochodu, skąd gorączkowo wykrzykiwał coś do komórki, jednocześnie usiłując się bronić przed rękoma siedemdziesięciu pięciu Bardek, pracownic restauracji, gospodyń domowych, które były właśnie w drodze do centrum handlowego, a nawet kilku facetów z furgonetek. Wszyscy razem wrzeszczeli:

- Luke! Luke! Luke!

- O mój Boże! - krzyknęłam na Trinę i Geri, kiedy patrzyłam, jak Luke walczy, żeby się wymknąć chwytającym go ze wszystkich stron dłoniom. - Co wyście narobiły?

- To nie my - odkrzyknęła Geri i wzruszyła ramionami. - Wyszliśmy, a oni już tak nadawali.

- Chyba nie jestem jedyną osobą w Clayton, która wie o tatuażu Luke'a Strikera z imieniem Angelique - mruknęła ponuro Trina.

Geri tupnęła nogą.

- Jak ja mam go teraz zaprosić na Wiosenne Szaleństwo? Przecież się tam do niego nie

przedrę!

Jakby to był największy problem wszystkich zebranych! Biednego Luke'a za moment rozerwą na strzępy, a jego najbardziej zagorzałe fanki martwiły się tylko tym, jak go zaprosić na Wiosenne Szaleństwo?

Podniosłam wzrok na Luke'a. Nie wydawał się przestraszony - chociaż ja bym się bała na jego miejscu. Skończył rozmawiać przez komórkę i usiłował przemówić do rozumu hordzie otaczających go rozwrzeszczanych kobiet.

- Słuchajcie - chrypiał. - Wszystkie możecie dostać autografy. Naprawdę. Tylko po kolei, dobra?

Nikt go nie słuchał. Dziewczyny ze wszystkich stron wyciągały do niego pisaki i restauracyjne menu. Sopran były najgorsze. Karen Sue Walters chciała, żeby Luke jej się podpisał na biuście, chyba dlatego, że nie mogła znaleźć kawałka papieru.

Ale alty wcale nie. zachowywały się lepiej. Zobaczyłam nawet, jak Znudzona Liz - tylko że wcale już nie miała tej swojej znudzonej miny - wdrapuje się na maskę samochodu i chwyta Luke'a za nogi. O mało nie stracił równowagi, ale Liz zupełnie się tym nie przejęła. Szlochała mu w nogawki spodni:

- Luke! Och, Luke! Kocham cię!

Doprawdy żalodne. Muszę przyznać, że byłam totalnie zażenowana zachowaniem przedstawicielek własnej płci.

Ale do dziewczyn to się nie ograniczało. Nawet kilku facetów robiło z siebie kompletnych idiotów. Słyszałam, jak facet w farmerskiej czapce z daszkiem mówił do drugiego:

- Wezmę se od niego autograf i opylę na giełdzie internetowej!

A pan Hall? Nauczyciel, który powinien świecić przykładem? Był najgorszy ze wszystkich! Wrzeszczał do Luke'a:

- Panie Striker, panie Striker, czy ja mógłbym panu dać scenariusz, nad którym pracuję? To smutna komedia o młodym mężczyźnie, który dojrzewa wewnątrz, pracując w chórze broadwayowskiego musicalu. Moim zdaniem to rola stworzona dla pana!

Tylko kilka osób nie brało udziału w tym szaleństwie. Jedną z nich był Scott. Opierał się o swój samochód, tylko obserwując - filar zdrowego rozumu w morzu totalnych przypałów.

Pośpieszyłam do niego. Zupełnie już zapomniałam o sprawie z Geri Lynn.

Myślałam wyłącznie o tym, że jeśli ktoś natychmiast nie zareaguje, to Luke'a rozedrą na kawałki, zupełnie jak Mela Gibsona w *Braveheart*, tyle że tym razem zrobią to fani, a nie

Brytyjczycy.

- Uważasz, że trzeba wezwać policję? - spytałam Scotta z troską. - Wiesz, nie chciałabym nasyłać glin na swoich przyjaciół, ale...

Ale jedyna alternatywa, jaka mi się rysowała, to samodzielna próba pomocy Luke'owi - tylko co zrobić? Tłum wokół samochodu, na którym stał, był tak gęsty, że nie mogłabym się dostać bliżej Luke'a.

- Nie martw się - powiedział Scott. - Już załatwione. Zrobiłam na niego wielkie oczy.

- Dzwoniłeś na policję?

Podniósł swoją komórkę i mrugnął do mnie. Jeszcze w tej samej chwili usłyszałam z oddali syreny nadjeżdżającego radiowozu.

- Och, dzięki. - Czułam, jak ogarnia mnie wielka fala ulgi.

- Czyli tak naprawdę nie został przyjęty do szkoły - powiedział Scott, chowając komórkę do kieszeni.

- Co? - Patrzyłam, jak kelnerka z restauracji rzuca się na autograf wręczony jej właśnie przez Luke'a. - Och, nie. On tylko przygotowuje się do roli.

- Czy Lewis i cała reszta wiedzą?

- Tak. To był ich pomysł. Scott pokręcił głową.

- Prawdopodobnie odmówią nam komentarza. Szkoda. Ale i tak będzie z tego świetny artykuł.

Fakt, że Scott zdolny był w takiej chwili przejmować się „Gazetą”, kazał mi się domyślać, że nie bardzo przejmował się Lukiem.

Ani też zbytnio nie martwił się tą sytuacją z Geri.

- Scott, jest mi...

Przykro z powodu twojego rozstania z Geri Lynn. To właśnie zamierzałam powiedzieć.

Tyle że dokładnie wtedy wydarzyły się trzy różne rzeczy naraz. Po pierwsze, wóz policji wjechał na parking z rykiem syreny. Po drugie, duża czarna limuzyna - chyba ta sama, która zabierała Luke'a codziennie po szkole - wyłoniła się zza budynku restauracji, zupełnie jakby cały czas tam stała.

A po trzecie, Geri Lynn podbiegła do nas z roziskrzonym wzrokiem.

- Widzieliście kiedyś coś takiego? - spytała. - Szlag mnie trafia, bo nikt nie ma kamery. Coś się wreszcie zaczyna dziać w tej pipidowie, a my nie mamy jak tego uwiecznić!

Nie zdołałam się zorientować, czy udało jej się zaprosić Luke'a na Wiosenne Szaleństwo, czy nie. Podejrzywałam, że nie, bo tłum wokół gwiazdora nadal był dość gęsty.

Wiele osób cofnęło się na widok wozu patrolowego, a kolejne zaczęły się odsuwać, kiedy policjant, naprawdę potężny facet, pewnym krokiem wszedł w sam środek zamieszania. Mimo to Luke wciąż jeszcze nie schodził z dachu samochodu.

- Jaka szkoda, że tu nie ma Kwanga! - żałowała Geri. - On ma cyfrową kamerę w komórce!

Policjant przedarł się przez kordon wielbicieli gwiazdora. Powiedział coś do Luke'a, a ten uśmiechnął się z wdzięcznością, potem zszedł z dachu samochodu, kiedy policjant powstrzymywał naprawdę upartych fanów. Z przykrością muszę przyznać, że należała do nich spora grupa sopranów, z Triną na czele.

- Dobra, proszę państwa - huknął policjant, kiedy limuzyna zatrzymała się przy Luke'u, a on zrećnie wślizgnął się do środka. - Proszę się rozejść. Proszę się rozjechać... - Bo oczywiście, wszystkie samochody na Clayton Mall Road maksymalnie zwolniły, żeby siedzący z nich mogli przyjrzeć się tym dziwnym scenom, które się rozgrywały w myjni samochodowej Bardów.

Trina podbiegła do nas pędem. Była zarumieniona i zmartwiona.

- Widzieliście? - spytała. - Wsiadł do limuzyny i słowem się do nikogo nie odezwał! Nawet nie dostałam od niego autografu! I to po tym, jak wspierałam go przez te wszystkie lata...

- Też mi wsparcie - burknęłam. - Mało go nie rozdeptałyście!

- To nie ja - zaprotestowała Trina. - To Karen Sue Walters. Usiłowała go namówić, żeby się jej podpisał na biuście. Dzięki Bogu, że nie było tutaj jej matki...

Zauważyłam, że stojący za nami Scott i Geri pograżyli się w kolejnej ewidentnie poważnej rozmowie. Wzięłam Trinę za ramię i odciągnęłam ją na bok, żeby zapewnić tamtym trochę prywatności. No cóż, w każdym razie, względnej prywatności.

- Słuchaj, jeśli napiszę list do Luke'a, przekażesz mu go? - spytała mnie Trina. - No bo musicie być dość blisko, skoro dopuścił cię do tego całego sekretu.

Trina... - Pokręciłam głową. Limuzyna właśnie ruszała. I dobrze, bo niektóre dziewczyny już poprzyklejały się do zaciemnionych szyb, usiłując rzucić ostatnie spojrzenie na swojego bohatera. - Ja go prawie nie znam. On tu przyjechał tylko po to, żeby obserwować...

W tym momencie szyberdach limuzyny się otworzył, a ze środka wyjrzał Luke. Dziewczyny wokół auta zaczęły piszczeć i rzuciły się w stronę swojego idola, jakby chciały mu powyrywać włosy garściami. Co, no wiecie, jest świetnym sposobem na zdobycie uczuć faceta. Chyba żeby nie.

Pomyślałam, że Luke na pożegnanie rozrzuci fanom ze stanu Indiana jakieś fotosy. Przypuszczałam, że wrzaśnie: „Do widzenia, złamasy!” albo: „Walcie się, debilki!”

Ale on tego nie zrobił. Rozejrzał się za to po całym parkingu, jakby czegoś szukał. Potem zobaczył mnie i ryknął:

- Jen!

Wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę.

- Jen! - znów krzyknął Luke. I poparł te słowa gestem. - Chodź!

Poczułam, że robię się tak samo czerwona jak szyld meksykańskiej restauracji.

Luke chciał, żebym wsiadła do limuzyny. I odjechała razem z nim w stronę zachodzącego słońca - no cóż, niezupełnie, bo było zaledwie wpół do drugiej po południu.

- O mój Boże. - Usłyszałam westchnienie Trina. - Jasne. Ledwie się znacie. To dlatego cię woła. To ciebie chce.

Pokręciłam głową.

- Nie - powiedziałam. - To nie tak...

Bo to nie było tak. Jego słowa, oskarżycielski ton głosu, płonące niebieskie oczy tamtego dnia przed damską łazienką na zawsze wbiły mi się w pamięć. Nie, to wcale nie było tak.

- Jenny! - Głos Luke'a zaczynał brzmieć rozpaczliwie.

- Chce ciebie - powtórzyła Trina. - Czemu nie pójdziesz? Ale jak ja miałam pójść, kiedy tłum dziewczyn tłoczył się wkoło limuzyny, obrzucając mnie niechętnymi spojrzeniami? A od strony Clayton Mall Road nadjeżdżały kolejne wozy policyjne (najwyraźniej pierwszy funkcjonariusz wezwał posiłki)?

- Na miłość boską! - jęknęła Trina. - Idź!

A potem mnie mocno popchnęła. Pewnie bym się przewróciła, gdyby nie miły policjant, który mnie podtrzymał i spytał:

- To ty jesteś Jenny?

Kiwnęłam głową i zanim się zorientowałam, policjant przeprowadził mnie przez rozwrzeszczany tłum, potem szarpnięciem otworzył drzwi na tylne siedzenie i wepchnął mnie do auta...

Luke zsunął się przez szyberdach do środka i wałnął w przycisk, który zamykał otwór.

- Jedź! - krzyknął do szofera. - Jedź, jedź, jedź!

I pojechaliśmy.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

podoba mi się taki jeden chłopak. Powiedzmy, Chuck. On też zawsze mówi, że mnie lubi. Ale jest jeden problem. Nigdy do mnie nie dzwoni. Ja do niego dzwonię chyba z pięć razy dziennie, poza tym tyle samo razy odzywam się na pager, wysyłam do niego dziennie z dziesięć SMS - ów, piszę też maile. Ale Chuck nigdy sam do mnie nie oddzwania, nie odzywa się na pager, nie wysyła mi SMS - ów i nie mailuje. Poza tym jego mama zaczyna być niemila, kiedy odbiera telefon ode mnie. Ale jak ja mam inaczej utrzymywać z nim kontakt, skoro on sam do mnie nie dzwoni? Proszę, pomóż.

Wielbicielka Chucka

Droga Wielbicielko Chucka, Chuck do Ciebie nie dzwoni, nie pejdzuje, nie pisze SMS - ów i nie mailuje, bo nigdy mu nie dasz na to szansy!!! Twój opis brzmi tak, jakbyś tego biednego faceta prześladowała. Pamiętasz ten stary wierszyk dla dzieci o dziewczynce, która czekała, aż zgubione owieczki do niej wrócą? No cóż, wierszyki dla dzieci kryją w sobie ziarno prawdy. Zostaw Chucka w spokoju, a sam do ciebie przyleci. Wyluzuj, a Twój facet zadzwoni. A jeśli nie - no cóż, wtedy być może będzie to znaczyło, że Chuck chce Ci w ten sposób coś przekazać.

Annie

Kiedy ten miły policjant wsadził mnie do limuzyny Luke'a Strikera, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić - ani tym bardziej, co myśleć. No bo... czy to była randka? Czy Luke Striker się we mnie podkochiwał? Przyznam, że wydawało mi się to bardzo, bardzo mało prawdopodobne, ale wiecie, na świecie zdarzają się najdziwniejsze rzeczy.

Jednak, z tego co czytałam, Luke nadal bolał nad zdradą Angelique Tremaine. Jak to możliwe, żeby tak nagle zmienił front, zrezygnował z miłości do megagwiazdy kina i zaczął lubić... Jenny Greenley?

I czy on się nie zorientował, że ja tego lubienia nie odwzajemniam? A przynajmniej, nie w taki sposób?

Najwyraźniej nie. Bo pochylił się i powiedział:

- Jedźmy do willi, dobra, Pete? I pozbądź się ogona, jeśli zdołasz.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że niektórzy z co bardziej upartych kierowców, którzy zatrzymali się pod restauracją, teraz robili za nasz ogon. Tak się chyba na to mówi. W filmach.

I chociaż to było w pewien sposób podniecające - zwłaszcza kiedy Pete zaczął przejeżdżać na czerwonym świetle - nadal nie mogłam oderwać myśli od problemu, który mnie teraz nurtował.

A mianowicie, że ukochany całej Ameryki, Luke Striker, wioził mnie - Jenny Greenley - do swojej willi.

- Hm... - mruknęłam, bo czułam, że muszę się odezwać. - Chyba nie powinieneś zdejmować koszuli.

Dobra, beznadziejnie durne, wiem, ale co innego miałam powiedzieć?

Luke tylko pokręcił głową. Nawet na mnie nie patrzył. Obserwował krajobraz przelatujący za oknem. Byliśmy już całkiem blisko celu, czyli jeziora leżącego za miastem. Udało nam się zmylić pościg. Pete był dobrym kierowcą. Zastanawiałam się, jak policja poradziła sobie z tłumem pod restauracją... Czy doszło do zamieszek? Jeśli tak, to Scott był pewnie w swoim żywiole. On uwielbia wszelkiego typu anarchię.

A Geri na pewno wściekła się, że włożyła niewygodne buty. Albo że nie miała kamery.

- Usunę to sobie - powiedział Luke z goryczą.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, o czym on mówi. Potem zrozumiałam. O tatuażu.

- To musiało być naprawdę przykre - mruknęłam ze swojego kąta limuzyny. Nigdy przedtem nie siedziałam w takim luksusowym aucie. Chciałabym tylko powiedzieć, jakkolwiek głupio to zabrzmie - że limuzyny są naprawdę wielkie. Mają szerokie przejście między tylnymi a przednimi siedzeniami, konsolę z barkiem i telewizorem. Całkiem niezły patent. To znaczy, jeśli lubisz oglądać telewizję w samochodzie.

- Musiałeś czuć się beznadziejnie, kiedy ona... Angelique. No wiesz. Wyszła za tamtego faceta - ciągnęłam.

- Nie chcę o tym mówić - odparł Luke, nadal wyglądając przez okno.

Między drzewami widać było teraz jezioro. Jezioro Clayton to sztuczny zbiornik wodny, ale i tak jest naprawdę ładne. Pływałam po nim wynajętym pontonem. Nigdy jednak nie wchodzę do wody, bo boję się, że mogłabym wpaść na jakieś zwłoki.

Rozumiałam, czemu Luke nie chce rozmawiać o Angelique. Gdyby mnie przydarzyła się podobna historia, pewnie też nie miałabym ochoty o tym mówić. No więc zmieniłam temat.

- Przykro mi za moje koleżanki i to tam... - powiedziałam. - Nie wiem, co w nie wstąpiło. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby któraś z nich tak się zachowywała.

Luke spojrzał na mnie wtedy tak, jakby po raz pierwszy zauważył, że z nim siedzę w samochodzie. I zrobił coś strasznie dziwnego.

Uśmiechnął się.

- Ach, to... - Pokręcił głową. - Nie przejmuj się. Przywykłem. Coś dziwnego dzieje się z ludźmi, kiedy spotykają sławnego człowieka. Zupełnie jakby... Sam nie wiem. Nie zdają sobie sprawy, że jesteśmy ludźmi, zupełnie tak samo jak oni.

Zastanawiałam się, czy tak jest. Czy właśnie dlatego wszyscy chcieli dotknąć Luke'a? Żeby się upewnić, że rzeczywiście jest człowiekiem? Czy może po to, żeby w poniedziałek móc się pochwalić znajomym, że dotknęli Luke'a Strikera?

- Ale nie ty - powiedział Luke, co mnie trochę zaskoczyło. - Ty nie jesteś taka. Niektórzy ludzie są... inni. Och, świetnie - dodał, kiedy limuzyna zwolniła i stanęła. - Dotarliśmy na miejsce.

Wysiedliśmy przed nowoczesnym domem, wykończonym gontami typowymi dla okolic Cape Cod, żeby nadać mu bardziej nowoangielski wygląd. Mnóstwo razy bywałam w rejonach tych willi nad jeziorem, bo to mój tata je zaprojektował, a mama robiła wnętrza. Oboje rodzice zadbali o „nadmorską” atmosferę tego miejsca. Wszędzie były bielone krokwie, muszle i obrazy z rybitwami, chociaż nad jeziorem Clayton nie spotkano nigdy ani jednej rybitwy.

- Chcesz coś do picia? - spytał Luke, podchodząc do wielkiej, nowoczesnej lodówki.

Kiwnęłam głową. W willi Luke'a klimatyzacja chodziła na całego. Było tam chyba z minus pięć. A ja miałam na sobie tylko wciąż wilgotny kostium kąpielowy i krótkie spodnie. Musiałam objąć się ramionami ze względu na swoje, no wiecie, zmarznięte sutki.

Z jakiegoś powodu nie mogłam przestać myśleć o tym, co Luke powiedział przed chwilą w samochodzie. Eee, to znaczy, w limuzynie.

Ze jestem inna.

Luke podał mi napój. Musiałam rozpieść ramiona, żeby wziąć butelkę. Wcale nie twierdzę, że Luke zauważył, co się działo pod moim kostiumem, ale zaproponował, żebyśmy wyszli na taras.

I ku mojej uldze, sekundę później rozsunął przeszkłone drzwi. Znów znaleźliśmy się na ciepłym słońcu.

Widok był niewiarygodny. Tata dobrze zaplanował ten taras. Przed nami rozciągało się kryształowo błękitne jezioro, otoczone drzewami z gęstymi koronami. Na połyskliwej wodzie dryfowało kilka żaglówek. Słońce prażyło jak w środku lata, a nie pod koniec wiosny, i ptaki ćwierkały wszędzie dookoła. Było spokojnie, relaksująco i miło.

Szkoda tylko, że za godzinę miało się tam zaroić od paparazzich. A przynajmniej, kiedy się rozejdzie, że Luke się zatrzymał nad jeziorem Clayton, żeby wylizać rany po rozstaniu z Angelique Tremaine.

Luke usiadł na balustradzie i otworzył piwo, chociaż nie widziałam, żeby je wyciągał z lodówki. Nie obraziłam się, że mi nie zaproponował piwa - ewidentnie jestem dziewczyną, której się nie proponuje piwa - ale trochę się zastanawiałam, skąd on to piwo zdobył. Nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat, a w Indianie zawsze sprawdzają dowody.

Ale potem sobie przypomniałam, że jest przecież gwiazdą. Pewnie może dostać tyle piwa, ile chce i kiedy chce.

- Ładnie tu, hm? - odezwał się Luke, kiedy już pociągnął spory łyk z butelki.

Napiłam się swojego napoju. Był chłodny i orzeźwiający. Tak jak lubię.

- Tak - mruknęłam.

„Inna”, powiedział. „Nie ty. Ty jesteś inna”. Dostawałam lekkiego świra od tego, że mnie zaprosił do siebie do domu. No bo było oczywiste, że „nie tego” ode mnie chciał. „To” mógł mieć z Triną (przykro mi, że tak mówię) albo z którąkolwiek z dziewczyn z parkingu koło restauracji. No to dlaczego zapraszałby mnie do siebie do domu, skoro nie o seks mu chodziło?

- Nigdy nie byłem w szkole średniej - powiedział nagle Luke, najwyraźniej informując

o tym fakcie jezioro, bo z całą pewnością nie patrzył na mnie. - Miałem prywatnych nauczycieli. Wszyscy ich mieliśmy, to znaczy dzieciaki z *Pomóżcie nam niebios*. Więc poza tym, co znałem z filmów, nie miałem pojęcia, jak jest w prawdziwym ogólniaku. Zresztą myślałem, że w filmach lekko przesadzają albo zmyślają. Nie przypuszczałem, że szkoła średnia naprawdę tak wygląda. - Pociągnął łyk piwa, a potem odstawił butelkę i spojrzał na mnie. - W prawdziwym życiu szkoła średnia jest zupełnie inna niż w filmach. Jest milion razy gorsza.

Patrzyłam na niego w milczeniu. Co ja mu miałam powiedzieć? „Eee tam”? Brzmiałoby trochę niegrzecznie.

- Te dzieciaki w twojej szkole... - Zsunął się z balustrady i zaczął spacerować po tarasie - to jedni z najbardziej nieuprzejmych, ordynarnych i aroganckich ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Oni nie mają... Wiesz, co to jest empatia?

- Hm... Współodczuwanie?

- Dokładnie. W *Pomóżcie nam niebios* mieliśmy konsultanta, prawdziwego pastora, który recenzował scenariusze. W każdym razie kładł wielki nacisk na empatię. Na wczuwanie się w sytuację innych ludzi. I to była pierwsza rzecz, która mi się rzuciła w oczy w Liceum Clayton. Niewiele osób potrafi naprawdę zrozumieć uczucia innych ludzi... Bezlitośnie znęcają się nad słabszymi i idealizują brutalni.

- Nieprawda - zaprotestowałam gorliwie, bo ja ani teraz, ani nigdy nie idealizowałam Kurta Schraedera. - Nie wszyscy...

- Och, nie, nie wszyscy. - Luke szybko się ze mną zgodził. - Jest spora grupa, która po prostu siedzi beczynnie i patrzy, jak ich przyjaciele są szkalowani. Ci są moim zdaniem jeszcze gorsi niż te zakały... Pastor też by się ze mną zgodził. Bo oni mogliby coś zrobić, żeby powstrzymać tę falę brutalności, ale są zbyt przestraszeni.

Pokręciłam głową. Oczywiście, wcale nie uważam, że Liceum Clayton to utopijna, idealna społeczność. Ale nie jesteśmy aż tacy źli.

- Totalna bzdura - powiedziałam. - Na własne oczy widziałeś, że poszłam za Carą...

- Och, jasne - wtrącił Luke. - Poszłaś za nią. Otarłaś dziewczynie łzy. Ale nic nie zrobiłaś, żeby powstrzymać tych drani od znęcania się nad Carą.

- A co niby miałam zrobić? - 'Ucisk w żołądku, który zniknął mi już całe dni temu, teraz błyskawicznie się znów pojawił. Własnym uszom nie wierzyłam. Zaprosił mnie do siebie, żeby krytykować mój charakter? O co tu chodziło? Nie mogę powiedzieć, że oczekiwałam wyznań dozgonnej miłości ani słodkich pocałunków, ale to było już po prostu za bardzo nie fair. - Chcesz, żebyśmy stawiała opór całej szkole? Luke, nikt nie lubi Cary...

- Jasne - powiedział Luke. - I pewnie mają trochę racji. Słyszałem was obydwie w tej łazience. Słyszałem, co jej mówiłaś. To były dobre rady, naprawdę świetne, a ona je odrzuciła. Ale czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, Jen, że chociaż rzeczywiście nikt nie lubi Cary, to prawdą jest również, że wszyscy lubią ciebie?

Pokręciłam głową.

- To nie...

- Daj spokój. Wymień chociaż jedną osobę, która cię nie lubi.

Nie musiałam się długo zastanawiać. Poważnie podejrzewam, że pan Hall mnie nie cierpi. Ze względu na to, że nadal nie umiem choreografii na Luers.

A co z Rurtem? Też za mną nie przepada. No cóż, prawdopodobnie w ogóle nigdy o mnie nie myśli. Ale to nie znaczy, że jeśli myśli, to przychylnie.

- Bzdura - prychnął Luke, kiedy wymieniłam te dwie osoby dla przykładu.

- Okay - powiedziałam, wytrącona z równowagi. - Okay, no to powiedzmy, że lubią mnie wszyscy. To nieprawda, ale załóżmy. I co z tego?

- Co z tego? - Luke przystanął i tylko gapił się na mnie z niedowierzaniem. - Co z tego? Jen, nie rozumiesz? Masz niesamowitą pozycję. Możesz wprowadzić w tej szkole wiele zmian, a ty nawet sobie z tego nie zdajesz sprawy.

Wiele zmian? Co ten facet wygadywał?

I wtedy do mnie dotarło, czego chciał Luke. Dlaczego zaprosił mnie do siebie. To było takie oczywiste, że każdy debil by to zrozumiał. Ale nie ja. Och, nie. Nie ja.

Luke rozpoczął kampanię społeczną. No wiecie, jak wielu innych sławnych ludzi.

Luke zaczął gwiazdorską kampanię na rzecz zaszczepienia empatii w Liceum Clayton i chciał, żebym w niej uczestniczyła.

Powoli się osunęłam na jedną z drewnianych ławek, które stały wzdłuż balustrady, i jęknęłam zmęczonym tonem: - O, kurczę.

- Ty mi tu oszczędź tych jęków, Jen - powiedział Luke. - Wiesz, że mam rację. Obserwowałem cię, Jen. Przez ostatnie cztery dni nic innego nie robiłem, tylko cię obserwowałem. W tej całej parszywej szkole jesteś jedyną osobą, która naprawdę dba o ludzi. Nie tylko o siebie. W sumie, mogę się założyć, że najmniej myślisz o samej sobie. To naprawdę godne pochwały. I ja nie mówię, że nie odwaliłaś masy roboty, żeby różne rzeczy naprawiać. Ale jako osoba z zewnątrz, obiektywny obserwator, mówię, że stać cię na więcej.

Nie mogłam się z tym zgodzić. Naprawdę nie mogłam.

- Jak to, na więcej? - wymamrotałam. - Tyram tak, że pod koniec dnia dosłownie padam. Czy ty myślisz, że moja rola jest łatwa? Nie jest, rozumiesz? Jest mi naprawdę bardzo

ciężko.

- Jak to? - Luke usiadł obok mnie na ławce.

- No bo... wiesz - zaczęłam. W głowie mi się nie mieściło, że zwierzam się Luke'owi Strikerowi! Seksownej enigmatycznej osobie, której nie zdołałam rozgryźć. A teraz miał być wtajemniczony w mój najbardziej wstydlivy sekret. To nie fair. - Jestem majonezem - dokończyłam szeptem. A potem, ponieważ minę miał zdeorientowaną, dodałam: - Dzięki majonezowi każda kanapka jest dobra. To moje zadanie. To właśnie robię. Godzę, wyglądam różne rzeczy.

- Aha - Luke wreszcie zaczynał mnie rozumieć. W jego głosie pojawiło się nawet ożywienie. - Rzeczywiście. Dokładnie coś takiego robisz!

Nie bardzo łąpałam, do czego tak się zapalił. Ale chyba jemu może się to podobać. To ja mam z tym problem.

- Ale, Luke - odezwałam się. - To wszystko, czym jestem. Niczym więcej. To, co mi mówisz, że... powinnam zrobić... Nie mogę. Naprawdę.

Ale Luke nie zamierzał dać mi spokoju. Był zupełnie jak kot Iriny, pan Momo, kiedy złapie mysz. Nie ma mowy, żeby ją puścił. Dopiero kiedy odgryzie jej głowę.

- Ale czy ty właśnie tym chcesz być, Jen? - pytał natarczywie. - Czego ty sama chcesz?

Co? Czego ja chcę? Czy on oszalał?

Uznałam, że tak. Stwierdziłam, że zostałam porwana - i obecnie jestem zakładniczką - szalonego człowieka. To się w sumie nawet trzymało kupy. No bo z jakiego innego powodu nie udało mi się go dokładnie przejrzeć? Bo jest wariatem.

Czekajcie tylko, aż to odkryje magazyn „People”.

- Powaga, Jen - powiedział szalenie. - Czego ty sama chcesz?

Chciałam tysięcy rzeczy. Żeby Betty Ann wróciła na biurko pani Mulvaney, żeby ludzie przestali ryczeć jak krowy na widok Cary Schlosburg. Pragnęłam uwolnić się od chóru rewiowego - a przynajmniej, żeby pan Hall przestał się na mnie wydzierać w związku z tym głupim kapeluszem i jazzowymi” rękami.

- Prawdę mówiąc, Jen - ciągnął Luke, kiedy nie odezwałam się ani słowem - wcale nie wierzę w to, że jesteś majonezem. Kiedy tak na mnie naskoczyłaś wtedy przed łazienką...

Skrzywiłam się na wspomnienie tej okropnej chwili.

Ale Luke nie przerwał.

- ...wiedziałem, że nie jesteś tylko miłą małą Jenny Greenley, przyjaciółką całego świata. Moim zdaniem, znaczysz więcej niż majonez, Jen. Znacznie więcej.

Zdjął okulary - już ich nie potrzebował, skoro wszyscy teraz znali prawdę - a ja widziałam, że oczy ma tak samo głęboko niebieskie jak woda w jeziorze pod nami.

- Szczerze mówiąc - powiedział - uważam, że jesteś bardzo niezwykłym sosem.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

dostałam właśnie zaproszenie na imprezę, gdzie na pewno będzie podawany alkohol. Nie piję, bo po prostu nie lubię, i nie znoszę też towarzystwa pijanych ludzi. Ale nie chcę, żeby moi przyjaciele uważali mnie za sztywniaczkę. Co mam robić?

Trzeźwa Dan

Droga Dan,

zmień plany. A potem powiedz przyjaciółom, że nie możesz przyjść. I przestań tak bardzo się przejmować tym, co sobie pomyślą. Jeśli nie szanują Twoich upodobań, to nie są tak naprawdę Twoimi przyjaciółmi, nie uważasz?

Annie

Wiem, co sobie myślicie: „No więc Luke Striker twierdzi, że jesteś specjalnym sosem. No i co z tego? Przecież to wariat. I to nie tak, że chce się z tobą całować!”

I to prawda, Luke Striker nie chce się ze mną całować. A przynajmniej do tej pory w żaden sposób tego nie okazał.

A nawet gdyby, to czy ja byłabym zachwycona? Nie, bo w przeciwieństwie do wielu dziewczyn w moim wieku - a przynajmniej tych, które mieszkają w Clayton - nie kocham się w Luke'u Strikerze.

Nie chciałam, żeby Luke Striker mnie pocałował.

Ale zaczynałam myśleć, że może jednak wcale nie jest aż tak szalony.

Luke odesłał mnie do domu samą. Chyba już był zmęczony tym swoim wykładem. No wiecie, o tym, że nie wykorzystuję własnego potencjału i że na wielkich ludziach ciąży wielka odpowiedzialność, i gdzie byśmy teraz wszyscy byli, gdyby Churchill odwrócił się plecami do własnego narodu w czasie drugiej wojny światowej.

Większej sensacji już nie mogłam wywołać, kiedy długa, czarna limuzyna wjechała z warkotem silnika na ulicę, przy której mieszkam. Wszyscy z całego sąsiedztwa natychmiast rzucili swoje zajęcia - przestali kosić trawniki, pracować w ogrodach, wnosić do domu zakupy - i zaczęli się gapić na limuzynę, z której wysiadłam pod swoim domem. Moi bracia wypadli z domu pędem, półprzytomni, dopytując się, gdzie byłam. Mama, która właśnie wróciła z pracy, stanęła na środku podjazdu z lekko otwartymi ustami, patrząc, jak olbrzymi czarny samochód odjeżdża.

Ale to Trina dopadła mnie pierwsza. Musiała wypatrywać mojego powrotu przez okno swojego pokoju, bo nadbiegła z sąsiedniego podwórka, a długie czarne włosy powiewały za nią jak peleryna.

- Omójbożeomójbożeomójboże! - zawyła, chwytając mnie za ręce i okręcając mnie na pięcie na środku trawnika przed domem. - W głowie mi się nie mieści! Spędziłaś całej popołudnie z Lukiem Strikerem!!!!!!!

Kiedy tylko usłyszeli to moi bracia, przepadłam. Chyba wydarzenia przy centrum handlowym nie dotarły jeszcze do uczniów podstawówki, bo najwyraźniej nic o tym nie wiedzieli. Ale kiedy już usłyszeli całą historię (owszem, wyjaśniłam, że znam Luke'a Strikera), ich zainteresowanie wygasło, pomijając marudzenie Ricka, że nie wzięłam dla niego numeru telefonu agenta Luke'a.

No bo w końcu to faceci.

Moja mama, kiedy już wysłuchała całej opowieści (nie wspomniałam, że Luke zabrał mnie do swojej willi tylko po to, żeby mi zrobić wykład) powiedziała: „A to ci historia”, i poszła do domu, pewnie po to, żeby obdzwonić wszystkich znajomych i przekazać nowiny. „Nie uwierzysz, co się dzisiaj przytrafiło Jenny!!!”

Kiedy tylko mama i bracia sobie poszli, Trina pociągnęła mnie na werandę i usiadła ze mną na huśtawce, którą zainstalował tata, a mama przybrała poduszkami z (jakżeby inaczej) naszytymi sercami.

- Okay - powiedziała Trina. - No to teraz zacznij od początku. O czym dokładnie rozmawialiście z Lukiem?

Nie miałam zamiaru mówić Trinie prawdy. No bo, po pierwsze, nie zrozumiałaby. Ona chwytła takie rzeczy jak choreografia pana Halla - tego typu rzeczy nie sprawiają jej najmniejszego problemu. I najwyraźniej pojmuje rolę majonezu - to ona pierwsza tak mnie nazwała.

Ale kiedy chodzi o kwestie... Och, sama nie wiem - to, że seksowny gwiazdor mówi mi, że Churchill nie byłby dumny z mojego zachowania? To jest już coś, czego dziewczyna taka jak Trina nie obejmuje umysłem. Gdyby Luke usiłował mnie pocałować po francusku? Och, bez problemu. Wiedziałabym, że mogę się zwierzyć Trinie.

Ale to, że nagadał mi na temat mojej odpowiedzialności, jako wybitnej jednostki, za wprowadzenie zmian w Liceum Clayton? Tak, no nie za bardzo.

- Och - westchnęłam, kiedy rozkołysałyśmy huśtawkę. - No, wiesz. Takie tam. Chyba naprawdę jest zdołowany. Po tym zerwaniu z Angelique.

Nie miałam o tym zielonego pojęcia - w sumie w ogóle nie wypowiedział imienia na A. Wspomniał tylko, że pozbędzie się tatuażu. Ale brzmiało nieźle.

- Chyba tu przyjechał, żeby od tego wszystkiego uciec - ciągnęłam. - To naprawdę totalny syf, jak wszyscy zachowali się na parkingu.

- Nie musisz mi mówić. - Trina zrobiła wielkie oczy. - W głowie mi się to nie mieści! Czy ty widziałaś, jak Znudzona Liz złapała go za nogi? Kto by przypuszczał, że taka z niej dziwka?

Pomyślałam, że mądrzej będzie nie wypominać Trinie, że sama zachowała się niewiele lepiej.

- A mówił o mnie w ogóle? - chciała wiedzieć Trina.

- Hm. Raczej nie.

- A o Geri? Bo ona mu wsunęła swój numer telefonu j i normalnie wyobraża sobie, że

on do niej zadzwoni.

- Hm - mruknęłam, czując się niezręcznie. - Nie. Czy ona i Scott naprawdę zerwali ze sobą? Bo kiedy odjeżdżałam, oni chyba... rozmawiali.

- Och, przestań - rzuciła Trina. - Tych dwoje to już historia. I tak jestem zdziwiona, że to tak długo trwało. Geri jest koszmarnym tyranem! Moim zdaniem Scott tkwił w tym związku tylko dlatego, że nie chciał jej zranić. Rozumiesz, skoro ona i tak za parę miesięcy wyjeżdża na studia. To miłe z jego strony.

Tak, rzeczywiście.

- A ja na dobre zrywam ze Steve'em dziś wieczorem po kinie - ciągnęła Trina. - Myślałam, żeby to wszystko załatwić jeszcze przed kinem, ale strasznie chcę zobaczyć ten film, a jestem totalnie bez grosza. Myślisz, że to bez serca? Ale, no wiesz, i nie moja wina, że on zawsze wrywa się z płacaniem?

Ha, owszem. Żał mi się zrobiło biednego Steve'a, którego jedynym przestępstwem było to, że kochał się w niewłaściwej dziewczynie.

Ale nic nie powiedziałam, bo Trina tylko by się wściekła.

A potem przypominałam sobie, jak rozmawiałam z Lukiem o tym, że wiecznie wszystko tylko wygładzam, zamiast postarać się czemuś zapobiegać. Czy Luke nie miał na myśli między innymi tego, że nie komentuję ani słowem, kiedy Trina naciąga Steve'a na bilety do kina? To była czysta niesprawiedliwość. .. Jawne znęcanie się nad facetem.

A ja tylko sobie siedziałam i pozwalałam, żeby to się działo. Bo jestem miłą małą Jenny Greenley, najlepszą przyjaciółką całego świata.

Wiedziałam, oczywiście, czym to się skończy. Trina rzuci Steve'a, a potem przez całą drogę do Luers będę pocieszać biednego chłopaka.

No cóż - nie tym razem. Może to wszystko, co Luke mi powiedział o mojej wyjątkowości, uderzyło mi do głowy.

A może dla odmiany zdecydowałam się wyrobić sobie kręgosłup moralny.

Cokolwiek mną powodowało, postanowiłam spróbować. Sprawdzić teorię Luke'a o tym, że mogę dokonać wielu zmian. Tu i teraz. Jeśli okaże się, że Luke się mylił, no cóż, niewielka strata. Ale jeśli miał rację...

To pewne sprawy tu się pozmieniają.

Bo już najwyższy czas.

- Dlaczego zamierzasz zerwać ze Steve'em? - spytałam Trinę.

- No jak to? - Zrobiła na mnie wielkie oczy. - Żeby iść z Lukiem na Wiosenne Szaleństwo, głuptasie.

- A skąd ci przyszło do głowy, że Luke pójdzie na Wiosenne Szaleństwo z tobą? - spytałam ostro. Trina zmartwiła się.

- A co? Myślisz, że Geri już go zaprosiła? A on się zgodził?

- Dlaczego sobie ubzdurałaś... - Wstałam z huśtawki i zaczęłam spacerować po werandzie zupełnie jak Luke po tarasie. - Skąd wiesz, że Luke pójdzie na Wiosenne Szaleństwo z kimkolwiek z tego miasta po tym, co go tu dzisiaj spotkało? Skąd wiesz, że nie wraca właśnie do Los Angeles?

Trina zmarszczyła brwi.

- Jen? Wszystko w porządku?

- Wiesz, co? Nie, nie w porządku. - Bo mam powyżej uszu bycia miłą małą Jenny Greenley, najlepszą przyjaciółką całego świata. To znaczy, ja chcę być miła dla ludzi, ale chcę też, żeby ludzie odwzajemniali moją sympatię i życzliwie odnosili się do siebie nawzajem. Spiorunowałam Trinę wzrokiem. - To, jak traktujesz Steve'a, jest cholernie nie fair.

- Steve'a? - Trina się roześmiała. - Myślałam, że rozmawiamy o Luke'u. Co ci odbiło, Jen?

Czułam się tak, jak tamtego dnia przed drzwiami damskiej łazienki z Lukiem. W żołądku mi się przewracało, ale i tak parłam naprzód. Bo musiałam powiedzieć swoje. Po prostu musiałam.

- Za długo stałam z boku i patrzyłam, jak traktowałam Steve'a jak śmiecia. On ma swoje uczucia, wiesz? I tak się składa, że jest w tobie zakochany. Nie możesz tego wykorzystywać, żeby oszczędzić na biletach do kina i megaporcjach popcornu. To nie do pomyślenia.

- Nie do pomyślenia? - Trina powtórzyła jak echo. - Co to znaczy? Co się z tobą dzieje?

- Jeśli nie kochasz Steve'a, a moim zdaniem nie kochasz, bo inaczej nie zrywałabyś z nim na tydzień przed Wiosennymi Szaleństwem, żeby zaprosić na tę imprezę kogoś innego, to powiedz mu to. Dlaczego podtrzymujesz jego nadzieje? Ty go po prostu wykorzystujesz i to jest złe.

Trina się roześmiała. Mówię poważnie. To moja pierwsza próba wywoływania zmian, a ona się ze mnie śmieje. A przecież to wcale nie było łatwe. Serce mi waliło, dłonie mi się spociły, a żołądek naprawdę mnie rozbolał.

Ale musiałam to powiedzieć. Po tym wszystkim, co usłyszałam od Luke'a, nie miałam innego wyjścia.

- A któż to umarł i w testamencie wyznaczył cię na opiekunkę Steve'a McKnighta? - szydziła Trina. - To już duży chłopiec, Jen. Moim zdaniem, potrafi zadbać o siebie.

- Nie wtedy, gdzie w grę wchodzi twoja osoba - odparłam. - Bo do ciebie ma słabość, a ty to wykorzystujesz. Ale od dzisiaj to się skończy, bo albo się zdecydujesz, że Steve to ten twój jedyny, albo powiesz mu prawdę. Bo jeśli tego nie zrobisz, to... sama mu powiem!

- Co się z tobą porobiło? - spytała ostro Trina i wstała. Huśtawka zakółysała się za jej plecami. - Co ty, zazdrosna jesteś, czy co? Boże, a mama mnie ostrzegła, że to się kiedyś zdarzy. Mówiła, że któregoś dnia zaczniesz mi zazdrościć, że ja zawsze mam się z kim umówić, a ty nie. Radziła: „Nie podkreślaj tego za bardzo wobec Jen, Catrino”. A ja jej odpowiadałam: „Mamo, Jen nie jest taka. Ona cieszy się ze mną. Nie obchodzi jej, że ja mam chłopaka, a ona nie”. Ale okazuje się, że mama się nie myliła, co Jen? O to chodzi, prawda? Że ja mam z kim iść na Wiosenne Szaleństwo, a ty nie.

- Och, ależ ja mam z kim iść na Wiosenne Szaleństwo - uspokoiłam Irinę.

- Tak, jasne. - Trina parsknęła śmiechem. - Z kim?

- Z Lukiem Strikerem. Skrzywiła się, jakbym ją uderzyła. - Co?

Wcale nie kłamałam. Naprawdę byłam umówiona na Wiosenne Szaleństwo. I naprawdę z Lukiem Strikerem.

I nikt nie mógł się bardziej zdziwić niż ja sama, kiedy o tym usłyszałam. Zdarzyło się to w przedziwny sposób. Siedzieliśmy we dwójkę na tarasie, wykończeni, jak mi się wydaje, długą rozmową. Luke przyniósł sobie kolejne piwo, a dla mnie napój gazowany. Trwaliśmy tak przez kilka minut w całkiem zgodnym milczeniu, kiedy nagle w willi rozdzwonił się telefon. Sekundę potem ktoś zastukał do drzwi.

- No cóż - mruknął Luke i pociągnął łyk piwa. - Zdaje się, że cyrk już się zaczyna.

- O rany - westchnęłam, trochę zaskoczona, że tak szybko udało im się go znaleźć. - To straszne.

- Ee tam - powiedział Luke. - Już przywykłem. Tylko dla ciebie to niedobrze.

- Dla mnie? Czemu się martwisz o mnie?

- Bo do ciebie tak samo się przyczepią - wyjaśnił. - Kiedy to wszystko się rozniesie. Dziennikarze z brukowców też wydepczą ścieżkę do twoich drzwi.

- Spoko - powiedziałam. - Poradzę sobie.

Popatrzył na mnie wtedy długo i uważnie. A potem powiedział:

- Wiesz co? Trochę mi głupio, że cię zaprosiłem, a potem tylko się na ciebie darłem.

- Nie ma sprawy - odparłam wielkodusznie. - Chyba rozumiem, o co ci chodziło. I spróbuję się nad tym zastanowić. Nic nie obiecuję, ale... Spróbuję.

- Super. - Telefon dzwonił i dzwonił. Stukanie do drzwi robiło się coraz głośniejsze. - Ale nadal czuję się nie w porządku. Pozwól, że ci to jakoś wynagrodzę. Już wiem. Zabiorę cię na Wiosenne Szaleństwo, jeśli się zgodzisz.

O mało nie oplułam go oranżadą. Ale udało mi się jakoś ją przełknąć, tyle że poleciała nie w tę dziurkę, co trzeba. Zanim się połapałam, oranżada cofnęła się nosem i lzy pociekły mi po twarzy, bo aż tak zapiekły mnie te bąbelki. Zaczynałam rozumieć, czemu Geri Lynn lubi odgazowane napoje. Bo jeśli się zakrztusi, nie boli aż tak bardzo.

- Hej, nic ci nie jest? - Luke walił mnie po plecach. - Masz, tu jest serwetka.

Powycierałam oranżadę i lzy, potem się roześmiałam.

- O mój Boże - wykrztusiłam. - Przepraszam. Zdawało mi się, że... No wiesz. Ze mnie zapraszasz na Wiosenne Szaleństwo.

- Bo zaprosiłem - potwierdził Luke.

Serce mi podskoczyło. I to wcale nie w taki przyjemny sposób, tylko tak, jak wtedy gdy myślisz: „Oho, zaraz we mnie walnie ten autobus”.

Bo naprawdę, ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to iść na Wiosenne Szaleństwo z ukochanym wszystkich nastolatek. Mam na głowie dość problemów, że bym musiała jeszcze odganiać bandę dziewczyn, jak tylko zechcę się napić ponczu ze swoim partnerem.

- Zanim odmówisz, wysłuchaj mnie - poprosił Luke, jakby czytał w moich myślach. - Po pierwsze, będzie inaczej niż na parkingu. Dziś ludzie po prostu niczego się nie spodziewali. Co prawda, mogą się pojawić fotoreporterzy, ale wszyscy będą wiedzieli, że jestem z tobą, więc nie... No wiesz. Nie rzucą się na mnie. A przynajmniej, nie tak tłumnie.

Gapiałam się na niego bez słowa. Naprawdę myślałam, że może to piwo uderzyło mu do głowy. A może tu gdzieś była ukryta kamera i występowaliśmy w reality show. A za sekundę Ashton Kutcher albo ktoś inny wyskoczy zza rogu i krzyknie: „Mamy cię...”

- Rzecz w tym - ciągnął Luke - że, jak już mówiłem, nigdy nie chodziłem do liceum. Więc nigdy też nie byłem na szkolnym balu. A chciałbym zobaczyć, jak to wygląda. Przyznaję, w następnym filmie z moim udziałem jest scena na szkolnym balu, ale nie dlatego chętnie bym poszedł na Wiosenne Szaleństwo. Chcę iść sam dla siebie. Żebym nie miał poczucia, że coś mnie ominęło.

- Coś cię ominęło? - Pokręciłam głową. - Luke, przecież ty byłeś, no choćby w Afryce. W Europie. Ile? Z tysiąc razy? Na zeszłorocznej ceremonii wręczania Oscarów siedziałeś obok Clinta Eastwooda. Widziałam cię tam, nie zaprzeczaj. Jak możesz myśleć, że coś cię ominęło?

- Normalnie - odparł Luke. - Brak mi tego wszystkiego, co robią zwyczajni ludzie,

Jen. Ja nawet nie mogę iść do sklepu na rogu po mleko, żeby fani nie chcieli ode mnie autografów. Czy to coś złego, że chcę doświadczyć tego, czego doświadczył każdy amerykański nastolatek?

Wcale nie każdy amerykański nastolatek wybiera się na Wiosenne Szaleństwo. No bo, na przykład, weźcie mnie.

Ale nie chciałam pozbawiać go radości. A przynajmniej, nie tak. Ale naprawdę pragnęłam wyjaśnić sobie coś, co mi najbardziej nie dawało spokoju...

- Ale dlaczego ja? - spytałam. - Mógłbyś iść na Wiosenne Szaleństwo z każdą. Na przykład Trina jest o wiele ode mnie ładniejsza i bardzo by chciała z tobą pójść...

- Tak - powiedział Luke. - Ale Trina nie jest moją przyjaciółką, prawda?

Zakręciłam się nerwowo na ławce.

- No, nie.

- I Trina nie lubi mnie jak przyjaciela, tak jak ty, prawda?

I wtedy zrozumiałam. Wiedziałam już, dlaczego Luke mnie zaprosił.

Serce wezbrało mi współczuciem dla niego. Tak, to śmieszne, że ja współczułam milionerowi i gwiazdzie kina, uwielbianej przez kobiety na całym świecie, która miała swoje własne ferrari.

Ale pieniądze i uroda nie mogły zapewnić Luke'owi Strikerowi jednego. Przyjaźni. Szczerej przyjaźni z kimś, kto nie chciał go wykorzystać, żeby samemu zostać sławnym albo bogatym; z kimś, kto lubił go za to, jaki jest, a nie za rolę, jakie odgrywał na ekranie. On tylko marzył, żeby być traktowany jak zwyczajny człowiek.

I naprawdę, jak się nad tym zastanowić, czy może być coś bardziej zwyczajnego niż Wiosenne Szaleństwo?

Namawiał mnie, żebym przestała już być małą Jenny Greenley, przyjaciółką całego świata. Powiedział mi, że mam w sobie potencjał, żeby osiągnąć coś wielkiego.

Ale wyglądało na to, że będę musiała jeszcze raz postąpić jak miła Jen Greenley.

I to w stosunku do niego. Nawet jeśli się nie domyśli, dlaczego to właściwie robię.

- Jasne - odparłam łagodnie. - Pójdę z tobą na Wiosenne Szaleństwo, Luke.

Bardzo się tym podekscytował.

Biedny facet.

- Super! - zawołał, zeskakując z ławki. - Słuchaj, teraz pewnie polecę z powrotem do Los Angeles... - Nawiązywał chyba do dzwoniącego telefonu i stałego walenia do drzwi. - Ale wrócę w przyszły weekend, żeby cię zabrać na Wiosenne Szaleństwo. No cóż, tak naprawdę, to ty zabierzesz mnie, bo to przecież twoja szkoła, ale...

- Będę czekała - zapewniłam, śmiejąc się w duchu z jego entuzjazmu. Przypomniałam sobie, jak Jake, bohater, którego grał w *Pomóżcie nam niebios*, nauczył się ważnej lekcji o pomaganiu bezdomnym, spędzając Boże Narodzenie w kuchni rozdającej darmową zupę, a potem wrócił do domu i dostał w nagrodę rower górski.

Bo, no wiecie, jak pomagacie bezdomnym, to na pewno ktoś wam podaruje rower. Chyba żeby nie.

Dobijano się do drzwi. Ktoś, namierzając policyjne radio, na pewno usłyszał o tym, że w centrum handlowym omal nie doszło do zamieszek, i dał znać brukowcom. Obeszli willę dookoła, nawołując Luke'a po imieniu i pstrykając nam zdjęcia, kiedy staliśmy na tarasie.

To wtedy ze śmiechem schowaliśmy się z powrotem do środka, a potem Luke wysłał mnie wreszcie do domu. Zapewnił, że wróci w przyszłą sobotę o siódmej, żeby mnie zabrać.

Godzinę później najwyraźniej nie wierzyła w to Irina stojąca na mojej werandzie.

- Kitujesz - oznajmiła stanowczo. - Ty masz iść na Wiosenne Szaleństwo z Lukiem Strikerem?

- Możesz mi nie wierzyć. Ale co ze Steve'em, Trina? Jak będzie? Bo ja naprawdę mam dość sprzątnięcia po tobie, ile razy go rzucasz.

Twarz Triny, przed sekundą zupełnie normalna - no cóż, wykrzywiona wściekłością, ale poza tym normalna - nagle się zmieniła. Poważnie. Trina po prostu wybuchnęła płaczem.

- Jak m - mogłaś? - mamrotała. - Jak mogłaś zgodzić się iść z nim na Wiosenne Szaleństwo, skoro wiesz... skoro wiesz, co ja do niego czuję?

- Trina - zaczęłam łagodnie. - Ty go prawie nie znasz. Wcale nie jesteś w nim zakochana. Kochasz Lancelota. Albo Tarzana. Albo, co gorsza, dzieciaka, którego grał w *Pomóżcie nam niebios*.

Trina zakryła twarz dłońmi i szlochając nie mniej głośno jak Cara Schlosburg, pobiegła z mojej werandy na własną. Kiedy tam się znalazła, szarpnęła drzwi i wpadła do środka, krzycząc histerycznie:

- Mamo!

Sekundę później moja mama wyszła na naszą werandę i spytała z troską:

- Co to za wrzaski? Czy to Trina?

- Tak - odparłam ze smutkiem.

- Coś ty jej, na miłość boską, powiedziała? - chciała wiedzieć mama.

- Prawdę.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

w szkole jest pewna dziewczyna, która ciągle ze wina, rywalizuje. Na przykład, ile razy nauczyciel oddaje nam klasówki, zawsze chce wiedzieć, co dostałam, a jeśli ona dostała lepszy stopień, to zachowuje się, jakby to było wielkie osiągnięcie. Zawsze wcześniej chce znać temat moich prac semestralnych, a kiedy jej mówię, wybiera ten sam! A potem sprawdza, która z nas lepiej wypadła. Strasznie mnie to wkurza. Jak mam ją powstrzymać?

Robiąca Swoje

Droga Robiąca Swoje,

to łatwe. Przestań jej mówić, jakie stopnie dostajesz. I nie zdradzaj tez tematów swoich prac semestralnych. Nie będzie mogła bawić się w tę grę, jeśli nie będzie miała z kim, prawda?

Annie

Ten pacan z białymi włosami, ten, który malował puszki z zupą Campbela? Tak, właśnie ten. On powiedział, że każdy ma swoje piętnaście minut sławy*.

No cóż, mylił się. Bo mnie się trafiło więcej niż tylko kwadrans w tym tygodniu po myciu samochodów.

Jedna ze stacji telewizyjnych poświęciła masę czasu na tę historię już pierwszego dnia. I trzeba było zobaczyć tytuły w różnych brukowcach:

WIELKA GWIAZDA
ODWIEDZA MAŁE MIASTECZKO
BYCZEK ZDEMASKOWANY!

Luke

LOKALNY UKOCHANY
LICEALISTEK OGIEREK
W SZKOLNEJ CZYTELNI!

I tak bez końca. Nagle Clayton w stanie Indiana - która nawet trudno zlokalizować na większości map - znalazło się w świetle reflektorów. Dziennikarze spadli na nasze miasto niczym skrzydlate małpy z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Wyglądało na to, że nie sposób skręcić za róg ulicy, żeby nie wpaść na prasowego tropiciela sensacji towarzyskich.

Nie przeczę, to było nawet całkiem zabawne, z początku. Wszyscy, jak się zdawało, chcieli wyłączności na wywiad ze mną, dziewczyną, która pokazała Luke'owi Strikerowi, jak to jest być prawdziwym nastolatkiem.

A kiedy rozeszło się, że Luke Striker i ja wybieramy się razem na Wiosenne Szaleństwo, a rozeszło się lotem błyskawicy - zobaczyłam Irinę na kanale Style, kiedy mówiła jakiemuś reporterowi: „Tak, Jen to moja najlepsza przyjaciółka. Idzie z nim na Wiosenne Szaleństwo” - prośby o wywiad zaczęły napływać w takim tempie, że tata wreszcie odłączył telefon.

No wiecie, nie mogłam się zgodzić na żaden taki wywiad. Przecież Luke to mój przyjaciel.

Nie występujesz w telewizji, żeby opowiadać o swoim przyjacielu.

Och, jasne, gdy ktoś mi podstawił mikrofon pod nos, kiedy wysiadałam z autobusu pod szkołą rano, i pytał: „Jenny Greenley, czy trudno ci było utrzymać tożsamość Luke'a Strikera w sekrecie?”, odpowiadałam z grzeczności. Mówiłam: „Nie”.

* Mowa o Andym Warholu, twórcy pop - artu (przyp. red.).

Albo: „Jenny Greenley, czy możesz nam zdradzić, co włożysz na szkolny bal?”, odpowiadałam: „Och, no wiecie. Sukienkę” (którą wybrała mi mama, bo ja nie mogłam pojechać do centrum handlowego w obawie przed zdeptaniem przez pełne uwielbienia nastolatki; bo okazuje się, że jeśli idziesz na Wiosenne Szaleństwo z Lukiem Strikerem, to ty też robisz się jakby sławna).

A kiedy dopadł mnie reporter z „Teen People”, który spytał: „Jak naprawdę wygląda twój związek z Lukiem Strikerem? Czy się kochacie?”, odparłam: „Wie pan co? Jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi”.

Bo to była prawda.

Ale nieważne. Nie zamierzałam zasiadać do pogawędki na temat Luke'a w *Regis and Kelly* (mimo że mnie zapraszali, ale co miałam zrobić - polecieć do Nowego Jorku?).

Najzabawniejsi w tym wszystkim byli ludzie w szkole. Bez żadnych skrupułów rozmawiali o Luke'u z reporterami. Powinniście zobaczyć Karen Sue Walters w Fox TV Rozwodziła się nad tym, jak to Luke udzielał jej wskazówek co do wykonania solówki w *Day by day*. Tak, i co jeszcze, Karen Sue? Tak się składa, że słyszałam, jak Luke powiedział do niej: „Przyjemna piosenka”. I tyle.

Ale mówiła o tym tak, jakby Striker był jej prywatnym nauczycielem śpiewu i jakby uważała, że w ten sposób zyskała przepustkę do sławy.

Nawet pan Hall przyłączył się do odgrywania tej komedii. Chwytał każdą nadarzącą się okazję do wywiadu i zawsze kończył słowami: „A Bardowie wystąpią na Międzystanowym Konkursie Chórów Rewiowych Bishop Luers - powtarzam, Bishop Luers - w najbliższy piątek. Wybieracie się!”

Tak, no jasne, panie Hall. Jestem pewna, że cała Ameryka umiera z ochoty oglądania Bardów zawodzących *As long as he needs me*.

Ale reporterzy prędko się znudzili. Gdzieś tak trzeciego dnia już nie zwracałam na nich uwagi. Przestałam się też przejmować tym, że Trina jest na mnie wściekła. Przed kamerami opowiadała: „Och, tak, Jen to moja najlepsza przyjaciółka”, ale na co dzień traktowała mnie oziębło. Wydawało się, że nie może mi wybaczyć tego, że:

a) otwarcie postawiłam sprawę Steve'a i

b) zgodziłam się iść z Lukiem na Wiosenne Szaleństwo. I jeszcze jednej rzeczy, chociaż to wcale nie była moja wina. W sumie, nie miałam z tym absolutnie nic wspólnego. A chodzi o to, że Steve - dobry, poczciwy, niezawodny Steve - zmęczył się wysłuchiwaniami, jak Trina jęczy na temat Luke'a Strikera...

...i ją rzucił.

Tak. Rzucił Trinę. I wyznał mi w czasie obiadu - bo zaczął jadać z nami, a Trina je teraz w sali chóru - że wcale tego nie żałuje. Wybierał się na Antywiosenne Szaleństwo do Kwanga i bardzo się cieszył, że nareszcie odzyskał wolność.

Geri Lynn jednak nie była tak samo uszczęśliwiona decyzją o zerwaniu ze swoją bratnią duszą. Nie w tym rzecz, że popadła z tego powodu w rozpacz. Raczej martwiło ją, że Scott za mało się tym przejął. Ile razy spotykałam Geri, zaczynała mnie dociekliwie wypytywać o Scotta. Czy moim zdaniem on już zdążył kogoś polubić? Bo ona odnosiła wrażenie, że Scott już wcześniej miał jakąś dziewczynę na oku i dlatego wcale nie protestował, kiedy usłyszał bolesną prawdę o rozstaniu. Czy powiedział mi cokolwiek na ten temat? Nie żeby ją to jakoś szczególnie interesowało, ale...

Prawdę mówiąc, przed tym popołudniem spędzonym w domu Luke'a, pewnie nadal obchodziłabym się z Geri jak z jajkiem. Pewnie bym łagodziła sytuację: „Ależ skąd, Geri Lynn, nie powiedział mi na ten temat ani słowa. Ale jestem pewna, że nadal cierpi po tym zerwaniu. Jeśli tak bardzo za nim tęsknisz, to może zadzwoń do niego i poproś, żeby do ciebie przyszedł. Tworzyliście taką świetną parę, naprawdę powinniście znów się zejść”.

Teraz wykluczone. Powiedziałam tylko:

- Wiesz co, Geri? Zerwałaś z nim. I koniec. Zajmij się wreszcie sobą.

Geri zrobiła bardzo wielkie oczy i taką minę, jakby się miała rozplakać, więc musiałam ją potem przeprosić (choć i tak nie radziłam, żeby do siebie wrócili).

Ale ona nie próbowała już ze mną o tym rozmawiać. Co przyjąłam z wielką ulgą.

Ale tak naprawdę dopiero sprawa Cary doprowadziła do tego, że wszyscy zaczęli o mnie gadać. To znaczy, najpierw gadała tylko Trina. No wiecie, każdemu, kto chciał słuchać, skarżyła się, że odkąd zostałam zaproszona przez Luke'a Strikera na Wiosenne Szaleństwo, „zmieniłam się”.

Później, po mowie, jaką walnęłam Geri, ona też się do tego włączyła. „Co się dzieje z Jen? Czy Jen nic nie jest? Zachowuje się tak dziwnie...”

Nikt nie zdobył się na odwagę i nie powiedział mi tego prosto w oczy, ale wiedziałam, że krążą plotki. Głosy milkły, kiedy wchodziłam do łazienki dla dziewczyn, pewny znak, że byłam tematem rozmowy.

A przy stole w stołówce ludzie starannie unikali tematu, który najbardziej wszystkich interesował - Luke'a Strikera.

Jedyną osobą w szkole, która bez względu na zaistniałe okoliczności traktowała mnie zupełnie normalnie - poza panem Hallem, bo ten niezmiennie darł się na mnie z powodu moich Jazzowych” rąk - był Scott. On nadal był tym samym starym dobrym Scottem, który

przejmował dowodzenie, ile razy uznał, że nie radzę sobie z układem graficznym gazety; pomagał mi wybrać listy do wydrukowania w rubryce *Spytaj Annie*; śmiał się z każdej książki, którą mu ostatnio pożyczyłam; w czasie obiadu proponował, żebym spróbowała jego domowej roboty tortellini z sosem z czterema serami...

Scott był nadal po prostu... Scottem.

Nawet rodzice odnosili się do mnie inaczej. Nie wiem, czy to dlatego, że wiedzieli, że zostałam zaproszona na szkolny bal - po raz pierwszy w życiu - czy też ze względu na zapraszającego. W każdym razie, nagle zaczęli mnie traktować, jakbym była bliższa wiekiem im niż Calowi i Rickowi. Na przykład tata zapytał mnie, kiedy chciałabym iść na kurs prawa jazdy. Nigdy wcześniej nie poruszał tego tematu z obawy, jak zawsze myślałam, że potem kiedyś będzie musiał wsiąść do samochodu ze mną za kierownicą.

Mama natomiast zaskoczyła mnie, mówiąc któregoś ranka przy płatkach kukurydzianych, jakbym była jej przyjaciółką, a nie córką:

- Jenny, zaprosz kiedyś Carę Schlosburg do kina. Jej matka mówiła mi wczoraj na siłowni, że Cara ostatnio była bardzo przygnębiona. Spytała nawet rodziców, czy zajmą się przeniesieniem jej do szkoły wojskowej dla dziewczyn w Culver od przyszłej jesieni.

Do szkoły wojskowej? Cara? Byłam zaszokowana. Cóż, nie dziwię się, że Cara wolałaby inną szkołę, byle nie słuchać krowich ryków.

Ale szkoła wojskowa? Liceum Clayton już jest złe, jednak nie tak złe jak szkoła wojskowa.

A może nie?

Tak czy inaczej, wiedziałam, że nie mam czasu do stracenia, więc nie zwlekałam. Podeszłam do Cary na długiej przerwie tego samego dnia, kiedy mama wspomniała o Culver, i spytałam:

- Co robisz dzisiaj po szkole?

Cara skubała listek sałaty, udając, że to wszystko, co zje na drugie śniadanie. Oczywiście w szafce miała pełno ciastek i posilała się nimi po kryjomu. Sama widziałam.

Spojrzała na mnie i spytała:

- Ja?

A potem obejrzała się za siebie, jakby chciała się upewnić, że mówię do niej, a nie do kogoś innego.

- Hm. Nic. A co?

- Bo chcę z tobą o czymś pogadać - powiedziałam. - Mogę pójść z tobą do domu?

Była tak zaszokowana jak ja, kiedy rano wybuchła bomba z informacją o szkole

wojskowej. Ogarnęła mnie fala poczucia winy, kiedy zdałam sobie sprawę, że jestem prawdopodobnie pierwszą osobą, która zapytała Carę, czy może wpaść do niej z wizytą.

- Ty chcesz do mnie przyjść? - Cara miała teraz podejrzliwą minę, jakby myślała, że może sobie z niej żartuję. - Po co?

- Mówiłam ci - odparłam. - Chcę z tobą o czymś pogadać. Jakim autobusem jedziesz?

- Trzydziestką - wyjąkała. - Odjeżdża spod szkoły dziesięć po trzeciej. Ale...

- No to do zobaczenia o trzeciej - powiedziałam i odwróciłam się, żeby odejść do swojego stolika.

- Zaczekaj. - Cara zaczynała robić się czerwona jak burak. To chyba dlatego, że zdała sobie sprawę, ile osób obserwowało naszą rozmowę. Mimo wszystko, to przecież ja idę na j Wiosenne Szaleństwo w towarzystwie Luke'a Strikera. Rzeczywiście przyciągam uwagę swoich rówieśników, gdziekolwiek się ruszę. - Jesteś pewna...? - zawołała Cara.

- Jasne - odparłam. I odeszłam.

Musiałam urwać się z redakcyjnego zebrania po szkole, żeby wcisnąć Carę w swój plan zajęć, ale stwierdziłam, że j „Gazeta” przez jeden dzień da sobie radę beze mnie. Cara potrzebowała mnie bardziej.

Kiedy tylko znalazłam się u niej w domu, zorientowałam się, że moje zadanie będzie łatwiejsze, niż przypuszczałam. Okazało się, że Cara mieszka w najnormalniejszym pod słońcem domu - nie w żadnej przyczepie kempingowej, z podpitymi rodzicami, jak się plotkowało. Dwupoziomowy, szaroniebieski budynek miał białe wykończenia, a wzdłuż podjazdu stały pelargonie w doniczkach.

Pani Schlosburg przywitała nas w drzwiach talerzem jeszcze ciepłych ciastek z kawałkami czekolady (Cara najwidoczniej zadzwoniła do domu i uprzedziła matkę, że przyprowadzi gościa). Była atrakcyjną kobietą - żadnych brakujących zębów, żadnego picia sześciopaka piwa dziennie, wbrew plotkom. Widać, że stawiała na głowie, żebym dobrze się czuła. Powinnam się tego spodziewać, skoro jest z moją mamą w jednej grupie na wodnym aerobiku. Cały czas mnie pytała, czy jeszcze na coś mam ochotę - na cokolwiek - i zaproponowała, żebym została na obiedzie.

Bardzo dobrze rozumiałam entuzjazm pani Schlosburg. Jako typowa „dziewczyna z sąsiedztwa” mam spore wzięcie u rodziców potencjalnych przyjaciółek. Niedobrze się od tego robi, ale to prawda.

A jednak pani Schlosburg nie miała pojęcia, że nie ma do czynienia z miłą dziewczyną z sąsiedztwa. O, nie.

Pierwsze co zrobiłam, kiedy Cara wprowadziła mnie do swojego pokoju - który był

zupełnie tak samo pełen falbanek jak mój - to otworzyłam na oścież szafę i wyrzuciłam z niej wszystkie spodnie do pół łydki, jakie znalazłam na wieszakach.

- Co ty wyprawiasz? - spytała Cara zaciekawiona.

- Mówiłam ci, że masz być sobą - odparłam. - A ty mi powiedziałaś, że nie wiesz jak.

No to ja ci pokażę. Idź i umyj włosy.

Cara tylko gapiała się na mnie.

- Ale...

- Już!

Trochę się nawet zdziwiłam, ale Cara zrobiła, jak jej kazałam. Musiałam przyznać Luke'owi rację. Facet, którego nie umiałabym rozgryźć, nawet gdyby od tego zależało moje życie, z pewnością rozgryzł mnie. Byłam urodzoną liderką. Jakbym to miała we krwi.

Nadal grzebałam w szafie, pogryzając ciastka pani Schlosburg, kiedy Cara wyłoniła się z łazienki okryta ręcznikiem, z włosami zwisającymi w mokrych lokach wokół twarzy.

Spojrzała na mnie, potem na stertę ubrań piętrzącą się na jej łóżku.

- Co ty wyprawiasz? - powtórzyła.

- Te możesz nosić do szkoły. - Wskazałam na rzeczy, które zostawiłam na wieszakach.

Większość z nich to tak zwane przez moją mamę klasyki mody: kilka zapinanych bluzek koszulowych, spódnica dzinsowa, swetry, klasyczne spodnie, tylko w ciemnych odcieniach, czarne dzinsy, para adidasów, jakieś chodaki, para ślicznych sandałów na koturnie i kilka rozszerzanych u dołu spódnic. - Te - spojrzałam znacząco na metrową stertę spodni do pół łydki, minispódniczek, bluzek z głębokim dekoltem, bojówek i biodrówek - powinnaś oddać do domu pomocy społecznej. Wiem, że Courtney i tamte dziewczyny noszą takie ciuchy. Ale nie wszystko musi tobie pasować. Ważniejsze, żeby wyglądać dobrze niż modnie.

Cara gapiała się na mnie.

- A to nie jedno i to samo?

Widziałam, że czeka nas jeszcze sporo pracy.

Potem przyszła pora zająć się włosami Cary. Spędziłam wystarczająco wiele czasu z Triną - która farbuję włosy przy każdej nadarzającej się okazji - żeby wiedzieć, jaką różnicę może sprawić pianka koloryzująca i kilka dobrze rozmieszczonych pasemek. Zdecydowałam - skoro Cara powiedziała, że sama nie wie - że powinna się farbować na kasztan. Nie rudy. Nic zbyt krzykliwego. Po prostu ciepły, interesujący brąz.

Oczywiście, nie przyszłam uzbrojona wyłącznie w kosmetyki. Zdawałam sobie sprawę, że nie wystarczy zafundować Carze nową fryzurę i makijaż, i spocząć na laurach. Przyniosłam ze sobą kilka moich ulubionych książek i filmów na DVD, włącznie z ostatnią

serią *Buffy, postrach wampirów*. Zawsze mi się wydawało, że jednym z problemów Cary jest to, że sztuka prowadzenia rozmowy nie należy do jej najmocniejszych stron. I naprawdę trudno mieć do niej o to pretensje, bo jedyni ludzie, przy jakich się kręciła - nie, żeby oni rzeczywiście z nią rozmawiali - to dziewczyny takie jak Courtney Deckard. A one gadają raczej o rzeczach - kremie po opalaniu, diecie - nie o ideach. Nudy.

Pomyślałam, że zmieniając na lepsze wygląd Cary, jednocześnie spróbuję rozwinąć jej umysł. Chociaż troszkę. Żeby miała o czym porozmawiać z ludźmi. To znaczy, poza swoimi dietami.

Sporo pianki do włosów, odrobina płynu do układania, lekkie stonowanie kresk robionych eyelinerem i Cara była zupełnie innym człowiekiem. Wciągu dwóch godzin zamiast mieć minę: „Dlaczego ja?“, zyskała wygląd: „Spójrz na mnie!” Prawie już skończyłam, kiedy wrócił z pracy ojciec Cary. Posadziłam więc jego i panią Schlosburg w salonie, a potem zaprezentowałam im nową i - przynajmniej moim zdaniem - lepszą wersję Cary.

Więszego dowodu na to, że odwaliłam kawał dobrej roboty, niż ich totalnie olśnione twarze, nie potrzebowałam. Mama Cary nawet porobiła zdjęcia.

Przyjęłam zaproszenie państwa Schlosburgów na obiad w hotelu Clayton Inn, w najlepszej restauracji w Clayton w stanie Indiana (tam właśnie odbędzie się Wiosenne Szaleństwo). Była to znakomita okazja, żeby udzielić Carze kolejnej lekcji... że zdrowiej najęść się stekiem i pieczonym ziemniakiem, niż pogryzać sałatkę bez sosu, a potem zeżreć paczkę ciastek wieczorem. Od tej pory - poinstruowałam Carę - ma zjadać trzy pełne, ale zdrowe posiłki dziennie. Żadnych więcej talerzy sałaty lodowej w stołówce, bardzo proszę.

I od jutra będzie siadała przy moim stole... Po tym stwierdzeniu Cara bardzo szeroko otworzyła oczy.

W drodze powrotnej do domu państwo Schlosburgowie rozpływali się z wdzięczności, że wzięłam ich córkę pod swoje skrzydła. Muszę przyznać, że poczułam się trochę niezręcznie.

Och, nie dlatego, że byli tak bardzo przejęci. Fakt pozostawał faktem, że powinnam się wtrącić i zająć Carą dużo wcześniej. O wiele za długo pozwalałam jej błądzić samej po omacku.

Ale, szykując się wieczorem do łóżka, powiedziałam sobie, że teraz wszystko się zmieni. Cara nie była jedyną osobą, która ulegała transformacji.

Pa, pa, miła mała Jenny Greenley, przyjaciółko całego świata. Witaj Jen, społeczna reformatorcko.

A następnego dnia, każdy, kto się nie połapał w nowej sytuacji do południa, miał okazję ostatecznie przekonać się o zmianach przed końcem przerwy obiadowej. To wtedy Cara i ja weszłyśmy razem do stołówki.

Darowała dziś sobie, zauważyłam z satysfakcją, poranne prostowanie włosów na szczotce. Jej świeżo przyciemnione włosy wiły się w naturalnych lokach wokół twarzy, pięknie ją obramowując. Dyskretny makijaż zdobił, nie szpecił. I chodziła krokiem bardziej sprężystym niż kiedykolwiek wcześniej.

Przystając przed drzwiami stołówki, gdzie się umówiliśmy, Cara obciągnęła bluzkę i upewniła się, że spódnica do kolan ze sztucznego jedwabiu - żadnych więcej miniówek - leży równo. Poprawiłam jej jeszcze kasztanowy lok, żeby opadał beztrąsko przez ramię.

- Gotowa? - spytałam.

Cara nerwowo pokiwała głową. Potem powiedziała: - Jen, mogę cię najpierw o coś zapytać?

- Strzelaj.

Cara patrzyła na mnie uważnie.

- Dlaczego... to dla mnie robisz?

Musiałam się nad tym przez chwilę zastanowić. Wołałam nie wspominać o Culver, bo nie chciałam zdradzić, że nasze mamy o niej rozmawiały. I oczywiście, nie mogłam nic powiedzieć o tym, co Luke mi wbijał do głowy, że ludzie tacy jak ja mają obowiązek pomagać takim jak ona.

Ale kiedy się naprawdę nad tym zastanowiłam, zdałam sobie sprawę, że to wcale nie były powody, dla których pomogłam Carze. Pomogłam Carze, bo...

- Bo cię lubię - odparłam w końcu.

Może trochę za późno zdałam sobie z tego sprawę. Ale to nadal była prawda.

Więc to właśnie powiedziałam i wzruszyłam ramionami.

Chyba jednak powinnam zachować tę informację dla siebie, bo oczy Cary wypełniły się łzami, zagrażając tuszowi na rzęsach...

- O rany! - krzyknęłam. - Przestań!

- Nie mogę. - Cara zaczęła pociągać nosem. - To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam...

Szybko otworzyłam drzwi do stołówki.

- Do środka! - rzuciłam z rozkazującym tonem. Hałas uderzył w nas z taką samą siłą jak zapach dania dnia - chili z indyka. Cara cofnęła się o krok, wstrząśnięta wrzaskiem.

Ale ucieczka nie wchodziła w grę. Sięgnęłam za siebie, chwyciłam jej wilgotną dłoń i

pociągnęłam.

Znalazłyśmy się w środku. I szliśmy w stronę wybiegu.

„Nie wahaj się”, radziłam Carze poprzedniego wieczoru. „Jeśli pozwolisz sobie chociaż na chwilę niezdecydowania - oni zaatakują. Pamiętaj, cały czas będę przy tobie. Patrz prosto przed siebie. Nie garb się. Nie powłócz nogami. I na miłość boską, unikaj kontaktu wzrokowego”.

Staralam się jak najswobodniej odegrać tę scenę, więc nie patrzyłam na Carę. Nie miałam pojęcia, czy posłuchała moich poleceń, czy nie.

Ale wyczuwałam, że coś się działo. Natężenie decybeli powoli słabło. Ludzie przerywali rozmowy w pół zdania.

Wkrótce nawet widelce przestały skrobać po talerzach. Cisza - po raz pierwszy w historii Liceum Clayton - zapanowała w całej stołówce. Słyszałam wyłącznie odgłos własnych kroków. .. I klap - klap sandałów Cary na koturnach.

Wtedy zaryzykowałam i spojrzałam spod oka na Carę. Policzki zaczynały jej się różowić pod odcień bluzki.

Ale ku mojej uldze nie ociągała się.

Nie wahała się.

I nie szukała kontaktu wzrokowego.

Sięgnęłam po dwie tace. Podałam jej jedną. Przeszłyśmy wzdłuż bufetu. Wzięłam miseczkę chili z indyka, mieszaną sałatę polaną sosem, kawałek pieczywa kukurydzianego, dietetyczną colę i jabłko. Cara wzięła to samo. Bufetowe przyglądały się nam, ale wcale nie ze względu na wybór potraw.

Po prostu one też, jak ja, nigdy wcześniej nie słyszały, żeby to miejsce było takie ciche.

Tylko że te panie w przeciwieństwie do mnie nie mogły się połapać, czemu nikt nic nie mówi.

Przeszłyśmy do kasy. Zapłaciłyśmy. Wzięłyśmy tace. I ruszyłyśmy w stronę naszego stołu.

Jeśli cokolwiek miało się zdarzyć, to wiedziałam, że zdarzy się właśnie teraz, dokładnie w tym momencie. Przemiana Cary z kiepskiej kandydatki na modelkę w kogoś, kto pokazuje: „Jestem po prostu sobą”, była niezwykła, ale farba do włosów i makijaż - a nawet bluzka zakrywająca brzuch - nie zrobią różnicy tyranowi, który zdecydował się utrzymać Carę pod swoim butem (lub sandałkiem). Mieli już dość czasu, żeby otrząsnąć się z szoku. Zaczepki - jeśli będą - pojawią się teraz.

Sześć metrów. Trzy metry. Metr. Dotarliśmy. Udało się nam postawić tace na stole i właśnie odsuwałyśmy krzesła, kiedy to się zaczęło.

Ryk krowy.

Cara zamarła. Muczenie dobiegło zza naszych pleców. Poprzedniego wieczoru wbijałam jej do głowy, że jeśli kiedykolwiek jeszcze ktoś na nią zaryczy, ma nie reagować. Nie może wybuchnąć płaczem. Ani uciekać. Musi się zachowywać tak, jakby nic nie słyszała. Nie wolno jej nawet się obejrzeć.

Ale czy ona posłucha? Czy cała ta moja gadka była jak rzucanie grochem o ścianę? Patrzyłam z niepokojem, jak palce Cary zaciskają się na oparciu krzesła... aż kostki pobieleły.

Potem usiadła i zaczęła spokojnie jeść chili.

Ulęgę, która na mnie spłynęła, odczułam jak lodowaty prysznic w upalny dzień. Prawie zakreśliło mi się w głowie. Tak! Zakłęcie przysło! Na Carę już nigdy nikt nie zaryczy jak krowa.

Ale potem znów usłyszałam: muuuu.

Scott Bennett, jedyny przy naszym stole, który do tej pory jadł dalej jakby nigdy nic, zastygł z widelcem pełnym kurczaka w pół drogi do ust. Spojrzał w stronę stołu Kurta Schraedera. Ja też tam popatrzyłam. Kurt odwzajemnił moje spojrzenie z krzywym uśmiechem na twarzy.

- Masz jakiś problem, Kurt? - spytałam lodowatym głosem, który w ciszy błyskawicznie poniósł się dziesięć metrów do jego stołu.

- Jasne - odezwał się Kurt.

Ale przerwał, bo Courtney Deckard szturchnęła go mocno pod żebro.

Popatrzyłam na Courtney. Ona popatrzyła na mnie.

Nie mam pojęcia, czy to dlatego, że pod koniec tygodnia miałam iść na Wiosenne Szaleństwo Liceum Clayton z Lukiem Strikerem, a Courtney o tym wiedziała, czy też teoria Luke'a o specjalnym sosie rzeczywiście miała jakiś sens, ale sytuacja nagle się zmieniła.

Courtney wzięła swoją puszkę z dietetycznym napojem gazowanym i szepnęła coś do siedzącej obok niej dziewczyny.

A ta odpowiedziała. A potem wszyscy przy ich stole znów zaczęli jeść i rozmawiać, jakby nic nie zaszło. Niebawem każdy w stołówce poszedł za ich przykładem.

Włącznie, jak zauważyłam z przyjemnością, z Carą Schlosburg, która grzecznie spytała Kwanga, czy oglądał *Buffy*, a jeśli tak, to czyjego zdaniem ten serial nie podupadł po odejściu Angela.

Serce mi rosło. Nie rozległ się już żaden ryk.

Cara Krowa przestała istnieć. Niech żyje Cara Schlosburg!

Udało się, pomyślałam, zabierając się do swojego chili, nagle strasznie głodna. Udało się!

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

mój tata interesuje się tylko sportem. Nigdy nie zwracał na mnie uwagi, kiedy zajmowałem się baletem i sztuką, ale teraz, kiedy dostałem się do drużyny szkolnej, omal nie pęknie z dumny. Ale jest jeden problem. Ja nienawidzę sportu. Startowałem do drużyny tylko po to, żeby uszczęśliwić tatę, ale nigdy nie sądziłem, że się dostanę. Potem miałem nadzieję, że polubię piłkę. Nic z tego. Nie cierpię treningów i meczów. Chcę odejść z drużyny. Jedyne problem - mój tata mówi, że kiedy cię już raz przyjmą, nie możesz zrezygnować, bo zawiedziesz drużynę. Ja myślę - a niech szlag trafi drużynę! Pragnę wrócić do baletu. Co mi radzisz, Annie?

Niefortunny Sportowiec

Drogi Niefortunny Sportowcu,

życie jest krótkie. Fakt, że tak nienawidzisz sportu, oznacza, że nigdy w tej dziedzinie nie wykorzystasz całego swojego potencjału. Drużyna w sumie lepiej na tym wyjdzie, jeśli zrezygnujesz, a oni znajdą sobie kogoś, kto całe serce będzie wkładał w grę. Powiedz tacie, że wiesz, że on stara się wpoić ci istotne wartości, ale że jeśli nie poprobujesz nowych rzeczy, nigdy się nie przekonasz, w czym jesteś naprawdę dobry. A miejsce na nowe rzeczy możesz zrobić, tylko rezygnując z tych, o których wiesz, że nie są dla ciebie. A potem przygotuj się na mówkę na temat: „Bardzo mnie rozczarowałeś”. Ale nie martw się. Tata się z tym pogodzi. Kiedy zobaczy, jak świetnie ci idą grand jesteś w czasie Twojego pierwszego wielkiego baletowego recitalu.

Annie

Dobra, przyznaję. Po tej akcji z Carą zaczęłam myśleć, że Luke miał chyba co do mnie rację.

Bo to działało. Totalnie działało.

I tak, może działało dlatego, że co wieczór w programie *Co nowego w Hollywood* puszczaali scenki, w których mówię: „Nie, naprawdę, Luke i ja jesteśmy po prostu przyjaciółmi”.

Ale nieważne. Podziałało. Grupa Kurta przestała ryczeć na Carę.

I oczywiście mnóstwo ludzi zaczynało między sobą gadać - włączając, jak się dowiedziałam drogą pantoflową, moją byłą najlepszą przyjaciółkę Trinę: „Co się dzieje z Jen? Dlaczego zaczęła być taka miła dla Cary Krowy?”

Ale nigdy w zasięgu słuchu Cary, więc nie reagowałam.

Zwłaszcza kiedy mama powtórzyła mi, że pierwszego dnia bez ryków w stołówce Cara zapisała się do samorządu szkolnego na przyszły rok. A więc nie wyglądało na to, żeby miała w niedalekiej przyszłości przenieść się do Culver.

Szkoda tylko, że mimo pozytywnego wpływu na życie Cary, należałam do grona osób najmniej lubianych przez moją najlepszą przyjaciółkę. Trina nadal nie chciała ze mną rozmawiać, co, przyznaję, nie służyło mi jak woda po kaczce. Brakowało mi Triny. Bez wspólnych pogaduszek w sieci straciłam połowę frajdy z odrabiania łaciny. Nie żałowałam tego, co jej powiedziałam, i nadal nie uważałam, żeby moja zgoda na pójście z Lukiem Strikerem na Wiosenne Szaleństwo była wielką zdradą.

Ale żałuję, że nie poradziłam sobie z tą sytuacją jakoś zręcznie. Bo kłótnia z Triną bardzo negatywnie wpływała na moje życie. Zwłaszcza podczas prób Bardów.

Dzień wielkiego występu w konkursie chórów zbliżał się szybko. Nasze sukienki - te po sto osiemdziesiąt dolarów - przyjechały w pełnej krasie cekinów i czerwieni. Naprawdę były to najbrzydsze sukienki, jakie widziałam w życiu - takie, że gdybym znalazła coś podobnego w szafie Cary, natychmiast trafiłoby na stos rzeczy do oddania.

Ale pewnie nawet domy pomocy społecznej by ich nie zechciały.

A pan Hall był nimi zachwycony. Kiedy stałyśmy na podium podczas pierwszej próby kostiumowej na wtorkowej lekcji, naprawdę iza zakręciła mu się w oku. Powiedział, że nareszcie wyglądamy jak prawdziwy chór.

Nie wiem, jak jego zdaniem wyglądaliliśmy przedtem. Ale najwyraźniej, nie jak chór.

Sukienki przyjechały w ostatniej chwili. W piątek o świcie - dzień przed Wiosennym Szaleństwem - Bardowie (razem z panem Hallem i wybranymi członkami orkiestry Liceum Clayton, którzy mieli nam akompaniować podczas występu) mieli wsiąść do specjalnie wynajętego autobusu. W Liceum Bishop Luers zaplanowano występy także kilkunastu innych chórów rewiowych. Każdy z nich w ciągu piętnastu minut musiał jak najlepiej zaprezentować się przed bardzo prestiżowym jury - należała do niego była miss Kentucky. I wprawić wszystkich w zachwyt swoimi umiejętnościami wokalnymi i ruchowymi, intonacją, jakością brzmienia, opanowaniem, wyglądem, tempem występu, choreografią i ogólnymi umiejętnościami scenicznymi.

Nie wiem, co mogłoby brzmieć jeszcze bardziej idiotycznie.

A jednak, mimo wysokiego poziomu głupoty imprezy, wszyscy się denerwowali tym występem. No cóż, przynajmniej pan Hall i soprany byli zdenerwowani. Muszę przyznać, że alty chyba o wiele bardziej interesowały się tym, ile kawałków papieru zdołają wetknąć w kręcone włosy Karen Sue Walters, która stała na podium z przodu.

Karen Sue oskarżyła nas, że strzelamy w nią kulkami papieru. Uwierzyć? A pan Hall rozdmuchał całą sprawę ponad wszelkie proporcje. To wcale nie były żadne kulki papieru, tylko kawałki pracy domowej Znużonej Liz z trygonometrii.

W każdym razie, w tygodniu poprzedzającym wyjazd do Bishop Luers pan Hall ćwiczył z nami tak intensywnie, że *All that jazz* brzmiało mi w głowie bez przerwy. Nie mieliśmy żadnych problemów z harmonią głosową i ruchową, intonacją, dykcją ani jakością brzmienia.

Ale zdaniem pana Halla niektórzy z nas nadal nawalali z precyzją rytmiczną. A przynajmniej jedna z nas miała potężne problemy z układem choreograficznym.

Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko to, że kiedy przechodziłam proces przesłuchań, nikt ani słowem nie zająknął się o tańcu. Poważnie. Tę część dotyczącą śpiewu rozumiałam. Ale taniec? Nikt mi nic o tym nie wspomniał.

W zwykłych warunkach poprosiłabym Trinę, żeby zajrzała do mnie po szkole i pomogła mi z tą choreografią. I pewnie w zwykłych warunkach z radością by to zrobiła.

Ale Trina i ja nie rozmawiałyśmy ze sobą. To znaczy ona nie rozmawiała ze mną.

Do środy miałam już tego powyżej uszu.

Jak też wrzasków pana Halla, który mnie rugał za psucie choreografii. Co, jak się nad tym zastanowić, i tak było winą Triny. No bo to ona przecież upierała się: „Och, zobaczysz, jak te zajęcia przydadzą ci się na świadectwie”.

Tak, ale na co komu ładne świadectwo, jeśli jest już martwy? Bo obawiałam się, że

umrę, jeżeli pan Hall nie odzepi się ode mnie i tej całej głupiej choreografii. Po prostu myślałam, że padnę trupem.

Jakoś sobie radziłam w czasie *As long as he needs me*, bo to wolny utwór. Przy *Day by day* miałyśmy jedynie stać w tych głupich sukienkach i patrzeć w stronę reflektora („Obserwujecie piękny zachód słońca”, mówił nam pan Hall. „Patrzycie na tęczę, oszołomieni miłością Pana Boga!”), więc jakoś z tym sobie dawałam radę.

Ale *All that jazz*? Och, drżałam na samą myśl o *All that jazz*... Mogłam się uporać ze zmianą kroku przy linijce: „Kupiłem aspirynę tam, w United Drug”. Mogłam nawet połapać się w tych jazzowych” rękach przy: „Odpal samochód, znam świetną knajpę”.

Ale kiedy przychodziło do podania Trinie kapelusza do tego cholernego fragmentu z tańcem, cały czas totalnie mi się chrzaniło.

I pozwolę sobie otwarcie powiedzieć, że to też była wina Iriny. Tydzień wcześniej, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiałyśmy, rzucałam jej kapelusz, a ona go łapała w samą porę, żeby znaleźć się na swoim miejscu w czasie kankana.

Ale z jakiegoś powodu, chociaż rzucałam kapelusz dokładnie tak samo, Trinie wciąż nie udawało się go złapać. Nie chciałabym mówić, że robiła to specjalnie. Ale...

No dobra. Specjalnie nie łapała tego kapelusza.

Pierwsze dwa razy, kiedy to się zdarzyło, pan Hall nie zauważył, bo kapelusz po prostu lądował na podłodze i Trina go podnosiła, potem wkładała na głowę.

Ale w czasie środowej próby - szczególnie trudnej, bo jeden z tenorów zapomniał swojej szarfy do smokinga, a pan Hall tak się wściekł, że bałam się, że dostanie apopleksji - kapelusz Triny wyfrunął mi z dłoni i wylądował, tak się złożyło, w tubie Jake'a Manciniego.

Mogła go złapać. Wystarczyło, żeby wyciągnęła rękę.

Ale tego nie zrobiła. Więc kapelusz wylądował w tubie.

Co było w sumie bardzo śmieszne. I gdyby to się zdarzyło w czasie Luers, mogę się założyć, że Miss Kentucky pomyślałaby, że robimy ten numer specjalnie, i dodałaby nam kilka punktów za precyzję i kreatywność.

Tb nie był żaden wielki problem. A przynajmniej ja tak uważałam. Jake wyjął kapelusz ze swojego instrumentu, z galanterią podał Trinie, a ona włożyła go na głowę i wróciła na swoje miejsce w szeregu, w ogóle nie myśląc kroku.

Twarda Brenda, która to wszystko widziała, śmiała się tak bardzo, że o mało nie zlała się w majtki (które były w komplecie, ponieważ sukienki miały bardzo szerokie spódnice).

Niestety pan Hall też wszystko widział. I wcale nie uznał, że to śmieszne. Obrócił się i wbił we mnie wzrok pełen czystej, prawdziwej furii. Twarz mu mocno poczerwieniała,

niemal pod kolor sukienek.

A kiedy *All that jazz* doszło do porywającego finału, a my, wyciągając ręce staraliśmy się wykrzesać z siebie tyle precyzji ruchowej i rytmicznej, ile się tylko dało, pan Hall cisnął w kąt pałeczkę dyrygenta i syknął:

- Siadać.

Posłusznie opadliśmy na stopnie podium. Potem pan Hall wskazał palcem na mnie.

- Ty tam - warknął. - Wstań.

Wstałam. Serce waliło mi szybko. Ale tylko dlatego, że kilka sekund wcześniej robiłam „jazzowe” ręce. Nie bałam się. Mimo wszystko, to był przypadek. Nie zrobiłam tego celowo. Pan Hall na pewno to rozumiał.

- Panno Greenley - powiedział. Twarz miał nadal czerwoną, a pod pachami dwa duże półksiężycy plam potu. Ale to chyba w ogóle nie miało dla niego znaczenia. Całą uwagę skupił na mnie. - Czy jest zamiarem panny Greenley - spytał mnie - rujnować występ chóru na Bishop Luers?

Zerknęłam niepewnie na Twardą Brendę. Popatrzyłabym na Trinę, licząc na jej pomoc, ale uparcie odwracała twarz, wbijając wzrok w ścianę.

- Hm - mruknęłam, bo Twarda Brenda tylko wzruszyła ramionami niezdecydowanie, pokazując mi w ten sposób, że na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. - Nie - wymamrotałam.

- No to dlaczego - zagrzmiął pan Hall tak głośno, że dzieciak trzymający talerze omal ich nie upuścił na ziemię ze strachu - panna Greenley wrzuciła kapelusz Catriny Larssen do kanału dla orkiestry?

Spojrzałam na Steve'a, w nadziei, że udzieli mi wsparcia. Ale nikt z sekcji barytonów nie przyszedł z odsieczą. Jabłko Adama Steve'a latało jak tłok silnika, ale on sam nie otworzył ust.

- Hm - mruknęłam raz jeszcze. - To był przypadek.

- Przypadek? - ryknął pan Hall. - Przypadek? Czy panna Greenley wie, ile by nas kosztował ten przypadek, gdyby się zdarzył w czasie Luers? Wie?

Ponieważ nie miałam zielonego pojęcia, powiedziałam:

- Nie.

- Dziesięć punktów! - zawył pan Hall. - A dziesięć punktów, panno Greenley, może oznaczać różnicę między pierwszym miejscem a wypadnięciem z konkursu. Czy to na tym pannie Greenley zależy? Żeby nasz chór przegrał w Luers?

Znów spojrzałam na Trinę. Gdybyśmy ze sobą rozmawiały, w tym momencie z

pewnością podniosłaby rękę i powiedziałyby: „Panie Hall, to moja wina, nie Jen. Niechcący nie złapałam kapelusza”.

Tyle że gdybyśmy ze sobą rozmawiały, to ona nie pozwoliłaby temu kapeluszwowi wpaść do tuby. Więc tak naprawdę, wszystko było jej winą.

Ale przecież nie mogłam powiedzieć: „Panie Hall, to przez Trinę”. Bo po prostu takich rzeczy się nie robi.

Więc powiedziałam:

- Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Chociaż wiedziałam, że się powtórzy. Bo Trina wcale nie zamierzała łapać tego kapelusza.

- Przepraszam nie wystarczy! - wrzasnął pan Hall. - Przepraszam niczego nie naprawi! Panna Greenley cały rok się obijała. Tak, jakby dla niej ten chór był świetnym żartem. No cóż, chciałbym poinformować pannę Greenley, że Bardowie Liceum Clayton to w żadnym razie nie żart. Przez pięć kolejnych lat zdobywaliśmy najwyższe wyróżnienia na Bishop Luers i w tym roku nie będzie inaczej, mimo prób sabotowania naszego występu. Nie wiem, panienko, czy uderzyła ci do głowy twoja mała przygoda z Lukiem Strikerem, ale pozwól, że ci przypomnę, to on jest gwiazdą. Nie ty. A teraz, albo będziesz ze mną współpracować, albo stąd wyjdiesz. Wybieraj. - Pan Hall podniósł pałeczkę i postukał nią w pulpit dyrygenta. - Bardzo proszę, zaczynamy jeszcze raz od ostatniego numeru - powiedział. - I miejmy nadzieję, że tym razem panna Greenley okaże nam nieco więcej szacunku.

No i w tym rzecz. W zeszłym tygodniu pewnie bym sobie odpuściła. Dla Triny, bo to w sumie jej na tym zależało. Ja tylko brałam udział dla towarzystwa. To ona miała dużą solówkę. To ona mnie przecież namawiała, żebym w ogóle zapisała się do tego głupiego chóru.

W zeszłym tygodniu może bym powiedziała: „Dobrze, panie Hall. Przepraszam, panie Hall. Będę więcej ćwiczyć, panie Hall”. Żeby tylko nikt nie poczuł się urażony.

Ale to już przeszłość.

A mnie przestało zależeć na tym, żeby wszystkim było zawsze miło i przyjemnie.

Zaczęło mi zależeć, żeby było, jak trzeba. Więc zeszłam z podestu i zebrałam swoje rzeczy.

- Panno Greenley? - zawołał pan Hall. - A dokąd to się wybieramy?

Obejrzałam się na niego przez ramię, idąc w stronę drzwi.

- Powiedział pan, żebym współpracowała albo wyszła - odparłam. Serce tłukło mi się mocno za żebrami. Ani razu nie pyskowałam nauczycielom. Ale było mi już wszystko jedno,

jak się zachowuję. Nic mnie to nie obchodziło. - Więc wychodzę.

- Daruj sobie te melodramaty. Naprawdę, takiego zachowania mógłbym się spodziewać po panie Larssen. - Tu rzucił mroczne spojrzenie Trinie. - Ale nie po tobie. - Wskazał na puste miejsce na podium, gdzie zwykle stałam. - Wracaj na miejsce. I zaczynamy od ostatniego numeru.

- Ale... - Tkwiłam jak słup soli. - Powiedział pan, że mam wybór.

- To jest lekcja, panno Greenley - odparł pan Hall. - Nie można, ot tak, wyjść sobie w połowie.

I to była prawda. Nie można bez przepustki opuszczać klasy w czasie lekcji. A jeśli to zrobisz, zostaniesz zatrzymany po zajęciach albo, co gorsza, zawieszony w prawach ucznia. A może nawet wyrzucony ze szkoły. Skąd miałam wiedzieć? Nigdy przedtem nie wyszłam z klasy bez pozwolenia w czasie lekcji. Zawsze byłam dobrym dzieckiem. No wiecie, miłą dziewczyną z sąsiedztwa. Taką, która nigdy nie przerywa czegoś w połowie i nie zostawia ludzi na lodzie.

Pan Hall o tym wiedział. I pewnie dlatego dodał:

- Nie wolno ci tak po prostu wyjść. I może właśnie dlatego odparłam:

- Tak? No to się przekonamy. I wyszłam.

- Panno Greenley! - Gonił mnie jego wrzask. - Panno Greenley! Proszę tu w tej chwili wracać!

Ale było za późno. Już szłam korytarzem, prosto do łazienki, gdzie się przebrałam - drżącymi rękami - w swoje zwyczajne ubranie.

I wiecie co? Nikt za mną nie wyszedł. Nikt nie spytał pana Halla, czy może sprawdzić, czy nic mi nie jest. Nikt się nie zatroszczył, tak jak zawsze ja się troszczyłam w przypadku Cary.

Nikt. Ani jedna osoba.

Nawet Trina, która była przecież temu wszystkiemu winna.

A wiecie dlaczego? Bo jedyna osoba w Liceum Clayton, która przejmowała się ludźmi na tyle, żeby za nimi biec i sprawdzać, czy nic im nie jest, to ja.

Być może dlatego wzięłam tę sukienkę na występ Bardów, sto procent poliestru za sto osiemdziesiąt dolarów, z błyskawicą z cekinów na gorsie, zwinęłam ją w kłębek i wcisnęłam do kosza.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

choć, w zeszłym tygodniu skończyłam szesnaście lat, rodzice nie pozwalają mi się spotykać z chłopakami, nawet na imprezach w większej grupie. Ostatnio pewien chłopak zaprosił mnie do kina ze swoimi rodzicami, a moi i tak się nie zgodzili.

Teraz koleżanki nie chcą się ze mną spotykać, bo wiedza, że i tak nie wolno mi iść tam, gdzie mogą być chłopcy. Umieram z samotności. Co robić?

Samotna w Indianie

Droga Samotna,

powiedz swoim rodzicom, że ich kochasz i wiesz, że starają się Ciebie chronić, ale że posuwają się za daleko. Nie pozwalając Ci prowadzić normalnego życia towarzyskiego, nie dają Ci możliwości nauczenia się, jak podejmować decyzje i tworzyć zdrowe relacje międzyludzkie, co będzie miało negatywny wpływ nie tylko na Twoją, przyszłą umiejętność znalezienia życiowego partnera, ale także na funkcjonowanie w pracy i ogólnie w świecie. Jeśli nadal nie będą chcieli Cię wysłuchać, poproś jakąś zaprzyjaźnioną, dorosłą, osobą o wsparcie. Powodzenia i pamiętaj - jak długo jest tu Annie, nigdy nie będziesz samotna.

Annie

Myślałam, że będzie musiało minąć przynajmniej kilka dni, zanim zdołam z rozbawieniem myśleć o tym, co się stało w sali chóru. No bo to przecież było bardzo przykre. Sprzeciwiłam się nauczycielowi, zostawiłam na pastwę losu ludzi, którzy na mnie liczyli, i prawdopodobnie nieodwołalnie zerwałam kontakty z najlepszą przyjaciółką.

Ale okazało się, że zaledwie po trzech godzinach zaczęła do mnie docierać śmieszność tej całej sytuacji. Uzmysłowali mi ją koledzy z redakcji „Gazety”.

A zwłaszcza Scott Bennett.

- Niemożliwe - powiedział, kiedy wyjawiałam, że wsadziłam sukienkę do kosza.

- A jednak - odparłam.

Muszę przyznać, reakcja redakcji „Gazety” na tę całą awanturę dodała mi sporo pewności siebie i wiary w słuszność mojej decyzji. Przesiedziałam przez resztę lekcji tego popołudnia, spodziewając się wezwania od Soczystej Lucy, która niewątpliwie zadzwoni do moich rodziców, jeśli od razu mnie nie zawiesi w prawach ucznia.

Ale nie nadchodziło żadne wezwanie do gabinetu wicedyrektorki. Ani do doktora Lewisa. Ani nawet do pani Kellog. Najwyraźniej pan Hall wcale na mnie nie doniósł.

A może, co bardziej prawdopodobne, jeśli doniósł, to nikt z dyrekcji się tym nie przejął. Bo w końcu chodziło o mnie. A jakich kłopotów mogła narobić Jenny Greenley, wałęsając się po korytarzach, zamiast tkwić za pulpitem, jak przystało na grzeczną dziewczynkę?

Jednak Scott, Geri, Kwang i reszta naprawdę poprawili mi humor. W gruncie rzeczy nic nie wiedzieli o Bardach. Tylko Kwang zamierzał z nimi pojechać do Luers, żeby zrobić sprawozdanie dla „Gazety”. Ponieważ drużyny sportowe z Liceum Clayton przegrywają wszystkie mecze, ludzie bardzo liczyli na to, że przynajmniej Bardowie zaliczą jakiegoś gola dla Kogutów.

- No to przy kim ja teraz sobie usiądę? - jęknął Kwang, który miał nadzieję, że pożartujemy sobie razem w autobusie.

- Jest Trina - zauważyłam. - I Steve.

- Teatralne typki - ocenił Kwang z niesmakiem.

- W głowie mi się nie mieści, że ją wyrzuciłaś - powiedział Scott, nadal myśląc o mojej sukience. Jakoś nie potrafił objąć umysłem tego, że wyrzuciłam kieckę.

Bo to pewnie rzeczywiście było trochę dziwne. Zwłaszcza biorąc pod uwagę cenę

czerwonego paskudztwa.

Ale właśnie w tym rzecz. Zapłaciłam za tę głupią sukienkę z własnych pieniędzy. Zarobionych na opiece nad dziećmi. A przecież mogłam wydać je na... Sama nie wiem. Ale na coś, co by mi się naprawdę podobało.

- A co, twoim zdaniem, miałam z nią zrobić? - Pokręciłam głową. - I tak nigdy już bym jej nie włożyła.

- Tak, Scott - wtrąciła się Geri. Doszli już do takiego punktu na tym nowym, nieromantycznym etapie znajomości, że znów mogli sobie dogadywać. Nie byłam do końca pewna, czy to dobry, czy zły znak. Ale z ulgą zaobserwowałam, że żadne nie usycha z rozpacz. W gruncie rzeczy, ostatnio Geri wydawała się bardzo z siebie zadowolona. - Myślisz, że jest masa miejsc, gdzie dziewczyna może się pokazać z błyskawicą na sukience?

- No właśnie - dodał Kwang. - A może powinna ją włożyć na Wiosenne Szaleństwo z Lukiem Strikerem?

Po tym żarcie wszyscy roześmieli się naprawdę serdecznie.

Geri zaproponowała, żebyśmy wrócili do łazienki dla dziewczyn, wyciągnęli sukienkę z kosza i uroczycie ją spalili albo pochowali. Ale Scott miał jeszcze lepszy pomysł: powinniśmy oblać bardowy strój chemikaliami z ciemni fotograficznej - ponieważ jest zrobiony z tak nienaturalnych włókien - i sprawdzić, czy uda się go wysadzić w powietrze.

Dziwnie się czułam na myśl o powrocie na miejsce zbrodni - nie miałam ochoty wpaść na pana Halla, Trinę ani nikogo z chóru - więc zrezygnowałam z udziału w wyprawie po sukienkę. Poszła za to Geri z dwiema dziewczynami z pierwszej klasy. Ale wróciły z pustymi rękami. Woźna już zabrała śmieci.

To wywołało mnóstwo kolejnych żartów. A jeśli jedna z woźnych znalazła sukienkę i zdecydowała się ją zatrzymać? A potem włoży ją i natknie się na kogoś z nas?

To głupota, ja wiem. Ale przysięgam, omal się nie posikałam ze śmiechu.

I to dlatego po skończonym zebraniu nie dosłyszałam, że woła mnie Scott.

- Jak chcesz, podrzucę cię do domu, Jen - powtórzył, gdy nie zareagowałam.

Przysięgam, powiedział to tak zwyczajnym tonem, że w pierwszej chwili w ogóle nie zwróciłam uwagi na ogromną niezwykłość sytuacji. No wiecie, bo on to praktycznie proponował mi co dzień. Tym razem nie mogłam jednak liczyć ani na Trinę ani na Steve'a, skoro ze sobą zerwali. Powiedziałam więc:

- Och, świetnie, dzięki.

Zabrałam plecaki poszłam za Scottem przez długie puste korytarze na parking. Przez całą drogę niezobowiązująco sobie gadaliśmy. Scott twierdził, że Avril Lavigne przysięgała,

że za żadne skarby nie weszłaby na deskorolkę, i czy to nie znaczy, że jest okropną oszustką, a ja jej broniłam, mówiąc, że nigdy nie uważała się za mistrza jazdy na deskorolce, tylko że przebywa w towarzystwie deskorolkarzy.

Tb oczywiście doprowadziło do dyskusji na temat wad i zalet deskorolkarstwa, i czy gdybyśmy musieli odbudować cywilizację, jak w *Młocie Lucyfera*, to dopuścilibyśmy deskorolkarzy do naszego nowego, utopijnego społeczeństwa (Scott: wykluczone. Skateboarding to wcale nie jest przydatna umiejętność. Ja: może jednak. Bo deskorolkarze często lepiej niż inni rozumieją prawa fizyki. Muszą, żeby budować te tory dojazdy).

To było po prostu takie... łatwe. Iść korytarzem i rozmawiać ze Scottem. Jakbyśmy nic innego nie robili przez całe życie.

A przecież do tej pory zawsze towarzyszyła nam jakaś trzecia osoba. Ja po prostu teraz nie zauważyłam, że jej brakuje.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, nadal trwało piękne wiosenne popołudnie. Niebo wyglądało jak wielka błękitna salaterka do sałaty. Trudno było uwierzyć, że gdzieś tam wyżej wirowały planety, gwiazdy. W sumie kiedyś ludzie tak właśnie myśleli - że niebo jest jak wielkie sito zawieszone nad ziemią i że gwiazdy to światło z nieba prześwitujące przez dziurki. Naprawdę się bali, że wielki błękit się załamie i dopuści do ziemi całą siłę boskiego światła, które wszystkich zabije...

Wspominałam o tym Scottowi, kiedy otwierał mi drzwi samochodu. Dopiero wtedy spojrzałam na puste siedzenie pasażera i dotarło do mnie, że nie było z nami Geri Lynn.

Scott i Geri Lynn się rozstali. Scott i ja zostaliśmy ze sobą sami.

Po raz pierwszy w życiu.

Nie wiem, dlaczego ta myśl sprawiła, że poczułam się tak... dziwnie. Przecież Scott i ja gadamy bez przerwy, podczas obiadu i w czasie zebrań „Gazety”.

Ale prawdę mówiąc, zawsze są wtedy wkoło nas inne osoby. I może nie biorą one udziału w naszych rozmowach. Ale są.

Bycie z nim sam na sam...

No cóż, wydawało się po prostu dziwne.

Na przykład nigdy przedtem nie siedziałam na przednim siedzeniu samochodu Scotta. Nigdy. Zawsze zajmowałam miejsce z tyłu, za Geri. I jedyne, co z tylnego siedzenia widziałam, to masa blond włosów Geri.

Ale z przedniego siedzenia, jak się okazało, mogłam zobaczyć to wszystko, czego przedtem nie dostrzegłam. Na przykład kolekcję kompaktów Scotta, z muzyką zespołów, których sama słucham...

I pluszowe kostki do gry zawieszono na wstecznym lusterku.

I dłoń Scotta na dźwigni zmiany biegów, tylko o kilka centymetrów od mojego uda. Jego duża, silna dłoń, ta, którą mnie podniósł, żebym mogła dosięgnąć klody...

Chyba bym sobie jakoś poradziła. Chyba zdołałabym uporać się z dziwnością siedzenia ze Scottem sam na sam w samochodzie, na przednim siedzeniu, gdyby - trach! - nie dopadły mnie wspomnienia tych wszystkich sytuacji, kiedy Trina mówiła mi, że powinnam zaprosić Scotta na randkę. „Jesteście dla siebie stworzeni”, zaczął mi nagle powtarzać w głowie głos Triny. „Dlaczego się z nim nie umówisz”?

Zamknij się, Trina, powiedziałam do niej w duchu. Zamknij się!

Niesamowite, że moja była przyjaciółka umie mi zepsuć nawet tak niewinną przyjemność, jak przejazd samochodem... I w dodatku nie będąc przy tym obecna!

Nie wiem, czy Scott zauważył, że nagle ucichłam. Wydaje mi się, że tak. No bo zwykle usta nam się nie zamykają.

Ale, przysięgam, kiedy już raz usłyszałam w głowie głos Triny, że powinnam się ze Scottem umówić, nie potrafiłam myśleć o niczym innym.

No, może jeszcze myślałam o tych wszystkich serduszkach w kalendarzu Geri Lynn. Jakoś nie mogłam o nich zapomnieć.

Miałam wrażenie, że Scottowi moje milczenie wcale nie przeszkadza. A nawet kiedy już wjeżdżaliśmy na moją ulicę, wykorzystał je i powiedział:

- Mogę cię o coś spytać, Jen?

Cóż zwyczajniejszego? Scott chciał mi zadać pytanie. To wszystko.

Więc dlaczego serce zaczęło mi skakać jak głupie? Dlaczego nagle spocły mi się dłonie? Dlaczego zaczęłam mieć kłopoty z oddychaniem?

- Wal - wykrztusiłam z trudem.

Tyle że nigdy się nie dowiedziałam, o co zamierzał mnie spytać, bo przystanęliśmy pod domem...

...gdzie siedmioro czy ośmioro reporterów rzuciło się w stronę samochodu, przekrzykując się nawzajem.

- Jen, Jen! - wrzeszczał jeden z nich. - Jaki kolor wybierasz na szkolny bal? Możesz nam to zdradzić?

- Panno Greenley! - darł się drugi. - Włosy upięte? Czy rozpuszczone? Nastolatki chcą wiedzieć!

- Jen! - zaskrzeczał trzeci. - Wybierasz się z Lukiem do Toronto na zdjęcia do kolejnego filmu?

- Boże - westchnął Scott. - Oni nadal cię gnębią?

- Niestety, tak. - Wzięłam głęboki oddech, próbując uspokoić dziko bijące serce. - O co chciałeś mnie zapytać, Scott?

- Och - mruknął Scott. - Nieważne. - Potem uśmiechnął się szeroko i udając, że trzyma w ręku mikrofon, podetknął mi go na niby pod nos. - Jak się pani czuje, będąc obiektem zazdrości milionów dziewczyn w całym kraju, panno Greenley?

- Bez komentarza - odparłam z uśmiechem pełnym ulgi. Żartował. A więc wszystko było w porządku...

..o cokolwiek chciał mnie spytać. Wyskoczyłam z samochodu i znalazłam się w otoczeniu reporterów.

- Do zobaczenia jutro! - zawołałam do Scotta.

- Do zobaczenia.

Ale nawet wtedy - chociaż się pożegnaliśmy i nie byliśmy już ze sobą sam na sam - nadal czułam się dziwnie. Bo zauważyłam, że Scott odczekał, aż przedarłam się przez reporterów („Jenny, Jenny, jak to jest wybierać się na wiosenny bal z najseksowniejszą młodą gwiazdą kina?”), otworzyłam sobie drzwi, i dopiero potem odjechał. Chciał się upewnić, że nic mi się nie stanie, chociaż był przecież biały dzień.

Co to znaczyło?

I przyszło mi do głowy, że teraz, kiedy Scott i Geri zerwali ze sobą, mogłabym zamailować o tym do Triny. „O rany, wyobraź sobie, że przed chwilą Scott podwiózł mnie ze szkoły. Zaczekał nawet, żeby się upewnić, że bez problemu dotrę do domu. Jak sądzisz, co to znaczy?” Bo wiecie, Scott nie był już zajęty.

Tylko że ja nie mogłam napisać do Triny. Nadal ze sobą nie rozmawialiśmy.

Poza tym to by było po prostu zbyt dziwaczne. Przecież ja nie myślę o Scotcie...

Prawda?

A może powinnam?

Tylko że naprawdę nie miałam czasu się nad tym zastanawiać, bo gdy tylko przekroczyłam próg, rozdzwonił się telefon.

Z początku byłam prawie pewna, że to ona. Trina. Dzwoni, żeby mi powiedzieć, jak bardzo jej przykro ze względu na to, co się stało tego dnia w chórze, i poprosić, żebym jej wybaczyła.

Ale nie. Okazało się, że to Karen Sue Walters.

Nie mogłam sobie wyobrazić, czego ode mnie chce Karen Sue Walters - nigdy przedtem nie dzwoniła do mnie do domu.

Otóż Karen Sue chciała się upewnić, czy u mnie wszystko w porządku. Nawet sobie żartowała z humorów pana Halla:

- Wszyscy jesteśmy takimi teatralnymi typami - powiedziała. - Nic się na to nie da poradzić.

A potem dodała, że ma nadzieję, że zobaczymy się jutro na próbie.

- Nie sądzę - odparłam powoli, zachodząc w głowę, co się dzieje. No bo to trochę dziwne, że Karen Sue zastanawiała się, czy wszystko u mnie w porządku teraz, ładnych kilka godzin po fackie. Nie zauważyłam, żeby tak bardzo się o mnie troszczyła wcześniej w ciągu dnia, kiedy to wszystko się wydarzyło. - Zrozum, nie jestem urodzoną chórzystką - dodałam po chwili. - Sama powiedziałaś... teatralne typy. Ja się po prostu do nich nie zaliczam.

Wtedy głos Karen Sue się zmienił. Zapytała, czy sobie zdaję sprawę z tego, jak wszystkich zawiodłam. Nie tylko ją i chór, ale całą szkołę. Bo całemu liceum zależało na tym, żeby Bardowie wygrali w Bishop Luers.

Nareszcie załapałam, po co Karen Sue naprawdę do mnie zadzwoniła. Wcale nie dlatego, że martwiła się o moje zdrowie psychiczne. To oczywiste, skoro nie pobiegła za mną po tej akcji na chórze.

Ale dlatego, że nie znaleźli nikogo innego, kto będzie podawał Trinie kapelusz.

Więc powiedziałam Karen Sue, że zobaczy mnie jutro w sali chóru tylko wtedy, gdy ktoś podrzuci na podium moje zimne zwłoki.

Potem odłożyłam słuchawkę, zanim zdążyłam ją przeprosić za ten tekst.

Karen Sue nie była jedyną członkinią Bardów, która tego wieczoru zadzwoniła. Odezwało się jeszcze kilka innych sopranów. Ale, oczywiście, nie Trina. Nie ta osoba, która powinna do mnie zadzwonić, bo to ona była winna.

Wszystkim mówiłam to samo, co powiedziałam Karen Sue: nie, nie wracam do chóru rewiowego.

A kiedy telefon znów rozdzwonił się o jedenastej wieczorem, mój tata - który, tak samo jak mama, nie miał pojęcia, co się dzieje... i wołałabym, żeby już tak zostało - mruknął:

- A ja myślałem, że już więcej gadać przez telefon nie można, kiedy ty i Trina jeszcze ze sobą rozmawialiście...

Ale kiedy odebrałam słuchawkę, nie usłyszałam kolejnej osoby z Bardów, błagającej mnie o powrót. Usłyszałam Luke'a.

- Jen? Cześć. Mam nadzieję, że cię nie budzę? W Los Angeles jest dopiero dziewiąta. Zapomniałem o różnicy czasu. Twój rodzice są wściekli?

Byli, owszem, ale nie na Luke'a. Zapewniłam go, że nic się nie stało. Potem zaczęłam

się zastanawiać, po co dzwoni. Może chce odwołać randkę ze mną? To znaczy wymiksować się z Wiosennego Szaleństwa.

Wiedziałam, że każda inna dziewczyna w Ameryce myślałaby o czymś takim z przerażeniem.

Aleja? Ja usiłowałam zignorować nagle przyspieszający puls. Bo jeśli Luke nie przyjdzie, będę wolna... Będę mogła pójść do Kwanga na Antywiosenne Szaleństwo. I tam naprawdę się pobawić.

Nie zastanawiałam się, dlaczego ta perspektywa jest taka przyjemna. Nie zastanawiałam się, z kim chciałabym się bawić na imprezie u Kwanga.

Ani nad tym, czy nie miało to przypadkiem czegoś wspólnego z pytaniem, które ktoś chciał mi zadać wcześniej tego samego wieczoru...

Och, proszę cię odwołaj Wiosenne Szaleństwo. Proszę, proszę, odwołaj Wiosenne Szaleństwo. No proszę, Luke odwołaj Wiosenne Szaleństwo... - błagałam w myślach.

Ale Luke wcale nie po to do mnie dzwonił.

- Słyszałem, co się dzisiaj stało - powiedział. - Na chórze. Niewiele brakowało, a upuściłabym słuchawkę.

- Naprawdę? Skąd się o tym dowiedziałeś? Kto ci powiedział? Pani Kellog? Mój Boże, ona jeszcze nie wie, prawda?

- Nie, nie pani Kellog. - Luke zachichotał. - Po prostu mam swoje źródła.

Źródła? Jakże znów źródła? Co on wygadywał?

- O rany! - Czułam jak ogarnia mnie zimny strach. - Było o tym w wiadomościach? Ze rzuciłam chór rewiowy?

Kto im doniósł? I jak bardzo oberwę, kiedy moi rodzice się o tym dowiedzą?

- Wyluzuj - powiedział Luke. Teraz już śmiał się otwarcie. - Nic o tym nie było w wiadomościach. Żałuję, że nie widziałem, jak kapelusz wylądował w tubie...

- To nie jest śmieszne - warknęłam, chociaż parę godzin wcześniej sama się z tego zaśmiewałam. - W każdym razie nie aż tak bardzo śmieszne. Wszyscy są na mnie wkurzeni, Luke. Jeszcze nigdy tak wiele osób naraz nie wściekało się na mnie.

- Ha! - zawołał Luke. - Świetnie. To znaczy, że to działa.

- Co działa?

- Och, nie pamiętasz? - spytał. - Nie możesz wprowadzić zmian, Jen, nie działając nikomu na nerwy.

- No cóż, mojego odejścia z chóru raczej nie nazwałabym dokonywaniem przemian. - wymamrotałam ponurym tonem.

- Ale tak jest - stwierdził Luke. - Może nie tak samo jak z tym, co zrobiłaś dla Cary, ale...

- Czekaj - przerwałam. - A skąd ty wiesz, co się stało z Carą?

- Mówiłem ci. Mam swoje źródła. - Znow się zaśmiał.

Zastanawiałam się, z kim, na litość boską, mógł rozmawiać Luke. Po ujawnieniu się w Clayton poleciał z powrotem do swojego domu w Hollywood Hills, gdzie schronił się, według reporterów, nadal odmawiając rozmów z prasą na temat porzucenia przez Angelique i jego następnej, szalonej decyzji o tym, żeby w tajemnicy uczęszczać do szkoły średniej w prowincjonalnym miasteczku. Wszyscy, jak się zdawało, chcieli wiedzieć, co się dzieje z Lukiem Strikerem, i skąd to jego cudaczne zachowanie.

Ale naprawdę, wcale nie miałam wrażenia, żeby jego potrzeba samotności - albo ochota na zapisanie się do szkoły średniej - były takie cudaczne. Przecież nie wdrapywało się na drzewa i nie twierdziło, że jest Piotrusiem Panem, jak niektóre inne gwiazdy.

- Posłuchaj, Jen - dodał tym miękkim, głębokim głosem, który pozwolił mu tak przekonująco wcielić się w postać Lancelota. Można było bez problemu zrozumieć, dlaczego Ginewra poleciała na niego, a nie na tego gościa, który grał Króla Artura. - Chciałem tylko się odezwać i powiedzieć, że jestem z ciebie dumny. Radzisz sobie świetnie. Jak stoją sprawy na froncie Betty Ann?

Betty Ann! O rany, zupełnie zapomniałam o Betty Ann. - Ja, hm, pracuję nad tym - skłamałam.

- Super - powiedział Luke. - No to do zobaczenia w sobotę, dobra? I, Jen?

- Tak?

- Wiedziałem, że ci się uda.

Podziękowałam mu i odłożyłam słuchawkę. Ale wcale nie podzielałam jego entuzjazmu. Bo niby co ja takiego zrobiłam? Pokłóciłam się ze swoją najlepszą przyjaciółką. Rzuciłam chór rewiowy tuż przed najważniejszym występem - prawdziwy członek zespołu oto ja. Będę musiała się jutro zerwać z próby na czwartej lekcji, co oznacza, że pewnie zostanę przyłapana i w konsekwencji zawieszona w prawach ucznia.

A teraz jeszcze mam się postawić najpopularniejszemu facetowi w szkole, żeby zwrócić mojej ulubionej nauczycielce jej szmacianą lalkę.

Och, tak. Wszystko układało się śpiewająco.

SPYTAJ ANNIE

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

jest taki jeden facet, którego lubię o wiele bardziej niż tylko jako przyjaciela, ale on chyba uważa się wyłącznie za mojego kumpla. Radzi się mnie co do różnych dziewczyn i spotykał się ze wszystkimi moimi przyjaciółkami, ale nie ze mną. Ja już tak nie mogę) Czy powinnam zrobić pierwszy krok i powiedzieć mu, że go lubię? A jeśli wtedy zrobi się między nami jeszcze dziwniej i on nawet nie zechce się już ze mną przyjaźnić? Pomocy!

Cicha Wielbicielka

Droga Cicha Wielbicielko,

mam dla Ciebie wiadomość: wy już nie jesteście przyjaciółmi. Nie możesz być przyjaciółką kogoś, w kim się jednocześnie kochasz. Masz wybór: albo uznasz, że jako para nie macie szans, albo zapytaj go prosto z mostu, czemu się umawia ze wszystkimi poza Tobą. Albo wymamrocze coś niezrozumiałego (a w takim przypadku zyskujesz pewność, że nie jest Tobą zainteresowany), albo powie: „Nie miałem pojęcia, że chciałabyś!”, i Cię gdzieś zaprosi. Tak czy inaczej, będziesz wiedziała, na czym stoisz.

Annie

Operacja „Powrót Betty Ann” weszła w fazę realizacji następnego dnia rano. I to w ostatniej chwili, bo Kurt i jego kołesie zdążyli przesłać pani Mulvaney kolejny list z żądaniem okupu. Ten był jeszcze bardziej beznadziejny niż poprzedni. *Jeśli nie da pani każdemu piątki na semestr, głowa Betty Ann wyląduje w śmietniku.*

Pani Mulvaney autentycznie zbladła, kiedy głośno przeczytała nam tę notkę - znalazła ją na swoim biurku, tam gdzie zwykle siedziała Betty Ann. Palce trzymające papier drżały.

Potem nie powiedziała już nic więcej na ten temat - tylko zmięła i wyrzuciła kartkę.

Kurt posunął się za daleko. Porwanie Betty Ann zmieniło się z tego mało zabawnego dowcipu w akt pospolitego okrucieństwa.

I ja nie zamierzałam pozwalać na to ani sekundy dłużej.

Wprowadziłam swój plan w życie na czwartej lekcji, kiedy powinnam uczestniczyć w zajęciach chóru. Po dzwonku, zamiast pójść do klasy, poszłam prosto do pani Templeton, asystentki pani Kellog.

- Witaj, Jenny - spytała wyraźnie zdziwiona pani Templeton. - Jesteś teraz umówiona z panią Kellog?

- Nie - odparłam. - W zasadzie to z panią muszę porozmawiać.

Pani Templeton zrobiła miłe zaskoczoną minę.

- Ze mną? A w czym ja miałabym ci pomóc, Jenny...

- No... trochę się wstydzę. - Zniżyłam głos, jakby się obawiając, że ktoś mnie podsłucha. - Mam nadzieję, że będziemy mogły zachować to między sobą. Umie pani dochować sekretu, prawda?

Pani Templeton - która uwielbia plotki bardziej niż jakakolwiek inna znana mi osoba i pewnie nigdy w życiu nie utrzymała żadnego sekretu, to dlatego pani Kellog poprosiła mnie, żebym jej nie zdradziła, że jestem Annie - pochyliła się z błyskiem w oku.

- Oczywiście - szepnęła. Więc jej powiedziałam.

Och, jasne, że nie prawdę... To znaczy, że zrywam się właśnie z chóru, bo odeszłam od Bardów i nie mam zamiaru wracać. Albo, że jestem Annie. Albo, że mam paskudne przecucie, że podoba mi się Scott Bennett.

Powiedziałam jej, że na skutek stresu związanego z perspektywą randki z Lukiem Strikerem w czasie Wiosennego Szaleństwa i tego, że wszędzie się za mną snują reporterzy, zapomniałam, jaki jest szyfr zamka do mojej szafki.

Po prostu na śmierć zapomniałam.

- To wszystko? - Pani Templeton była chyba rozczarowana. - Och, możemy się tym zająć natychmiast, kochanie, nic się nie martw. - Wyjęła wielki segregator, w którym ma spisane wszystkie kombinacje szyfrowe zamków szkolnych szafek. - Przypomnij mi numer swojej szafki, kotku?

- Trzy czterdzieści pięć - powiedziałam, beztrąsco podając numer szafki Kurta Schraedera.

Pani Templeton nie mogła wiedzieć, że skłamałam jej w żywe oczy. Powiedziała:

- Czy twój szyfr to czasem nie dwadzieścia jeden, trzydzieści pięć, dwadzieścia osiem?

Szybko zanotowałam.

- Tak... - Popatrzyłam na ciąg cyfr z niepewnym wyrazem twarzy. - O rany. Oczywiście. Jakże to dziwne, że zapomniałam.

Pani Templeton ze współczuciem pokręciła głową.

- Sporo ostatnio przeszłaś, kotku. Gdybym ja miała z Lukiem Strikerem tyle do czynienia, też bym zapomniała wszystko, co wiem... Zwłaszcza o tym, że jestem mężatką!

Roześmiałam się serdecznie z uroczego żarciku pani Templeton.

- Niezłe - powiedziałam. - No, to ja już pójdę po książki i wrócę do klasy.

- Jasne, kotku - powiedziała pani Templeton. - Ach, zaraz, wypiszę ci przepustkę, żebyś nie miała kłopotów...

To było aż tak łatwe.

Pobiegłam pustym korytarzem, nasłuchując mamrotania nauczycieli dobiegającego zza każdych mijanych drzwi: „*Alyx mis du sel dans le bol du Michel...*”, „Jeśli x mieści się w y pięć razy, to y musi być...”, „A Kongres uznał wtedy, że nie możemy mieć do czynienia z morderstwem za każdym razem, kiedy odbywają się wybory, więc Aleksander Hamilton...”

Wreszcie dotarłam do szafki o numerze 345. Zakręciłam tarczą zamka szyfrowego, potem zabrałam się do pracy.

W lewo, dwadzieścia jeden.

W przeciwną stronę, trzydzieści pięć.

Rozejrzeć się po korytarzu, upewnić się, że nikt nie nadchodzi. A zwłaszcza Kurt Schraeder.

I znów obrót w lewo, dwadzieścia osiem...

Drzwi szafki otworzyły się.

Nic.

Och, mnóstwo sprośnych magazynów, książki, naklejki z napisem *KOGUTY, DO BOJU!* Szkolna kurtka. Paczka prezerwatyw (ładnie). I ten ogromnie przenikliwy, a nie za przyjemny zapaszek.

Ale nie było Betty Ann. Ani skraweczka Betty Ann.

Przygnębiona - ale nie załamana - zamknęłam szafkę i przemknęłam do biblioteki, gdzie przeczekałam aż do dzwonka na przerwę obiadową. Nawet nie musiałam pokazywać bibliotekarce przepustki. Wcale mnie nie spytała, co tam robię, zamiast siedzieć w klasie. Bo wiecie, jestem miłą małą Jenny Greenley.

Mówię wam, zaczynam myśleć, że wizerunek pocziwej dziewczyny z sąsiedztwa ma swoje zalety.

Kiedy zadzwonił dzwonek, zjawiłam się w stołówce jako jedna z pierwszych.

A kiedy do środka weszli Kurt i jego kumple, rzuciłam się w jego stronę.

- Jen? - zawołała za mną Cara, kiedy zerwałam się od stołu. - Dokąd idziesz?

- Zaraz wracam! - Poszłam szybko wybiegiem do Kurta, który stał w kolejce przy bufecie, wahając się, czy wybrać kielbasę z papryką, czy burgera z indyka.

- Kurt - pociągnęłam go za ramię. - Gdzie jest Betty Ann? Spojrzał na mnie z góry.

- Co? A, to znów ty. O co ci chodzi z tą głupią lalką?

- Gdzie ona jest, Kurt?

- Wyluzuj - mruknął. - W bezpiecznym miejscu.

- Gdzie, Kurt?

Popatrzył na mnie, na swoich koleśki, potem głupawo zarechotał.

- Co ci odbiło? - warknął. - Czego się mnie zawsze czepiasz? Najpierw Cara Krowa, a teraz to. Jezu, usiłujemy się trochę zabawić.

- Powiedz mi tylko, czy lalce nic się nie stało, dobrze? - poprosiłam.

- Nic jej nie jest - odparł Kurt. - Leży gdzieś w moim pokoju. A teraz daj mi spokojnie zamówić obiad. Masz zamiar taktu sterczeć?

Zeszłam mu z drogi i wróciłam wybiegiem na swoje miejsce.

- O co chodzi? - dopytywała Geri Lynn, kiedy usiadłam.

- Nieważne - odparłam. Wbiłam zęby w kanapkę z tuńczykiem, ale zauważyłam, że Scott mi się przygląda. Ale kiedy spojrzałam na niego, odwrócił oczy.

Nagle głód mi przeszedł, jak ręką odjął.

Siedziałam tam spokojnie, zastanawiając się nad moim nagłym brakiem apetytu - przedtem byłam totalnie głodna - a Cara i Kwang prowadzili ożywioną debatę na temat przewagi odcinków *Czarodziejek* z Rose McGowan nad odcinkami z udziałem Shannen

Doherty, kiedy poczułam, że ktoś klepnął mnie w ramię. Obróciłam się i zobaczyłam Karen Sue Walters. Stała w otoczeniu połowy sopranów z Bardów - chociaż bez Triny, jak zauważyłam.

Co je, na litość boską, wywabiło z sali chóru?

- Chcemy ci tylko podziękować - powiedziała Karen Sue bardzo donośnym, sarkastycznym tonem. - Za to, że zawiodłaś nasz chór. Będziemy myśleć o tobie jutro, kiedy zajmiemy pierwsze miejsce w Luers.

Zerknęłam na Steve'a, żeby zobaczyć, czy on wiedział wcześniej o tej małej zasadzce na mnie, zaplanowanej na samo południe. Ale miał na twarzy wyraz takiego samego zdumienia, jakie ja odczuwałam.

Obróciłam się z powrotem do Karen Sue, żeby odpowiedzieć: „Nie ma za co”, co mi się wydawało jedyną możliwą odpowiedzią, ale nie zdążyłam.

Cara Schlosburg nagle odsunęła swoje krzesło i wstała.

Chciałabym przy tym zaznaczyć, że choć Karen Sue jest biuściata, to gdzie jej tam do Cary.

- Czemu nie zostawicie Jen w spokoju? - spytała Cara ostrym tonem Karen Sue i jej kumpele. - Nie sądzicie, że dość już przeszła, żebyście jej jeszcze dokładały?

Karen Sue osłupiała tak, że przez kilka sekund tylko gapiła się na Carę szeroko otwartymi oczami. Potem chyba doszła trochę do siebie, bo zachichotała nerwowo i powiedziała:

- Och, jasne! Akurat mnie obchodzi, co sobie myśli Cara Krowa.

Gdyby powiedziała: Hej! Znalazłam wygrany los na loterię! - cisza, jaka zapadła po jej słowach w stołówce, nie mogłaby być głębsza. Wszyscy zaczęli się gapić na nasz stół, który od lat był oazą spokoju na tym wzburzonym morzu.

Nie wiem, czego się spodziewali. Że niby co ja teraz zrobię? Rzucę się na Karen Sue, skoczę jej z pazurami do oczu? Odrobina babskiego boksu w stołówce, ku uciesze posilającej się gawiedzi?

No cóż, czekało ich rozczarowanie.

Nie zdołałam powstrzymać lekkiego westchnienia. Bo naprawdę, czy Luke miał zielone pojęcie o tym - kiedy palnął mi tę małą mówkę o wprowadzaniu zmian - jak bardzo trudne może się okazać dokonywanie takich rzeczy? To był projekt, którego końca nijak nie było widać.

Miałam już zamiar dokładnie powiedzieć Karen Sue, co myślę o jej znizaniu się do poziomu Kurtów tego świata, kiedy znów mi przerwano.

Tym razem zrobił to Scott Bennett.

- Wiecie co? - powiedział znużonym tonem, odkładając serwetkę. - Zaczynam mieć już tego dosyć. Siedzimy tu sobie i z przyjemnością wsuwamy smaczny posiłek, a wy, dziewczyny, przychodzicie zepsuć nam apetyt.

- To wolny kraj - zaczęła się upierać Karen Sue piskliwym głosem.

Ale Kwang, całe sto dwadzieścia pięć kilo ciała, odsunął krzesło i wstał.

- Słyszaliście, co powiedział - rzucił. - A teraz wynocha stąd.

Soprany, z oczyma wielkości talerzyków, rozpierzchnęły się jak króliki.

I wszyscy w całym pomieszczeniu znów zajęli się tym, czym się zajmowali, zanim dziewczyny spróbowały wyciąć ten swój głupi numer.

No cóż, wszyscy poza mną. Bo serce przepełniła mi ogromna wdzięczność dla moich przyjaciół - prawdziwych przyjaciół - za to, co dla mnie zrobili.

- O rany... - powiedziałam, czując, że w kącikach oczu zbierają mi się łzy. - To było takie miłe...

- No nie! - Kwang spojrzał na mnie z przerażeniem. - Chyba się nie rozplączesz, prawda?

... Oczywiście, że nie - odpowiedziała za mnie Geri Lynn, podając mi chusteczkę. - Tylko się tu nie rozklejaj, Jen. Bo wtedy ja też zacznę płakać. Anie mam dzisiaj wodoodpornego tuszu.

To mnie rozśmieszyło. Oczy miałam tak pełne łez, że nie widziałam własnej kanapki z tuńczykiem. Ale nadal się śmiałam.

- Po co ty się w ogóle zapisałaś do tego durnego chóru? - spytał Scott w samochodzie w drodze do domu po dzisiejszym zebraniu „Gazety”.

Nie byłam zbyt zdziwiona, kiedy znów zaproponował, że mnie podwiezie.

Przestraszona, owszem. Ale nie zdziwiona.

Nie byłam jednak przestraszona z tych powodów, które mogą wam przychodzić na myśl. Nie, nie obawiałam się, że spotka mnie ze strony Scotta deklaracja gorącej miłości. To, co się wydarzyło tego dnia w czasie obiadu, było z jednej strony cudowne, ale wcale nie takie świetne z innej strony.

Bo to, że Scott się za mną wstawił, znaczyło, że rzeczywiście uważa mnie za swoją prawdziwą przyjaciółkę.

A zatem pewnie za nic więcej.

No bo, zastanówcie się nad tym. Ja uważam Luke'a za przyjaciela. I wcale nie mam zamiaru się z nim umawiać.

Więc Scott uważa mnie za przyjaciółkę? To nic takiego znów dobrego.

Bo zaczynałam mieć wrażenie - po tej nagłej utracie apetytu przy dzisiejszym obiedzie i spoconych dłoniach w jego samochodzie poprzedniego dnia - że chyba jednak lubię go bardziej niż przyjaciela.

Obwinałam za to Trinę, tak samo jak za ten cały numer z Bardami. Bo gdyby wcześniej nie kładła mi do głowy, żeby poderwać Scotta, być może nigdy by mi nie przyszło na myśl teraz, kiedy on i Geri Lynn zerwali ze sobą... że on mógłby... że my moglibyśmy...

O Boże. Po prostu o tym zapomnijmy. To się nie zdarzy. Bo nawet jeśli ja rzeczywiście zaczynałam myśleć o Scotcie jak o kimś więcej niż tylko przyjacielu, to on najwyraźniej nadal uważał mnie za miłą małą Jenny Greenley, drogą Annie i przyjaciółkę całego świata.

I nie ma sprawy. W sumie to nawet lepiej. Mogę spokojnie zaakceptować podwożenie mnie do domu. Więc jest przyjemnie.

No to czego ja się tak bałam, jadąc teraz ze Sottem?

Tego, co miało się zaraz zdarzyć, i ja o tym wiedziałam.

- Posłuchaj - powiedziałam, gdy dojeżdżaliśmy do ulicy, przy której mieszka Kurt Schraeder, przynajmniej według książki telefonicznej, w której wymieniono tylko jeden dom Schraederów, a konkretnie Kurta Schraedera seniora. - Możemy trochę zjechać z drogi?

- Jasne. Dokąd?

- Skreć tutaj - poprosiłam. - Przy znaku.

Scott skręcił i zaraz jechaliśmy przyjemną ulicą - niedaleko od miejsca, gdzie mieszka Cara - obstawioną sporymi, nowymi domami.

- Co tu właściwie robimy? - spytał Scott, zagłuszając słodkie trele Aimee Mann płynące z samochodowego odtwarzacza CD.

- Przeprowadzamy akcję uwolnienia zakładnika - oznajmiłam tajemniczo.

- Uwolnienia? Kogo? Upiornika? - zrobił aluzję do podmiejskiej architektury, z którą mój tata, co mówię z dumą, nie miał nic wspólnego.

- Nie - odparłam. - Betty Ann Mulvaney.

- Ach tak. - Scott był pod wrażeniem. - Co masz zamiar zrobić? Włamać się i ją zabrać? Nie powinniśmy poczekać do zmroku? Hej, Kwang ma chyba noktowizor...

- Bardzo śmieszne. Ale noktowizor nie będzie nam potrzebny - powiedziałam. - Ani osłona ciemności.

Dom Schraederów - pod numerem 1532 na Sycamore Hills - pojawił się przed nami. Była to imponująca budowla w stylu elżbietańskim. Samochód Kurta, zauważyłam z

zadowoleniem, nie stał na podjeździe.

- Co teraz? - spytał Scott, zatrzymując się pod domem i gasząc silnik.

- Patrz i ucz się, przyjacielu. - Rozpięłam pas. - Patrz i ucz się.

Scott poszedł za mną do drzwi domu Schraederów. Nacisnęłam dzwonek.

Słuchajcie, nie będę was okłamywać. Chodzi o to chojrackie „patrz i ucz się”.

Udawałam. Totalnie grałam. Jestem typem teatralnym w znacznie większym stopniu, niż mi się wydawało.

Prawdę mówiąc, byłam strasznie zdenerwowana. Bolał mnie brzuch. Serce waliło mi w dzikim tempie. Dłonie całkiem mi się spociły - tym razem nie przez Scotta, ale dlatego że nie miałam zielonego pojęcia, czy mój plan się powiedzie.

Drzwi otworzyła - miałam nadzieję, że tak będzie - młodsza siostra Kurta. Z plakietki naszyjnika dowiedziałam się, że ma na imię Vicky. Oparłam dłonie na kolanach (i dobrze, bo mogłam je chociaż wytrzeć o dzinsy), żeby nawiązać kontakt wzrokowy z dziewczynką:

- Cześć! Znasz mnie?

Vicky wyciągnęła z ust koniec warkocza, który właśnie żuła, i wymamrotała z osłupieniem:

- O rany! Ty jesteś Jenny Greenley! To ty idziesz na Wiosenne Szaleństwo z Lukiem Strikerem! Widziałam cię w MTV News!

- Tak, to ja - odparłam skromnie. - Czy twój brat Kurt jest w domu?

Vicky pokręciła głową, z oczyma wielkimi jak spodki.

- Nie. Pojechał nad jezioro. Z Courtney.

- Och, jaka szkoda - westchnęłam, robiąc rozczarowaną minę. To aktorstwo szło mi coraz łatwiej. - No cóż, nie zostawił czegoś dla mnie? Takiej lalki?

Vicky otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Chodzi ci o Betty Ann?

- Tak. - Żołądek bolał mnie trochę mniej, - Betty Ann. Widzisz, teraz moja kolej się nią zająć. Mogłabyś pobiec do pokoju Kurta i przynieść mi tę lalkę?

Warkocz znów wylądował w ustach.

- Nie wolno mi wchodzić do pokoju Kurta - oznajmiła Vicky, energicznie ssąc włosy.
- Powiedział, że jeśli znów to zrobię, poskarży mamie.

- Och, tym razem nie będzie miał pretensji, Vicky - kłamałam jak z nut. - W sumie wyświadczysz mu wielką przysługę. Bo widzisz, jeśli natychmiast nie dostanę Betty, to ktoś pójdzie do dyrektora i powie, że to Kurt zabrał Betty Ann, a wtedy twój brat pewnie nie zostanie dopuszczony do matury. Warkocz wyskoczył z buzi Vicky.

- Ktoś by zrobił coś takiego?

- Och, tak - potwierdziłam, szturchając łokciem Scotta, który zaczynał chichotać. - Ktoś by to zrobił. Więc widzisz, naprawdę pomożesz Kurtowi, jeśli wyświadczysz mi tę małą przysługę.

- Dobra. - Vicky wzruszyła ramionami. - Zaraz wracam. - I pobiegła.

Zerknęłam na Scotta, który patrzył na mnie i kręcił głową.

- Co się z tobą stało? - zapytał.

- O co ci chodzi? - spytałam nieco zaniepokojona.

- Nigdy przedtem taka nie byłaś - powiedział. - Byłaś... Sam nie wiem. Pomagałaś ludziom, ale w nic się nie mieszałaś.

W głowie mi się nie mieściło, że zauważył. To znaczy, że zwracał uwagę. Na mnie.

- Hm... - Odwróciłam twarz, żeby nie widział mojego rumieńca. - Chyba po prostu zdecydowałam się zająć konkretne stanowisko.

- Właśnie widzę.

Usłyszeliśmy kroki na schodach, potem znów pojawiła się Vicky z Betty Ann w ramionach.

Betty Ann nie wyglądała dobrze. Żółtawe włosy miała trochę potargane, a na ogrodniczkach plamę po sosie barbecue.

Ale była w jednym kawałku. Jej głowa nie trafiła do żadnego śmietnika.

- Masz. - Vicky wręczyła mi lalkę. - Znalazłam ją pod łóżkiem Kurta.

- Dzięki, Vicky. - Wetknęłam sobie Betty Ann pod ramię. - Jesteś świetna. I posłuchaj, kiedy Kurt wróci do domu, powtórz mu, co się stało. Ze zjrzała tu Jenny Greenley i powiedziała, że jeśli jej nie oddasz lalki, to ktoś pójdzie do dyrektora i doniesie na niego.

- Nie. - Wtrącił się nagle Scott. - Przekaż mu, że przyjechał Scott Bennett.

- Powiem, że oboje tu byliście - pogodziła nas w końcu Vicky. - Jeśli zdobędziesz dla mnie autograf Luke'a Strikera. Możesz to zrobić, Jenny? Prooooooszę.

- Nie ma sprawy. - Pomachałam do niej ręką, kiedy bieглиśmy do samochodu Scotta.

- Dlaczego powiedziałaś jej swoje nazwisko? - spytałam go, kiedy tylko znów znaleźliśmy się bezpiecznie na drodze.

- Bo kiedy Kurt się dowie, co zrobiłaś, dostanie szału. A jeśli zechce obić komuś twarz, niech to lepiej będzie ktoś, kto mu przynajmniej odda.

Nagle znów musiałam mruganiem odgonić łzy. W głowie mi się to nie mieściło. Dwa razy w ciągu jednego dnia przygalopował mi na ratunek, jak...

No cóż, jak Lancelot.

- O, nie - mruknął Scott. - Chyba nie zaczynasz znowu płakać?

- Nie - odparłam, pociągając nosem.

Ale nic nie mogłam na to poradzić. Ryzykował, żeby mnie ochronić przed mantem? Nikt nigdy nie zrobił dla mnie niczego miłszego. To musiało znaczyć, że myśli o mnie jak o kimś więcej niż tylko przyjaciółce, prawda?

Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu. Nagle Scott pochylił się w moją stronę...

I przyznaję. Serce mi zakołatało. Puls przyspieszył. Pomyślałam, że Scott mnie pocałuje. Ujmie w dłoń moje wilgotne od łez policzki i szepnie: „Proszę, nie płacz Jenny”. I mnie pocałuje.

Nie wiem, skąd mi się to wzięło! Ale nagle, trach, znalazło się w mojej głowie.

Serce waliło mi w piersiach o wiele głośniejsze niż kiedykolwiek kocioł zabrzmiał na próbach Bardów. Wstrzymałam oddech...

Ale zamiast sięgnąć i ująć moją twarz w dłoń, Scott pochylił się w stronę schowka na rękawiczki. Sięgnął do środka i wyciągnął paczkę chusteczek higienicznych.

- Zaraz zamoczysz całą lalkę.

I tyle.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

szkoła już prawie się kończy, a ja bym chciał spędzić lato jak reszta znajomych - jeździć nad jezioro, wałęsać się po centrum handlowym, i, no wiesz, po prostu się wyluzować. Chyba po dziewięciu miesiącach nauki, od której głowa mi puchła, należy mi się trochę relaksu. Ale mam problem z rodzicami. Upierają się, że bym znalazł sobie pracę na lato. Mówią, że muszę zacząć składać pieniądze na studia. A czy to nie jest ich obowiązek, opłacić moje studia? Wydrukuj, proszę, ten list, bo wiem, że moi rodzice zrobią wszystko, co powiesz. Oni po prostu uważają - tak jak ja ~ że jesteś bombowa.

Promień Słońca

Drogi Promieniu,

może nie jestem bombowa, ale zdecydowanie jedna, bombą zaraz rzucę: Twoi rodzice mają rację. Nikomu nie „należą się” trzy miesiące wolnego. Czy Twoi rodzice, którzy pewnie ciężko pracują jak rok dłużej, kiedy Ty chodzisz do szkoły, dostają trzy miesiące wakacji? Nie. Zrób sobie dwa tygodnie luzu. Potem znajdź pracę. A nad jezioro i do centrum handlowego możesz jeździć w weekendy. Te pieniądze któregoś dnia się przydadzą. Referencje z pracy również.

Annie

Betty Ann Mulvaney następnego ranka siedziała na swoim honorowym miejscu.

Moja mama zrobiła co się dało, żeby ją doczyścić. Zdołała wywabić sos barbecue z ogrodniczek i doprowadzić do porządku jej żółte włóczkowe włosy. Wreszcie uczesałyśmy Betty Ann w dwa warkocze, które zawiązałyśmy kawałkami wstążki, jaka została mamie po przeróbce czyjejś kuchni na styl rustykalny.

Ostatecznie Betty Ann wyglądała... nieźle, chociaż nie tak dobrze, jak przed swoją ciężką próbą.

A kiedy pani Mulvaney weszła do środka i ją zobaczyła...

Chyba wcale nie uznała, że Betty Ann wygląda źle.

- Betty Ann! - zawołała pani Mulvaney, potem wstrzymała oddech. Nawet nie zauważyła, że stoję obok, i pilnuję lalki. Po tych wszystkich kłopotach, jakie miałam z odzyskaniem Betty Ann, nijak nie zamierzałam pozwolić Kurtowi znów jej ukraść.

Założenie Scotta - że oboje dostaniemy manto za to, co zrobiliśmy - okazało się błędne. Wyglądało na to, że Vicky udało się przekazać bratu ważną część mojej informacji - tę, że nie dostanie matury, jeśli „komuś” przed doktorem Lewisem wymknie się prawda na temat sprawy porwania Betty Ann.

W efekcie Kurt nie odezwał się ani słowem, kiedy wszedł dziś rano do sali od łączyny. Owszem, obrzucił mnie piorunującym wzrokiem, kiedy stałam przy biurku pani Mulvaney.

Ale nic więcej nie zrobił.

Na koniec lekcji, kiedy po prostu wyszedł z klasy, nawet mnie nie zaszczycając jednym spojrzeniem, byłam już pewna, że Luke miał w stu procentach rację:

Mam w sobie więcej siły, niż kiedykolwiek mi się wydawało.

O wiele więcej, jak się przekonałam, kiedy skończyła się czwarta lekcja.

Ale wracając do pani Mulvaney... Czy nastąpiła jakaś nagła i wyraźna zmiana w jej zachowaniu, kiedy przekonała się o bezpiecznym powrocie i w sumie - pomijając włóczkowe włosy - nienaruszonym stanie Betty Ann?

No jasne, że tak. Kobieta prawie chichotała z radości. Wiem, to brzmi głupio - że ktoś może tak bardzo kochać jakąś lalkę - ale pani Mulvaney była zupełnie inną osobą. Nie pytała, gdzie była Betty Ann. Nie podziękowała nam za jej zwrot.

Ale za to znów zaczęła się z nami bawić, ucząc wyrażań, które o wiele bardziej przydadzą się na imprezie bractwa studenckiego - jeśli znajdziesz takie, które posługuje się

łacina - niż na egzaminach. Poznaliśmy na przykład wierszyk:

*Bibat ille, bibat illa,
bibat sewus et ancilla,
bibat hera, bibat herus,
ad bibendum netno serus!*

Co ogólnie znaczy: „Wszyscy się teraz upijmy”.

Wiem! Szokujące!

Ale nie tak, jak to, co się stało kilka godzin później.

Był piątek. Autobus wynajęty przez szkołę, żeby zabrać Bardów na Luers wyjechał o szóstej rano i nie spodziewano się jego powrotu aż po zmroku, jeśli nasz chór trafi do finału. Czy mi ulżyło, że mam przynajmniej jeden dzień, kiedy nie będę się musiała obawiać, że wpadnę gdzieś na pana Halla albo Karen Sue? Owszem.

Czy się martwiłam, że prędzej czy później mi się dostanie za uciekanie z czwartej lekcji i to przez trzy dni z rzędu?

Totalnie. W głowie mi się nie mieściło, że jeszcze nie zostałam w tej sprawie wezwana do pani Kellog. Pan Hall musiał mi wczoraj zaznaczyć nieobecność na lekcji. Może zdaniem pani Kellog to była pomyłka? Bo przecież miła mała Jenny Greenley nigdy by się nie zerwała z lekcji.

No cóż, uznałam, że i tak niedługo pozna prawdę.

W każdym razie, kiedy tego dnia nadeszła czwarta lekcja, trafiłam do biblioteki - no bo dokąd miałam pójść? - gdzie cicho siedziałam nad trygonometrią, kiedy nagle ktoś klapnął na krzesło w sąsiednim boksie i powiedział:

- Cześć.

Obróciłam głowę i zobaczyłam Trinę.

- Co...? - Zamrugałam chyba z tysiąc razy, ale obraz, który widziałam, nie zniknął. To nadal była Trina.

Nie pojechała do Luers. I odezwała się do mnie.

- Co ty tu robisz? - Wykrztusiłam wreszcie. - Spóźniłaś się na autobus?

- Nie - odparła Trina, wyciągając swój zeszyt do trygonometrii. - Ja też rzuciłam chór.

- Ty rzuciłaś... - Nie wierzyłam własnym uszom. - Rzuciłaś Bardów?

Trina spojrzała na mnie z litością, jakbym była niedorozwinięta.

- Tak - mruknęła. - Rzuciłam Bardów. W sumie, co nam po siódmym miejscu.

- Momencik.

Miałam kłopot z objęciem tego wszystkiego umysłem. No bo Trina, jedyna osoba, na

której poparcie liczyłam w sporze z panem Hallem, wcale mnie nie poparła. Tamtego dnia, kiedy wrzuciłam jej kapelusz do tuby Jake'a Manciniego, nie pisnęła ani słowa na moją obronę.

I wczoraj też nic nie powiedziała, kiedy soprany usiłowały narobić mi obciachu w stołówce.

A teraz siedziała obok mnie w porze, kiedy z całą pewnością powinna być na scenie w Bishop Luers i śpiewać o przyglądaniu włosów brylantyną i noszeniu bucików z klamerkami?

- Ty rzuciłaś Bardów? - spytałam ostrym tonem, na tyle głośno, że bibliotekarka, która nadal pytała, czemu pojawiaam się w bibliotece codziennie w czasie czwartej lekcji, podniosła wzrok znad biurka. Więc zniżyłam głos. - Trina, a co z twoją solówką?

- Karen Sue może ją zaśpiewać. - Trina wzruszyła ramionami i wzięła się do odrabiania pracy domowej.

- Ale... - Nie mogłam otrząsnąć się z szoku. - Ty kochasz Bardów, Trina.

- Już nie - odparła, a potem, widząc mój wyraz twarzy, odłożyła ołówek i dodała: - Dobra. Słuchaj. Przepraszam. Za to, że zachowałam się jak świnia wtedy u ciebie na werandzie. I że nie stanęłam w twojej obronie w sprawie tego kapelusza. Pan Hall nie miał prawa mówić ci tych okropnych rzeczy. Powinnam wyjść wtedy z tobą, ale... byłam jeszcze na ciebie zbyt wściekła. Ale im więcej na ten temat myślałam, tym bardziej zaczynałam się wściekać... na siebie, nie na ciebie. No bo to była moja wina, nie twoja, że kapelusz wpadł do tuby. Ale to nie wszystko. - Trina wzięła głęboki oddech. - Miałaś też rację co do Steve'a.

Zamrugałam gwałtownie.

- Miałam rację? - No, teraz to już całkiem serio myślałam, że słuch mnie zawodzi. - Naprawdę?

- Tak - powiedziała Trina. - To świetny facet, a ja po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki... No cóż, dopóki mnie nie rzucił. Uwierzyłabyś w coś takiego? - Roześmiała się cicho. - On mnie rzucił. A ja za nim tęsknię! Prawie tak samo - dodała - jak tęsknię za tobą. Byłaś zawsze dla mnie o wiele lepszą przyjaciółką niż ja dla ciebie, Jen. Przecież to ja cię zmusiłam, żebyś się zapisała do chóru. Powinnam uprzedzić cię o tańcu. Albo przynajmniej zaproponować ci pomoc. Cokolwiek.

~ Nie ma sprawy, Trina. - Staralam się traktować tę rozmowę bardzo lekko. Ale w środku fikałam koziołki z radości. Bo odzyskałam swoją najlepszą przyjaciółkę! - Żadne korepetycje by tu nie pomogły.

- No cóż, pewnie nie - przyznała Trina. - Ale i tak mogłam to zaproponować. Ja byłam

taka... zazdrosna. Wiesz? O Luka Strikera. Wiedziałam, że wy jesteście tylko przyjaciółmi. Wierz mi, wystarczająco często słyszałam, jak mówisz o tym prasie. Ale nie potrafiłam sobie wytłumaczyć... Dlaczego on nie chciał się przyjaźnić ze mną?

Wzruszyłam ramionami. Miałam wrażenie, że nie mogę powiedzieć Trinie prawdy... To znaczy, że Luke nie chciał się z nią przyjaźnić, bo wiedział, że ona się w nim potężnie podkochuje. A mnie wybrał, bo... No cóż, zaczynałam myśleć, że padłam ofiarą Luke'a - szklonego naukowca, który przeprowadzał interesujący społeczny eksperyment.

Mimo to powiedziałam:

- Nie wiem. Faceci chyba są po prostu dziwni. Trina pokręciła głową.

- Nie w tym rzecz. To znaczy, nie tylko w tym. Ty jesteś po prostu dobrą osobą.

- Trina... - Potrząsnęłam głową ze śmiechem. - Przecież to nieprawda. Byłaś przy tym, kiedy pyskowałam panu Hallowi. Widziałas, co ja ostatnio wyprawiam?

- Tak. I to wszystko ma sens. No boja zamierzałam rzucić mojego chłopaka tylko po to, żeby umówić się z gwiazdą filmową. Czy to nie było podłe? A ty nie wygadałaś nikomu, że to gwiazda filmowa, choć każdy inny na twoim miejscu biegałby w kółko, wrzeszcząc: „Luke Striker! Luke Striker!”, a na dodatek usiłowałaś całą resztę nas powstrzymać przed szaleństwem, kiedy wreszcie się dowiedziałyśmy, kim tak naprawdę jest nowy uczeń. A to, co zrobiłaś dla Cary... No nie mówię, że ją lubię... Ale znalazłaś czas, żeby jej pokazać jak sobie nie robić takiego obciachu. A teraz o wiele mniej ludzi ma ochotę ją zabić.

- Pewnie tak - mruknęłam, nieprzekonana, czy to komplement.

- A teraz Betty Ann... - Trina popatrzyła na mnie. - Nie próbuj zaprzeczać. Mówi się o tym w całej szkole. Ot tak, poszłaś do domu Kurta i ją zabrałaś?

- No cóż... - powiedziałam, zastanawiając się, jak mam poruszyć temat Scotta. I czy w ogóle chcę to zrobić. Wszystko było takie świeże... Poza tym, dokładnie wiedziałam, jak Trina zareaguje na moje zwierzenia. - Niezupełnie...

- Więc jak mogłabym pojechać z tymi ludźmi do Luers? - powiedziała Trina i wzruszyła ramionami. - Kiedy odeszłaś, wszystko zaczęło się jeszcze bardziej sypać. Hall nas namawiał, żeby do ciebie dzwonić i skłonić cię do powrotu. I to nie dlatego, nie obraż się, Jen, że jesteś świetną śpiewaczką, ale dlatego, że zdał sobie sprawę, że stracił swój jedyny powód do sławy... To, że dziewczyna Luke'a Strikera śpiewa u niego w chórze. Tak, ja wiem, że jesteście tylko przyjaciółmi. Ale wtedy pomyślałam sobie po prostu: to wszystko jedno wielkie oszustwo. Więc dziś rano nie wsiadłam do autobusu. To tak jak mówi Annie.

Trochę się zdziwiłam, że do rozmowy został wpleciony mój redakcyjny pseudonim.

- Tak jak mówi Annie? W jakim sensie?

- No wiesz. Że życie jest krótkie. Jeśli nie spróbujesz nowych rzeczy, nigdy się nie dowiesz, w czym jesteś najlepsza. A czas na nowe rzeczy znajdziesz, tylko rezygnując ze starych, tych, które w twoim przypadku się nie sprawdziły.

- Ha - powiedziałam, jakbym słyszała to pierwszy raz w życiu. - To chyba prawda.

- Jak to, to chyba prawda? - Trina podniosła ołówek. - Annie wie, co mówi. Czy ty w ogóle czytasz jej kolumnę? Wiesz, mogłoby ci to dobrze zrobić.

Czułam się świetnie. Odzyskałam swoją najlepszą przyjaciółkę. Chyba pod tym względem pani Mulvaney i ja, miałyśmy ze sobą coś wspólnego.

Tyle że, oczywiście, moja przyjaciółka umie mówić. Dopiero kiedy zadzwonił dzwonek i ruszyliśmy z Trina do stołówki, zatrzymała nas bibliotekarka.

- Posłuchaj, Jenny - powiedziała z przeproszającym uśmiechem. Znała mnie, oczywiście, bo tak często wypożyczałam książki. Przeczytałam każdą pozycję z serii science fiction. - Muszę cię o to zapytać... Czy ty i twoja koleżanka macie zwolnienie? Bo w przeciwnym razie, obawiam się, będę musiała zameldować, że się urwałyście z lekcji. Żadnej z was nie mam zapisanych na naukę indywidualną o tej godzinie... No i proszę. Wpadłyśmy.

- Ależ proszę zapisać, że się zerwałyśmy - powiedziała Trina z ożywieniem. Naprawdę. Niesamowite. Ucieszyła się perspektywą wizyty na dywaniku u dyrektora. - Catrina Larssen, przez dwa S. A Jen to pani zna. Rzuciłyśmy chór. Pewnie będą nas chcieli zmusić do powrotu. Ale jeśli tak zrobią, to ja poproszę mamę, żeby zadzwoniła do dyrekcji, bo pan Hall znęca się nad tą biedną dziewczyną. - Trina objęła mnie opiekuńczo. - Tak nie można, prawda? Żeby nauczycieli wyżywał się na uczennicy, tylko dlatego że ta nie może sobie poradzić z jazzowymi” rękoma? No bo Jen nic nie poradzi na to, że pod względem tańca jest uzdolnioną inaczej. Jej talenty objawiają się w innych sferach.

Bibliotekarka gapiała się na nas z lekko opadającą szczęką. Potem powiedziała:

- Rozumiem. To może wy sobie, hm, idźcie teraz i szybko na obiad, a o tej całej sprawie, hm... Zajmiemy się tym w poniedziałek.

- Dzięki. - Trina posłała bibliotekarce szeroki sceniczny uśmiech, taki, który widać w ostatnich rzędach widowni - To do zobaczenia.

Byłam tak bardzo, bardzo zadowolona, że ja i Trina snów jesteśmy przyjaciółkami.

Zwłaszcza kiedy później tego samego dnia już nie szliśmy ze Scottem sami przez parking do jego samochodu. Towarzyszyła nam Trina, bo Scott oczywiście się zgodził zabrać ją po próbie, skoro ona i Steve zerwali ze sobą - a zresztą Steve i tak był przecież na Bishop Luers.

Trina ani trochę się nie zdziwiła, kiedy jej wyznałam, że Scott odwoził mnie ze szkoły

do domu przez cały ten tydzień. Wydawało się, że jej zdaniem to oczywiste i że to w sumie drobiazg. A to nie był przecież żaden drobiazg. Bo Scott i Geri zerwali ze sobą. Więc w samochodzie siedzieliśmy tylko ja i Scott. Sami.

Ale Trina chyba po prostu uważała, że jesteśmy ze Scottem wyłącznie przyjaciółmi. Bo tak zresztą było. Więc przebywanie z nim w samochodzie sam na sam ni«c nie znaczyło. No właśnie.

Więc dlaczego ja odczuwałam taką ulgę, kiedy Trina szła z nami? Ulgę, a zarazem... lekkie rozczarowanie?

Nieważne. Przestałam analizować własne Uczucia. Ostatnio było ich zwyczajnie za wiele, z niewiadomego powodu.

Szliśmy wolno w stronę samochodu Scotta, tylko my troje. Rozmawialiśmy o tym, że nie możemy się doczekać wakacji, i co zamierzamy robić latem - Trina planowała jechać na obóz teatralny, Scott miał umówione praktyki w miejscowej gazecie, ja zgłosiłam się do opieki nad dziećmi (oczywiście). I nagle zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Na parking wjechał wielki autobus. Nie autobus szkolny, nie zwykły podmiejski, tylko wielki autokar wycieczkowy. Zatrzymał się na tyłach szkoły i zgasił silnik.

Trina, zaskoczona tym widokiem, zamarła w miejscu. - O mój Boże - wymamrotała. - Czemu oni już wrócili? Nie powinni być tu tak wcześnie. Chyba że...

Rozległ się cichy syk otwierających się drzwi autobusu. A sekundę później usłyszałam znajomy głos. Pan Hall wrzeszczał na chórzystów, żeby nie wysiadali, dopóki się nie upewnią, że zabrali wszystkie swoje rzeczy.

- ..nie zakwalifikowali się do finału - dokończyła Trina. Jedną z pierwszych osób, które wyszły zza autobusu, z torbą przerzuconą przez ramię, był ekschłopak Triny, Steve. Nie od razu ją zauważył, stojącą jak słup i gapiącą się na niego, bo w kieszeni dżinsów szukał kluczyków do samochodu.

A wtedy, kiedy Scott i ja przystanęliśmy, żeby wszystko zobaczyć, Trina zrobiła coś zupełnie niespodziewanego. No wiecie, biorąc pod uwagę, że zerwali ze Steve'em, a ona dopiero co mówiła, jak morderczo była na niego wściekła, że ją rzucił, i to zaledwie na kilka dni przed wielkim szkolnym balem. Tyle że, oczywiście, przez to całe zerwanie zorientowała się, że Steve jest jej prawdziwą bratnią duszą i że nikogo już nie pokocha tak, jak jego. Nawet Luke'a Strikera. A mianowicie, Trina zawołała: - Steve! Tylko tyle.

Ale ten głos niósł się po całym parkingu. Bo Trina każdego wieczoru w domu ćwiczyła sobie emisję głosu.

Steve podniósł oczy i znieruchomiał, zaszokowany. Trina była najwyraźniej ostatnią

osobą, którą spodziewał się tam zobaczyć.

I nie był też wcale za szczęśliwy na jej widok.

- Och, to ty - powiedział donośnie, bo też dysponuje nie byle jaką siłą płuc.

No cóż, musi być spora, jeśli Steve ma partnerować Trinie w głównych rolach. Klub dramatyczny Liceum Clayton nie może sobie pozwolić na system nagłośnienia z mikrofonami.

- Steve.,. - powtórzyła Trina.

Ale on nie pozwolił jej mówić dalej.

- O, nie. - Podniósł rękę, żeby ją powstrzymać, kiedy zrobiła krok w jego stronę. - Wybij to sobie z głowy. Czy ty masz pojęcie, przez co ja przeszedłem przez ostatnie dziesięć godzin? Musiałem wsiąść do tego autobusu o szóstej rano. O szóstej rano, Trina. Z bandą sopranów śpiewających *Dziewięćdziesiąt dziewięć flaszek piwa na ścianie*. W harmonii na dwa głosy. O świcie.

Scott i ja obserwowaliśmy, zafascynowani, jak Steve dziabnął palcem powietrze, wskazując na Trinę. Musiałam przyznać, że to było niezłe. Jeszcze nie widziałam, żeby grdyka Steve'a tak podskakiwała.

- I czemuż to? - zagrzemiał Steve, pozornie nie zwracając się do nikogo w szczególności. A może zwracał się do nas wszystkich. - Bo moja była dziewczyna błagała, żebym dołączył do tego jej głupiego chóru. Więc dołączyłem. A potem się przekonałem, niestety dopiero w tym cholernym autobusie, że moja była dziewczyna nie raczyła się w ogóle pojawić. Więc musiałem męczyć się w autobusie przez trzy godziny, żeby wyjść na scenę, stanąć tam w wypożyczonym smokingu, jak totalny idiota, i śpiewać o swoich „bucikach z klamerkami” na oczach Miss Kentucky. Która uznała, że jesteśmy beznadziejni, tak przy okazji. Więc, wiesz co, Trina? Rzucam to.

I żeby podkreślić swoje słowa, Steve cisnął torbę na asfalt. Potem ją podeptał.

- Rzucam to! - wrzasnął.

Wielu innych Bardów wyszło już zza autobusu i stanęło, gapiąc się na Steve'a i Trinę, zupełnie tak samo jak my. Widziałam Kwanga z palm pilotem i Jake'a Manciniego z tubą, i Karen Sue Walters, która wyglądała na oszołomioną tym przedstawieniem. W rękę trzymała wieszak ze smętnie zwisającą sukienką z cekinami.

Pan Hall też tam był. Z niekłamanym przerażeniem obserwował, jak jego najlepszy baryton znęca się nad wypożyczonym smokingiem.

- Odchodzę! - wrzeszczał Steve. - Koniec ze sztukami. Z musicalami. Z chórem rewiowym! Dość już, Trina. Mam powyżej uszu śpiewania tych bzdur tylko po to, żeby cię

uszcęśliwić. Zamierzam robić to, na co sam mam ochotę. - Przestał deptać smoking i spiorunował ją wzrokiem, a pierś mu gwałtownie falowała. - W przyszłym roku zapisuję się do drużyny koszykówki.

Wszyscy na parkingu obrócili się w stronę Triny, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Ja też.

Reakcja Triny nikogo nie rozczarowała. Nie na darmo Trina była partnerką Steve'a we wszystkich głównych rolach. Odrzuciła swoje długie, jedwabiste włosy, potem wyciągnęła ramiona w jego stronę i powiedziała:

- Wszystko, co zechcesz, najdroższy. Kocham cię.

A Steve ze zduszonym okrzykiem, pełnym chyba w równych proporcjach frustracji i uwielbienia, porwał ją w objęcia i pocałował w usta...

...ku wielkiej satysfakcji całej widowni...

Może z wyjątkiem pana Halla, który obrócił się na pięcie i ruszył zamasyście w stronę swojej jetty, nie odzywając się do nikogo ani słowem.

Z tego wszystkiego bardzo wyraźnie wynikało, że Trina nie zamierza jechać do domu ze mną i Scottem. No i dobrze. Trochę mnie oszołomiła burzliwa demonstracja uczuć, której byłam przed chwilą świadkiem. Nie widziałam takich pocałunków od... No cóż, nigdy.

Jak przypuszczam, Scott nie był tak samo zaszokowany. No wiecie, biorąc pod uwagę te wszystkie serduszka w kalendarzu Geri Lynn. Bo przynajmniej mógł wydobyć z siebie głos.

- A więc, Jen - powiedział, kiedy skręcaliśmy w moją ulicę - co do ciebie i Luke'a...

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi. - Tyle przynajmniej mogłam powiedzieć. No bo miałam już w tym sporo praktyki.

- Tak - odezwał się po chwili Scott. - Wiem. To znaczy, tak mówisz mediom. Ale... Teraz to ja pytam.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - powtórzyłam. Ale tym razem obróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć. I widziałam, że to nie było tylko takie grzecznościowe pytanie. Scott naprawdę chciał wiedzieć.

- Jasne, jasne - wymamrotał Scott. Minę miał... Sama nie wiem. Przez chwilę myślałam, że jest... rozzłoszczony.

Tylko, dlaczego Scott miałby się na mnie złościć? Co ja takiego zrobiłam?

- Ale... to prawda - powiedziałam, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Tak - mruknął znów Scott tym zmienionym głosem. - Wiem.

W tym momencie zatrzymaliśmy się przed moim domem. I jak zwykle stadko reporterów obstąpiło samochód Scotta, podtykając mikrofony pod okno pasażera... Pod moje

okno.

- Panno Greenley? Panno Greenley, czy to prawda, że będzie pani grała jako partnerka Luke'a Strikera w jego następnym filmie?

- Scott - powiedziałałam znów, zmartwiona. Co się z nim działo?

Ale może sobie tylko ubzdurałam, że się na mnie wścieka. Bo chwilę później uśmiechnął się i powiedział:

- Lepiej biegnij, póki jest ich tam tylko ze trzydziestu czy czterdziestu.

Roześmiałam się z tego żartu. Trochę niepewnie.

- Okay - powiedziałałam. - Hm. Na razie.

- Do zobaczenia w poniedziałek.

No tak. W poniedziałek. Bo jutro wieczorem idę przecież z Lukiem na Wiosenne Szaleństwo. A Scott wcale się tam nie wybierał. Więc go nie zobaczę aż do poniedziałku. Dlaczego ta myśl sprawiła, że poczułam się tak, jakby mi ktoś wyrwał serce?

I nadal tak się czułam, kiedy później tego samego wieczoru zadzwonił telefon i okazało się, że to Trina. Rozpływała się nad tym, że jednak pójdzie na Wiosenne Szaleństwo i że powinnam zobaczyć jej sukienkę, bo zdołała przekonać matkę, żeby pozwoliła jej się ubrać na czarno.

- Aha. - Nie miałam nic więcej do powiedzenia. Trina zignorowała mój brak chęci do rozmowy.

- No więc jak będzie ze Scottem, tak przy okazji? - spytała. W piersi poczułam nagły ucisk. Więc zauważyła, że chyba lubię Scotta. Och, nie. Ona to zauważyła.

- O co ci chodzi? - spytałam niespokojnie.

- No cóż, kim jest ta dziewczyna, która zdaniem Geri jemu się podoba?

Serce wykonało mi w piersi salto w tył, dowodząc, że jednak nie zostało wyrwane.

- Dziewczyna? Jaka dziewczyna?

- Oj wiesz. Ta tajemnicza panna, którą zdaniem Geri lubi Scott. No przecież słyszałaś, jak o tym mówiła.

Tak, prawda - Ale usiłowałam to w sobie zagłuszyć. Bo nie miałam ochoty słuchać o tym, że Scott lubi jakąś inną dziewczynę.

Inną niż mnie.

- Boże - jęknęła Trina. - Czy to nie byłoby wspaniale, gdyby się okazało, że to właśnie w tobie kocha się Scott?

- Tak. - Ścisnęłam słuchawkę tak mocno, aż dziw, że nie pękła.

- Mówię poważnie - odezwała się znów Trina. - No bo on cię podwoził codziennie. I

wy przecież oboje lubicie te same książki. Więc czy to nie byłoby świetnie, gdyby się okazało...

- Scott nie kocha się we mnie - przerwałam Irinie ze smutkiem. „Do zobaczenia w poniedziałek”. Nie takie rzeczy mówi facet, który się w tobie kocha.

- Może i nie - powiedziała Trina z lekceważeniem. - Poza tym masz Luke'a.

- Luke i ja jesteśmy...

- O Boże, wiem - wtrąciła się Trina. Ale nie wiedziała. Nikt nie wiedział. A najmniej, jak mi się zaczynało wydawać, wiedziałam ja sama.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

czytam co tydzień Twoją rubrykę i uważani, że udzielasz okropnych rad. Dziewczynie, której macocha myśli wyłącznie o jej nieśmiertelnej duszy, powiedziałaś, że ma się nie przejmować piekła... że już w nim jest.

Annie, szkoła średnia to nie jest piekło! To podobno najlepsze lata w życiu. I na pewno mogą być takie, jeśli człowiek regularnie chodzi do kościoła, nie uprawia seksu i trzyma się z daleka od narkotyków, alkoholu i muzyki rockowej. Bo tylko ludzie tacy jak Ty, Annie, wszystkim psują życie w szkole średniej, opowiadając się za wolną miłością i satanizmem.

Oburzona Nastolatka

Droga Oburzona Nastolatko, a skąd wiesz, że jestem czcicielką szatana? W ogóle mnie nie znasz.

I tak się składa, że ja się z Tobą zgadzam co do narkotyków, alkoholu i seksu, jeśli to nie jest bezpieczny seks.

Ale muzyka rockowa? Kochana! Rock rządzi i zawsze tak będzie.

Annie

Mówią, że drugi co do ważności dzień w życiu kobiety - poza jej ślubem - to licealny bal dla dwóch ostatnich klas.

No, dobra, podobno gdzieś tam figuruje też dzień narodzin pierwszego dziecka.

Ale rozumiecie, o co mi chodzi.

Ja przed swoim balem robiłam te wszystkie rzeczy, które dziewczyny zawsze robią przed balem. No wiecie, manicure i pedicure, woskowanie (au...), czesanie u fryzjera.

Oczywiście, byłam jedyną dziewczyną w Ameryce, która szykując się na szkolny bal, wlokła za sobą falangę reporterów. Usiłowali robić zdjęcia partnerce ulubieńca Ameryki w czasie, kiedy usuwano jej włoski znad górnej wargi, Dzięki, chłopaki. Nie, no super.

Trochę mnie to wkurzało, ale trudno, obiecałam przyjacielowi, że pójdę z nim na Wiosenne Szaleństwo. Musiałam wyglądać jak najlepiej. Byłam mu to winna.

A kiedy narzuciłam swoją sukienkę - niebieską, połyskliwą, pokrytą szyfonem, z małymi bufiastymi rękawkami i sztucznymi niezapominajkami na dole... najbardziej dziewczęcą sukienkę, jaką w życiu ktokolwiek widział - poczułam, że naprawdę lepiej wyglądać nie mogę. Fryzjerka podpięła moją nie do końca jeszcze odhodowaną grzywkę opaską, na której były nawet prawdziwe niezapominajki, zupełnie jak te sztuczne wokół moich stóp.

Umówiliśmy się z Triną na frontowym podwórku, żebyśmy mogły zapozować do zdjęć naszym rodzicom. Fakt, że wszystkie programy rozrywkowe miały przed naszymi domami zaparkowane wozy transmisyjne, żeby uchwycić moment, kiedy Luke przyjedzie po mnie limuzyną, w najmniejszym stopniu nie onieśmielał Triny.

Spotkałyśmy się, tak jak to było zaplanowane, pod wielkim dębem i zajęłyśmy się podziwianiem siebie nawzajem, podczas gdy wkoło nas szumiały liczne kamery.

Irinie udało się przekonać matkę, żeby pozwoliła jej się ubrać na Wiosenne Szaleństwo w stylu gotyckim. Dała sobie spokój z czarną szminką, ale zdobyła czarne kabaretki, do których włożyła wysokie czarne tenisówki i zwiewną czarną sukienkę prosto z katalogu z ciuchami na bale szkolne dla nastolatek.

Ale pod spód włożyła czarny jedwabny gorset, więc jej całkiem spory biust uniósł się imponująco wysoko w dekolcie.

Sama nie wiedziałam, kto prędzej dostanie ataku serca na jej widok, Steve czy doktor Lewis.

- Nie wierzę, że namówiłaś matkę, żeby ci pozwoliła to włożyć - powiedziałam.

- A ja nie wierzę, że pozwoliłaś swojej matce, żeby namówiła ciebie do ubrania się w to - odparła ze śmiechem Trina.

- Potwornie tradycyjna - przyznałam. - Wiem. - Ale i tak wyglądasz ładnie.

- Ty też.

Naprawdę ładnie wyglądała. A ja byłam jeszcze bardziej szczęśliwa niż przedtem, że znów jesteśmy przyjaciółkami.

Usłyszałyśmy nadjeżdżającą limuzynę na długo, zanim ją zobaczyłyśmy, bo fotografowie, którzy obsiedli drzewa na naszej ulicy w nadziei, że uda im się zrobić dobre zdjęcie, kiedy Luke będzie mi przypinał bukiet kwiatków, zaczęli krzyczeć z podnieceniem:

- Jedzie! Jedzie!

Nawet ja - choć nie wykazywałam takiego samego entuzjazmu dla tej imprezy jak, powiedzmy, Trina - poczułam lekkie ożywienie. Och, no cóż. Nie wybierałam się na Wiosenne Szaleństwo z ukochanym, to fakt.

Ale przynajmniej w ogóle się wybierałam na Wiosenne Szaleństwo.

Potem limuzyna pojawiła się w zasięgu wzroku, czarna, długa, elegancka, ta sama, którą jechałam do Willi Luke'a i z powrotem. Trina ścisnęła mnie za rękę, kiedy samochód zatrzymał się powoli przed moim domem, a kierowca wysiadł i przeszedł dokoła, żeby otworzyć boczne drzwi pasażera.

Każdy fotograf, kamerzysta i rodzic w okolicy podniósł aparat, żeby zrobić zdjęcie Luke'owi Strikerowi wysiadającemu z limuzyny, niczym Lancelotowi na białym koniu, kiedy pochylił się z siodła, żeby uratować Ginewrę przed spaleniem na stosie.

Ale osoba, która wysiadła, niosąc bukiet kwiatów i machając do wszystkich reporterów, to był nikt inny tylko...

Steve McKnight.

Tak właśnie. Steve McKnight, chłopak Triny i jej partner na Wiosenne Szaleństwo, w smokingu Barda (ale zamienił czerwoną muszkę i chusteczkę do butonierki na czarne).

Reporterzy westchnęli - niektórzy zaczęli buczeć z rozczarowania - i wrócili na swoje stanowiska.

Trina jednak była absolutnie zachwycona.

- W głowie mi się nie mieści, że wynajęłaś limuzynę - pisnęła, kiedy Steve przypinał jej bukiet z goździków, które zgodnie z poleceniem Triny, przetrzymał przez noc w butelce czarnego atramentu, więc ich białe płatki były teraz zabarwione czernią. - To musiało

kosztować fortunę!

- Hm - mruknął Steve z lekko zażenowaną miną. - Niezupełnie.

- Och, rodzice za nią zapłacili? - domyśliła się Trina, kiedy we dwójkę pozwali do zdjęć zachwyconym rodzicom Triny.

- Uh - stęknął Steve. - W zasadzie, Luke Striker. Trina zamarła.

- Luke? - Spojrzała na mnie z troską. - Co... Dlaczego?

- Nie wiem - przyznał Steve i niepewnie wzruszył ramionami. - Powiedział, że jemu nie będzie już potrzebna.

- Nie będzie... - Spojrzenie, którym obejmowała mnie Trina, zabarwiło się litością. Nagle zdała sobie sprawę z tego, co się stało. A przynajmniej tak jej się wydawało. - Och, Jen. Słuchaj, to nie ma znaczenia. Naprawdę. Możesz jechać z nami. Będziemy się świetnie bawić. Prawda, Steve?

- Jasne - przytaknął ochotczo Steve. - Oczywiście.

Do mnie to nadal nie docierało. No więc Luke dał Steve'owi limuzynę? Wielkie rzeczy. To nie znaczy, że Luke nie przyjedzie.

Luke by mnie nie wystawił do wiatru. Nie przy tych wszystkich reporterach. No bo, czym ja sobie zasłużyłam na takie traktowanie?

Byłam jego przyjaciółką. Dotrzymywałam sekretów. Zmieniłam Liceum Clayton z miejsca pełnego niepokoju i antagonizmów w ciepłą i przyjazną szkołę dla niego.

- Och, kotku. - Mama podeszła, żeby mnie uściskać.

Fotoreporterzy zaczęli się orientować, co się właściwie stało, więc podnieśli aparaty, żeby uwiecznić ten moment. Już widziałam nagłówki jutrzejszych gazet:

UKOCHANY CAŁEJ AMERYKI RZUCA JEN!

MIŁOŚĆ MATKI JEDYNYM BALSAMEM

NA ZŁAMANE SERCE JENNY

NIEGODZIWA GWIAZDA!

Ale moja mama nie zdążyła jeszcze wypowiedzieć żadnego słowa pocieszenia, gdy z wierzchołków drzew poderwał się krzyk I zanim się obejrzałam, facet w smokingu zatrzymał obok limuzyny swój... motocykl.

Ni mniej, ni więcej, tylko harleya.

- Hej - powiedział Luke, zdejmując czarny kask. - Przepraszam za spóźnienie.

Na podwórku szaleńczo błyskały flesze. Reporterzy wrzeszczeli:

- Luke! Luke! Spójrz w tę stronę, Luke!

Luke zupełnie ich zignorował. Podeszedł prosto do mojego taty i wyciągnął rękę.

- Sir, jestem Luke Striker - powiedział. - Zabieram pana córkę na Wiosenne Szaleństwo.

Tata, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu, wyglądał, jakby sam nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Wreszcie ujął rękę Luke'a i potrząsnął nią gwałtownie.

- Miło mi pana poznać - wykrztusił. Potem jednak doszedł do siebie i dodał: - Ma pan zamiar zabrać Jenny na bal na tym?

- O, nie, nie. - Matka pokręciła głową. - Bez kasku absolutnie wykluczone.

- Pod siedzeniem mam dodatkowy kask, pani Greenley - oznajmił Luke, też potrząsając jej ręką. - I przysięgam, że odstawię Jen do domu przed północą.

Dałam mu kuksańca w bok.

- To znaczy, koło pierwszej - poprawił się Luke.

- Zadzwoń, jeśli miałabym wrócić później - powiedziałam szybko i złapałam Luke'a za ramię. - To na razie.

- Zaraz! - zawołała mama. - Nie zdążyliśmy zrobić zdjęcia!

Ale mama nie musiała się martwić. Bo wszystkie czasopisma w Ameryce - może poza „National Geographic” - uwieczniły Luke'a, kiedy wkładał mi kask na opaskę do włosów z kwiatkami. Kiedy pomagał mi wsiąść na siodełko motoru bez zabrudzenia sobie sukienki smarem. Kiedy owinał mi nogi spódnicą, żeby nie wkręciła się w koło i mnie nie udusiła albo nie pociągnęła na ziemię na pewną śmierć. Kiedy wdeptywał pedał gazu i machał ręką. Zrobili też zdjęcie, kiedy łapałam Luke'a w talii i trzymałam się go z całych sił.

I nas obojga znikających w perspektywie ulicy tak szybko, jak się dało bez łamania zakazów prędkości, czy gorzej, denerwowania moich rodziców.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz - powiedział potem Luke, kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem do Clayton Inn, gdzie wyszli nam na spotkanie kolejni fotoreporterzy, ci, którym udało się prześcignąć nas w drodze z domu, to znaczy, niewielu.

- Ależ skąd - zapewniłam go szczerze. W sumie naprawdę mi się to podobało. Nigdy przedtem nie jechałam motocyklem. Miłe dziewczyny, takie jak ja, raczej nie dostają zaproszeń na przejażdżki harleyem. - Ale myślałam, że zależy ci na typowych doświadczeniach ze szkolnego balu. A przyjeżdżanie na Wiosenne Szaleństwo harleyem? Nie chcę ci robić przykrości, Luke, ale to jest absolutnie nietypowe.

- No cóż... - Luke wyciągnął rękę, żeby poprawić kwiatki przy mojej opasce we włosach. - Zawsze lubiłem efektowne wejścia. Aha, byłbym zapomniiał... - Spod siedzenia motocykla wyciągnął przezroczyste plastikowe pudełko, w którym leżał bukiet z białych różyczek i asparagusa.

- Och, jakie śliczne - zachwyciłam się. A potem przypomniałam sobie o stroiku, który zostawiłam na lodówce. - Nie wzięłam bukietu dla ciebie!

- Tam nie wracamy - oświadczył Luke, z wprawą przypinając mi kwiaty tuż nad sercem. - Przeżyję bez niego. - Podał mi ramię. - Pani, czy mogę prosić o taniec?

- Pod warunkiem że nie będzie trzeba używać „jazzowych” rąk - zaznaczyłam.

- Nie bój się. Dzwoniłem wcześniej i sprawdziłem. Zagwarantowano mi, że „Jazzowych” rąk nie ma w programie.

Po takim zapewnieniu, wzięłam Luke'a pod ramię i razem, posuwistym krokiem, weszliśmy do Clayton Inn. Wszędzie wkoło nas błyskały flesze i kręcili się reporterzy Nie wspominając już o zwykłych mieszkańcach Clayton, którzy stłoczyli się na parkingu pod restauracją z nadzieją, że rzucą okiem na swoją ulubioną gwiazdę i jego dzisiejszą partnerkę. Tłum wywrzaskiwał nasze imiona.

Nie chciałam, żebyście odnieśli fałszywe wrażenie. Na przykład, że Wiosenne Szaleństwo to fajna impreza. No bo nawet jeśli idziesz na nią w towarzystwie najpopularniejszego nastoletniego gwiazdora amerykańskiego filmu - a może nawet i całego świata - Wiosenne Szaleństwo i tak jest trochę drętwe.

To prawda, że możesz zobaczyć szkolnych kolegów superwystrojonych.

Ale to nadal ci sami ludzie, których codziennie widzi się w szkole. Tylko bardziej odświeżeni. I może czystszy.

I tak nie miałam najgorzej. Niektóre dziewczyny po prostu skazane były na złą zabawę. Na przykład Karen Sue Walters. Wymusiła na jednym z tenorów, żeby ją zabrał na bal. A on - o czym wiedziała cała szkoła - miał totalnego bzika na punkcie Luke'a Strikera. Przez cały czas, kiedy tańczyli, partner Karen Sue gapił się tęsknie w rozporek spodni smokingu Luke'a.

To było nawet trochę śmieszne.

I, w zasadzie, najlepiej bawiłam się wtedy, kiedy sobie żartowaliśmy z Wiosennego Szaleństwa. Okazało się, że Luke jest w tym naprawdę niezły. Całą paczką siedzieliśmy przy jednym stole - ja, Luke, Trina, Steve, Znudzona Liz i jej partner (taki jeden z drużyny piłkarskiej, nawet nie pytajcie) i Twarda Brenda ze swoim partnerem, zadziwiająco sympatycznym, uprzejmym facetem o imieniu Lamar - i naśmiewaliśmy się z jedzenia i muzyki, a na koniec, ze wszystkich tam obecnych.

Tańce zaczęły się dopiero, kiedy zabrano talerze po kolacji. Wtedy tłum ruszył na parkiet... Włącznie ze mną i z Lukiem. Mówiłam Luke'owi, że poradzę sobie tylko z wolnymi kawałkami - nadal miałam objawy stresu pourazowego po tych wszystkich przeżyciach w

Bardach. Luke przyjął moje oświadczenie ze zrozumieniem.

Luke okazał się znakomitym tancerzem... Wielka niespodzianka, co? Był tak dobry, że niemal nadrabiał mój totalny brak tanecznych zdolności. Kolana zderzyły nam się zaledwie kilka razy i kopnęłam go chyba tylko raz.

Nie wiem, co myślał Luke, kiedy trzymał mnie przy sobie blisko podczas wszystkich tych naszych wspólnych wolnych tańców. Mogę wam tylko opowiedzieć, o czym ja sama myślałam.

Czy raczej o kim.

No cóż, nie o Luke'u.

Ja wiem! To naprawdę okropne z mojej strony. Muszę być najbardziej niewdzięczną dziewczyną pod słońcem. No bo jestem tam w towarzystwie tego świetnego - naprawdę doskonałego - partnera na Wiosenne Szaleństwo, faceta, który bardzo się starał, żebym się bawiła jak najlepiej, a ja nie mogłam przestać myśleć o kimś innym!

Żalotne, tyle wam powiem.

Ale nie tak żalotne, jak moja reakcja sekundę później, kiedy tuż za plecami Luke'a zobaczyłam znajomą postać w obcisłej, wydekoltowanej sukni w kolorze bladej brzoskwini.

Geri Lynn! A co ona robiła na Wiosennym Szaleństwie? Czy to możliwe, że znalazła sobie jakiegoś partnera tak szybko po zerwaniu ze Scottem?

Nie ma mowy. A przynajmniej, coś by do mnie na ten temat dotarło.

Co mogło oznaczać tylko jedno.

Zaczęłam się rozglądać. Musiał tam gdzieś być. No bo jeśli Geri tu przyszła...

Poczułam chichot Luke'a - wibrował gdzieś głęboko w jego klatce piersiowej.

- Wyluzuj, Jen - mruknął. - Ona przyszła sama. Udałam, że nie wiem, o czym mówi.

No bo co mogłam zrobić?

- Kto? - spytałam.

- Wiesz, o kim mówię - odparł Luke.

W „romantycznym” oświetleniu - a tak naprawdę były to tylko purpurowe lampiony na zwykłych żarówkach sali bankietowej i jedna wielka, błyszcząca kula - twarz Luke'a wyglądała niesłychanie pociągająco.

I chociaż w półmroku nie mogłabym stwierdzić, czy jego oczy są niebieskie, to widziałam, że wpatrywał się we mnie z lekko onieśmielającą dociekliwością.

- Przejrzałem cię, Jenny Greenley - powiedział. Spojrzałam na niego, mrużąc oczy.

- Nie rozumiem?

- Przejrzałem cię - powtórzył. - I nie tylko w tej sprawie. Całkowicie cię rozgryzłem.

To ty jesteś Annie, prawda?

O mało się nie zakrztusiłam.

- C - co?

- Jesteś autorką rubryki *Spytaj Annie* - wyjaśnił Luke. Zamrugałam. W głowie mi się nie mieściło, że w ogóle wiedział, co to jest *Spytaj Annie*.

I że poruszał ten temat teraz. Na Wiosennym Szaleństwie.

- Nie rób takiej zdziwionej miny! - dodał po chwili. - Wszyscy znają Annie. Annie mówi to. Annie mówi tamto. Jesteś, w sumie, nieoficjalnym szkolnym psychologiem.

Muszę przyznać, że ta opinia wywołała we mnie przyjemne mrowienie. Totalnie uwielbiałabym pracować jako szkolny psycholog. Gdybym nim była, najpierw zlikwidowałabym obowiązkowy doping przed szkolnymi meczami. No bo jak można oczekiwać, że ktoś będzie okazywał entuzjazm na myśl o zniszczeniu przeciwnika? To przecież takie niewłaściwe. Czy przeciwnik nie będzie czuł się podle, przegrywając? To główny powód, dla którego nigdy nie chodzę na mecze. Nie mogę patrzeć na twarze członków pokonanej drużyny. To po prostu smutne.

A druga rzecz, którą bym zniosła? Wiosenne Szaleństwo.

- Nie wiem, czemu to taki wielki sekret - przerwał moje rozmyślenia Luke.

Zrezygnowałam z udawania. On wiedział. Musiałam się z tym jakoś uporać.

- Och... - Wzruszyłam ramionami. - To proste. Gdyby ludzie wiedzieli, kim jest Annie, mogliby nie ufać, że zachowa neutralność.

- A ty myślisz, że taka jesteś? - spytał Luke. - Neutralna?

Kpił sobie ze mnie? Czy on nie wiedział, że jestem - a przynajmniej byłam - jedną z najbardziej neutralnych osób na tej planecie?

Na pewno ze mnie kpił.

A jednak - wcale nie.

- Bo ja wcale ostatnio nie zauważyłem, żebyś się zachowywała szczególnie neutralnie - ciągnął. - Wiesz, chodzi mi o tę sprawę z Carą...

- Cara potrzebowała mojej pomocy - przerwałam. Bo akurat to powinno być dla niego oczywiste.

- A sprawa z Bardami?

- Chór po prostu nie jest dla mnie - odparowałam.

- A Betty Ann? Kiedy zrujnowałaś maturzystom ich żart?

- Och, no cóż, to... - I wtedy opuściłam ręce, którymi obejmowałam go za szyję, i cofnęłam się o krok, żeby lepiej mu się przyjrzeć... Naprawdę przyjrzeć. - Hej, a skąd ty

wiesz o Betty Ann? - Zmrużyłam oczy. - Steve ci powiedział?

- Nie Steve - odparł Luke. - Już ci mówiłem, mam swoje źródła.

Muzyka przestała grać. Doktor Lewis i Soczysta Lucy, którzy byli - niestety - naszymi opiekunami na ten wieczór, wdrapali się na podium w odległym kącie sali. Dyrektor postukał w mikrofon ustawiony na skraju podwyższenia.

- Próba mikrofonu - powiedział. - Raz. Dwa. Trzy.

- Pozwól, że ci zadam pytanie. - Luke ujął mnie za rękę. -

I nie chcę neutralnej odpowiedzi. Zależy mi, żebyś szczerze powiedziała, co o tym myślisz.

- Hm, witam wszystkich obecnych na dorocznym Wiosennym Szaleństwie Liceum Clayton - odezwał się doktor Lewis do mikrofonu, odczytując tekst z kartki.

- Strzelaj - zachęciłam Luke'a.

- Dobra. Powiedzmy, że jest taki jeden facet. I tak się składa, że on się kocha w pewnej dziewczynie...

- Nie chcę wam przerywać zabawy - ciągnął doktor Lewis - więc przejdźmy do rzeczy. Zebrano głosy oddane na tegorocznego króla i królową Wiosennego Szaleństwa.

- .. .powiedzmy, że z jakiegoś powodu, nieważne z jakiego, ta dziewczyna zdecydowała się z nim zerwać - ciągnął Luke. - Jak długo, twoim zdaniem, on powinien odczekać, zanim może się zainteresować... kimś innym? I wiesz, nie ryzykować, że zostanie oskarżony o to? że próbuje się na tamtej zemścić?

- Nie wiem - odparłam. Co ten Luke wygadywał? O kim mówił? Kogo ostatnio rzuciła dziewczyna? Nikt znajomy nie przychodził mi na myśl.

A potem nagle ręce - włącznie z tą, którą ścisnął Luke - zaczęły mi się pocić. Geri Lynn, jak widziałam, zauważyła nas. Pomachała wesoło ręką. Scotta zdecydowanie z nią nie było. Może bawił się w innej części sali...

Czy to o nim mówił Luke? O Scotcie? Scotta niedawno rzuciła dziewczyna...

Na pewno właśnie o to mu chodziło. O Scotta. Scotta Bennetta. Scott poprosił Luke'a, żeby mnie zapytał, ile czasu powinien odczekać, zanim zacznie się umawiać z tą tajemniczą dziewczyną, która mu się podoba... Oczywiście, że tak! Przecież nie mógł zapytać Annie. Bo wiedziałabym, że chodzi o niego.

- Jak wiecie - ciągnął monotonnym tonem doktor Lewis - w stołówce szkolnej przez cały tydzień stała specjalna skrzynka, gdzie można było wrzucać kartki z głosami na króla i królową Wiosennego Szaleństwa. No cóż, głosy przeliczono i mam zaszczyć oznajmić nazwiska zwycięzców!

- Nie zwycięzców - przerwała mu pospiesznie Soczysta Lucy. - Wszyscy obecni są zwycięzcami. Doktor Lewis chciał ogłosić nazwiska naszego króla i królowej Wiosennego Szaleństwa.

- Tak - powiedział doktor Lewis. - Dokładnie to miałem na myśli. A królem i królową Wiosennego Szaleństwa Liceum Clayton... Ojej. No cóż, to trochę niespodziewane. Otóż, jednym z, eee, członków naszej królewskiej pary jest niezupełnie... To znaczy, osoba nie będąca uczniem Liceum Clayton...

- Moim zdaniem - zwróciłam się do Luke'a, kiedy w naszą stronę kierowała się Geri Lynn - on powinien odczekać.

I to naprawdę, naprawdę długo. Po co się spieszyć. Rozumiesz, może być i tak, że za rogiem czeka ta jedyna dziewczyna. Jest może nawet bliżej, niż jemu się wydaje. Ale on powinien zaczekać, aż będzie totalnie pewien, że ją znalazł...

- Miałem nadzieję, że to właśnie powiesz - powiedział Luke.

A potem puścił moją dłoń, obrócił się i porwał Geri Lynn w ramiona.

- Cześć, kochanie - powiedział do niej. I pocałował Geri.

Prosto w usta.

Inie przestał jej całować nawet wtedy, kiedy doktor Lewis powiedział do mikrofonu:

- Och, a co mi tam. Z radością nadam mu tytuł Honorowego Koguta. W tym roku królem i królową Wiosennego Szaleństwa Liceum Clayton są... Luke Striker i Jenny Greenley!

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

ja go kocham. On nie ma pojęcia o moim istnieniu.

Co teraz robić?

Zrozpaczona

Droga Zrozpaczona,

kiedy już coś wymyślisz, daj mi znać?

Bo ja nie mam zielonego pojęcia.

Annie

Rzecz w tym - powiedział Luke w czasie naszego wspólnego tańca w świetle reflektora punktowego (nieodzwonej części, jak się potem okazało, naszej ceremonii koronacyjnej) - że po odejściu Angelique byłem tak pewien, że się już nigdy nie zakocham. A potem spotkałem Geri Lynn i... Sam nie wiem. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Przysięgam. To się rozwijało powoli i stopniowo.

Jasne. Powoli i stopniowo w czasie niecałych dwóch tygodni - z których większość spędził w Los Angeles.

- Wiem, że bardzo się różnimy - ciągnął prawdopodobnie jedyny król Wiosennego Szaleństwa w historii Liceum Clayton, który przez cały taniec rozmawiał z królową, zamiast się z nią obściskować, jak każdy normalny facet. - Ona chce przecież zostać reporterką. A ty wiesz, jak ja nienawidzę dziennikarzy. Ale niektóre rzeczy, jakie napisała w tym swoim felietonie, no wiesz, tym na polecenie Scotta do kolumny *Za i przeciw*, dały mi do myślenia. Ona nie jest taka jak inne dziewczyny, rozumiesz? Nie obawia się mówić tego, co myśli.

No, to rzeczywiście była prawda.

- Przyznaję, sławni ludzie potrzebują mediów. I, oczywiście, media potrzebują nas. To symbiotyczny związek, nad którym wcześniej wiele się nie zastanawiałem. Ale Geri zmusiła mnie do zastanowienia - wyjaśniał Luke. - To właśnie w niej najbardziej lubię. Ze mnie zmusza do myślenia, wiesz? Kiedy dała mi swój numer telefonu, tamtego dnia przy myciu samochodów, nie miałem zamiaru do niej dzwonić. Ale potem... Pomyślałem, że w mojej willi byłem dla ciebie trochę surowy. No więc zadzwoniłem do Geri i poprosiłem ją, żeby miała na ciebie oko... Żeby po prostu dała mi znać, jeśli uzna, że nie radzisz sobie z reporterami, czy w ogóle. Stwierdziłem, że jeśli ktokolwiek zorientuje się, że za bardzo ci dokuczają, to właśnie ona. Zacząłem do niej dzwonić ze dwa razy dziennie, po prostu, żeby wiedzieć, co się z tobą dzieje... I bardzo prędko się okazało, że, no wiesz, przechodzimy od rozmowy o tobie... do rozmowy o niej... o mnie i o niej... Wiesz, jak to bywa.

Och, zdecydowanie wiem. Geri Lynn jest wybitną specjalistką od sprzątania mi chłopaków sprzed nosa.

Nie. To niesprawiedliwe. Luke'a nigdy nie chciałam.

I cieszyłam się, że jest szczęśliwy. Naprawdę. Razem z Geri Lynn tworzyli przyjemną parę. On był świetny, ona też. Geri wyjeżdżała na studia do Los Angeles, gdzie Luke przecież mieszkał.

Fakt, Geri zamierzała specjalizować się w dziennikarstwie, a Luke akurat za dziennikarzami nie przepadał. Ale Geri wcale też nie przepadała za tymi „teatralnymi typkami”. Więc może byli sobie wari.

Nieważne. Po co im moje błogosławieństwo?

- Rzecz w tym, że jesteś taka niesamowita - głądził dalej Luke, a sztuczne diamenty w jego koronie króla Wiosennego Szaleństwa mrugały w świetle reflektorów. - Naprawdę niesamowita. To, czego dokonałaś w szkole, zaledwie w tydzień... To niewiarygodne. Geri uważa, że powinnaś kandydować w przyszłym roku na przewodniczącą samorządu szkolnego. Zgadzasz się z nią całkowicie.

- No nie wiem... - mruknęłam z ociąganiem. - Wcale się nie interesuję polityką.

- No to się zainteresuj - doradził Luke. - Bo jesteś urodzonym politykiem. A przynajmniej obiecuj mi, że się nad tym zastanowisz.

- Tak - powiedziałam, głównie po to, żeby się ode mnie odczepił. - Dobra, załatwione. A co do rubryki *Spytaj Annie*. Sam się tego domyśliłeś? Czy Geri jakoś się dowiedziała. - Hm, na przykład od Scotta? - i tobie powtórzyła?

- Sam się domyśliłem - wyznał Luke. - I nie martw się. Ja jej nie powiem. Tak samo, jak nie powiem jej o tej drugiej sprawie.

- Jakiej drugiej sprawie? - zapytałam, w najmniejszym stopniu nie spodziewając się tego, co za chwilę miałam usłyszeć.

- No wiesz, że się kochasz w jej byłym chłopaku. Dobrze, że nasz taniec w świetle reflektora właśnie wtedy się skończył, inaczej wszyscy na Wiosennym Szaleństwie Liceum Clayton mogliby sobie dokładnie obejrzeć moje migdałki. Bo jestem pewna, że aż tak mocno opadła mi szczęka na słowa „kochasz się w jej byłym chłopaku”.

- Nieprawda. - Stałam tam i plotłam trzy po trzy. - Z całą pewnością nie jestem... zakochana... w... Scotcie Bennecie.

- Dlaczego sama nie skorzystasz z własnej rady, Jen? - spytał Luke, kiedy na parkiecie dołączyło do nas mnóstwo innych par. - Dlaczego nie powiesz mu, co czujesz?

- T - to była moja rada dla ciebie - wymamrotałam. - To znaczy, dla Scotta. To znaczy... Och, już sama nie wiem, co chciałam powiedzieć.

- No cóż... - odparł Luke, kiedy nagle u jego boku pojawiła się rozpromieniona Geri Lynn. - Ja też nie wiem, co chciałaś powiedzieć. Ale jedną rzecz wiem.

- Tak? - Popatrzyłam na niego zaintrygowana.

- Ze na zewnątrz czeka limuzyna, która zawiezie cię, dokądkolwiek zechcesz.

- Aha - mruknęłam tylko, bo ta informacja nie była mi do niczego potrzebna. - Dzięki.

Potem Luke odszedł na bok złożyć kilka autografów, bo jakieś osoby podeszły ze swoimi programami Wiosennego Szaleństwa i błagalnymi minami.

- Słuchaj, naprawdę nie masz pretensji? - zapytała mnie Geri, kiedy zostałyśmy same.

- To znaczy, o Luke'a i o mnie?

- Och Boże, skąd - powiedziałam zupełnie szczerze. - Mówiłam ci, że łączy nas przyjaźń. Nic więcej.

- Och, Jen - Geri, ścisnęła mnie za rękę. - Nic z tego by się nie wydarzyło bez ciebie. Jestem taka szczęśliwa! Nie wiem, jak mam ci dziękować. Luke ma rację, jesteś naprawdę niezwykła.

Tak. Rzeczywiście. To dlatego chłopak, z którym byłam umówiona na Wiosenne Szaleństwo, mnie zostawił.

Powiedziałam Geri (jeszcze raz), że bardzo się cieszę z jej szczęścia i podryfowałam do naszego stolika, gdzie Steve masował stopy Trinie. Najwyraźniej można dostać odcisków w czasie wieczoru Wiosennego Szaleństwa, nawet jeśli twoje nowe buty to tenisówki.

- Geri Lynn to straszna świnią. - Tak brzmiały radosne słowa, którymi mnie przywitała Trina. - Żeby odbijać ci faceta. I to na twoich oczach!

- Wyluzuj, Trina - powiedziałam. - Ja nie mam nic przeciwko. Luke i ja jesteśmy...

- Tylko przyjaciółmi - dokończyli jak echo Trina, Steve, Znudzona Liz, Twarda Brenda i ich faceci.

- Bo to prawda - zawołałam trochę obronnym tonem. Czemu nikt nie chciał mi uwierzyć?

- To Wiosenne Szaleństwo jest beznadziejne - zauważyła Trina sekundę później. - Żałuję, że w ogóle tu przyszliśmy. Trzeba było iść na imprezę do Kwanga. Na pewno bawią się znacznie lepiej niż my.

I nagle mnie olśniło.

Przypomniałam sobie, co powiedział Luke o limuzynie.

- A czemu nie? - zapytałam, a serce trochę nieprzyjemnie tłukło się mi pod bukietem kwiatów od Luke'a. - Możemy się przenieść do Kwanga. Jest wcześnie. Dopiero dziesiąta. Impreza pewnie dopiero się zaczęła.

- Słyszałam, że ma zrobić ognisko - wtrąciła Znudzona Liz z wyraźnie coraz mniej znudzoną miną.

~ I pokaz nielegalnych fajerwerków - dodała z zadowoleniem Twarda Brenda.

- No to jedźmy - stwierdziłam. - Luke powiedział, że możemy wziąć limuzynę.

Trina zamrugnęła.

- Poważnie?

- Jasne - odparłam. - Po co mu limuzyna? Ma przecież harleya.

- Więc czas się zbierać - oznajmił Steve, stawiając stopę Triny na ziemi.

Nie zawracaliśmy sobie głowy żegnaniem się z Lukiem i Geri. Byli zbyt zajęci obściskiwaniem się na parkiecie, żeby im przerywać. Doktor Lewis zerkał na nich z niepewną miną.

Oczywiście, niewiele mógł poradzić. Geri skończyła osiemnaście lat, prawnie była dorosła. Jeśli ona i Luke mieliby ochotę wynająć później pokój hotelowy na górze - kto by im zabronił?

Ale i tak założyłabym się, że Soczysta Lucy by próbowała.

Pomyślałam z przygnębieniem o jutrzejszych nagłówkach gazet. No wiecie, kiedy prasa odkryje, że Luke mnie rzucił dla innej dziewczyny.

A może spojrzę na to pod innym kątem. Ze to ja rzuciłam Luke'a w czasie Wiosennego Szaleństwa, żeby pojechać na konkurencyjną imprezę. Nigdy nic nie wiadomo. I tak też mogło być.

Kierowca limuzyny podjechał pod dom Kwanga - wielką białą wiejską budowlę daleko za miastem, z ogromną stodołą, polami kukurydzy, własnym laskiem i strumieniem, który płynął przez posiadłość... Idealne miejsce na głośne imprezy z ogniskiem i nielegalnymi fajerkami.

- Naprawdę właśnie tu chcieliście przyjechać? - spytał sceptycznie.

Naszą jedyną odpowiedzią było entuzjastyczne:

- Tak, dzięki!

Potem wygramoliliśmy się z samochodu i pobiegliśmy w kierunku odległego odbłasku ogniska.

Wszyscy tam byli. To znaczy wszyscy ci, którzy nie brali udziału w Wiosennym Szaleństwie. Długie drewniane stoły uginały się pod stosami chipsów i napojów gazowanych, a sprzęt grający podłączony do dwóch olbrzymich głośników dudnił na całą okolicę.

Kwang siedział przy buzującym ognisku z kijkiem w ręku. Na końcu kijka miał nadzianą piankę żelową. Obok Kwanga siedziała Cara Schlosburg. Na kolanach trzymała otwartą paczkę krakersów i kilka nadgryzionych batonów czekoladowych. Kiedy podeszliśmy, oboje zachichotali nerwowo.

A jeśli cienka nitka lepkiej pianki, która ciągnęła się od usta Kwanga do ust Cary, mogła o czymś świadczyć, to wiedziałam, że czują się winni niezupełnie z tego powodu, że nie przestrzegają swoich diet.

Ale wszyscy udaliśmy, że nic nie widzimy. Przynajmniej na razie. Zebraliśmy się wokół ogniska, domagając się własnych kijków i pianek, przekrzykując się na temat tego, co się działo na Wiosennym Szaleństwie. Historyjka o tym, jak zostałam wybrana królową Wiosennego Szaleństwa, sprawiła słuchaczom sporą frajdę. Usłyszałam znajomy śmiech, obróciłam się i...

... zobaczyłam Scotta, który siedział na kłodzie drewna po drugiej stronie ogniska.

Serce zaczęło mi wykonywać zaawansowane akrobacje. Nagle zaczęło mi brakować oddechu. To były dość wyraźne wskazówki.

Ale dopiero w tej chwili wreszcie zrozumiałam, co tak naprawdę wskazują.

Że byłam zakochana w Scotcie Bennecie. Ze kocham się w nim praktycznie przez całe życie. Nagle przed moimi oszołomionymi blaskiem ognia oczami przeleciały wszystkie te obrazy. Nazwisko Scotta nad moim na karcie bibliotecznego książki *Andromeda znaczy śmierć*. Scott wysiadający z samochodu na parking, kilka lat później, tego dnia, kiedy wyjeżdżaliśmy na obóz motywacyjny. Scott podnoszący mnie, żebym mogła dosięgnąć tamtej kłody. Scott sprawdzający, jak złamałam stronę z reklamami. Scott ganiający mnie wokół parkingu pod restauracją. Scott pomagający mi uratować Betty Ann...

I rozumiałam. Wreszcie rozumiałam. To, co Trina rozumiała przez cały czas. I, najwyraźniej, także Luke.

Do tego momentu nie miałam o tym pojęcia.

Ale teraz już rozumiałam.

Dlatego zrobiłam to, co potem zrobiłam. Obeszłam ognisko i usiadłam tuż obok Scotta, stanowczo ignorując mój galopujący puls, nagle płytki oddech i przede wszystkim dokuczliwe przecucie, że może być za późno. Znowu.

- Cześć - powiedziałam. Nawet nie wiem, jak zdołałam wykrztusić to słowo, ale jakoś się udało.

- Cześć - odparł Scott. - Czy to brylant Hope? Albo jakaś jego zadziwiająco dokładna replika?

- Co? - odezwałam się. A potem: - Aha - dodałam, podnosząc rękę i z zażenowaniem zdałam sobie sprawę z tego, że nadal mam na głowie koronę. Zdjęłam ją i odłożyłam na kłodę między nami. - Przepraszam. Jestem królową.

- Zawsze tak mi się wydawało - oświadczył z galanterią Scott. - Piankę?

Podał mi tę, którą ostrożnie opiekał.

- Jasne - odparłam i zdjęłam ją zręcznie z kijka. - Dzięki.

- A więc... - Scott wcisnął kolejną piankę na kijek i wsunął ją w płomień. - Wiosenne

Szaleństwo już się skończyło?

- Och, skąd - powiedziałam. - Nadal się bawią.

I nagle się przestraszyłam, że Scott mnie zapyta, gdzie się podział mój partner? I czy to rzeczywiście prawda, że Luke się kocha w kimś innym? A jeśli Geri jeszcze nie jest Scottowi obojętna?

- Nie bawiłaś się dobrze? - przerwał moje ponure rozmyślenia.

- Och, nie - odparłam bardziej swobodnie, niż się czułam. - Dobrze.

- A co się stało z Lukiem? No i proszę.

- Cóż... - zaczęłam powoli.

Ale okazało się, że wcale nie musiałam kończyć. Bo Scott powiedział:

- Ty wiesz, prawda? O Geri?

Pianka wyslizgnęła mi się z ręki i wylądowała na ziemi jako kupka rozklapiałej słodyczy.

- To ty wiesz? - Głos mi się załamał. Scott popatrzyła na piankę.

- Tak. Geri mi powiedziała.

- Kiedy? - Wczoraj. Wczoraj?

- Dlaczego mi nic o tym nie wspomniałaś?

- Próbowałam. W samochodzie, pamiętasz? A więc o tym chciał rozmawiać?

- Chyba powinienem wyrażać się jaśniej. Ale... - Scott podał mi drugą piankę, idealnie zezłoconą z zewnątrz. - Pomyślałem sobie... No cóż, że może będzie ci przykro.

Drugą piankę też upuściłam.

- Przykro? Ze względu na Luke'a i Geri?. - Gapiłam się na niego. - A dlaczego to miało mi sprawić przykrość?

Zrobił zdziwioną minę.

- No, dlatego...

- O mój Boże - zawołała Trina, opadając na kłodę po mojej drugiej stronie. - Widzieliście tę nitkę pianki między Carą a Kwangiem? Gadaj, Scott. Czy oni się całowali, zanim tu przyszliśmy?

- Nic nie wiem - rzucił Scott.

Kiedy znów na niego spojrzałam, patrzył na mnie, nie na Trinę. Chciałabym móc powiedzieć, że patrzył znacząco, ale blask rzucany przez ognisko pogrążał jego oczy w mroku.

Mimo to przysięgam, że wpatrywał się we mnie tak, że przez chwilę myślałam...

No cóż, prawie myślałam, że może to ja jestem tą tajemniczą dziewczyną, w której się

podobno kocha. I że, wiecie, nie powiedział mi nic, bo...

- A mnie się wydaje, że się całowali - ciągnęła Trina. - I to z pełnymi ustami. Przykro mi, ale gdyby Steve kiedykolwiek próbował mnie pocałować ustami pełnymi jedzenia, to z miejsca powiedziałabym mu: spadaj, pacanie. Mimo że jest moją bratnią duszą.

- Jen - zwrócił się nagle do mnie Scott. - Może chcesz pójść na spacer?

Trina spojrzała na niego, jakby zwariował.

- Nie idźcie na spacer teraz - powiedziała. - Zaraz się zaczną fajerwerki.

Ale jeśli ktokolwiek myśli, że miałam zamiar zrezygnować ze spaceru ze Scottem dla nielegalnego pokazu fajerwerków. .. No cóż, to chyba całkiem zgłupiał.

- Jasne. - Jakimś cudem powiedziałam to zwykłym tonem, chociaż serce miałam w gardle. - Chętnie się przejdę.

Spytaj ANNIE

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

ja go naprawdę kocham. I strasznie potrzebuje Twojej pomocy. Czy mam zrobić pierwszy krok? A może wyjdę wtedy na dziwkę? Ale jeśli będę czekała, aż on sam zrobi pierwszy krok, to jakaś dziewczyna może mi go sprzątnąć sprzed nosa. Ale nie chcę za bardzo nalegać, bo zawsze mówisz, że to ich zniechęca. Co mam robić?????

Zrozpaczona

Droga Zrozpaczona,

nie wiem!!!! Sama usiłuję wymyślić, co począć w takiej sytuacji.

Annie

Scott nie odszedł zbyt daleko. Oddalił się tylko tak, żeby nikt nie mógł podsłuchać naszej rozmowy. Nadal słyszałam muzykę - chociaż teraz cykanie Świerszczy w trawie było głośniejsze niż tony wokalisty jakiegoś zespołu. Nadal widziałam ludzi stojących wokół ogniska, ale nie widziałam już ich twarzy. Szliśmy w stronę małego lasu w pobliżu stodoły Kwanga. Zagajnika, przez który przepływał strumień.

Zabawne, że Scott i ja wiecznie razem trafiamy do lasu.

- Gdyby znane nam społeczeństwo uległo zagładzie, a ja musiałbym je odbudować - zaczął Scott, zrywając kwiatek nazywany koronką królowej Anny - nie dopuściłbym do swojej cywilizacji żadnych aktorów.

Uśmiechnęłam się lekko na te słowa mimo dzikiego bicia serca.

- Ach, tak? - powiedziałam. - A co z dziennikarzami?

- Och, dziennikarzy wpuszczę - oznajmił Scott, oplatając sobie koronkę królowej Anny na palcu. Kwiatek wyglądał teraz jak maleńka parasolka. - Bo musi być ktoś, kto zarejestruje zdarzenia dla potomności. Żeby przyszłe społeczeństwo nie popełniało błędów przodków.

Nawet w nikłym odblasku odległego ogniska widziałam, jak palcami wolnej dłoni sięga do maleńkiego purpurowego serca z płatków w środku trzymanego kwiatka.

Od razu przypomniało mi się pewne popołudnie w czasie wyjazdu motywacyjnego. Pan Shea opowiadał nam o starym przesądzie, że jeśli się wyrwie purpurowe serce z koronki królowej Anny, to ona umiera, bo małe purpurowe płatki to jej serce.

Więc nawet się nie zastanawiając nad tym, co mówię czy robię, powiedziałam:

- Nie, zostaw, zabijesz ją, Scott.

Potem wyciągnęłam rękę, żeby go powstrzymać...

I wtedy, zanim się zorientowałam, Scott wypuścił koronkę królowej Anny. A jego dłonie ujmowały moją twarz. A on mnie całował, jakby nigdy nie miał zamiaru przestać.

A ja oddawałam pocałunki.

I wcale sobie tego tylko nie wyobrażałam, bo przecież nie mogłabym sobie wyobrazić takich szczegółów, jak to, że dłonie Scotta pachniały piankami żelowymi i koronką królowej Anny... I że były takie szorstkie na moich policzkach, chociaż przecież trzymały mnie tak delikatnie... I tego, jak smakowały jego usta, najpierw jak cukierek, potem już zupełnie nie jak cukierek... I jakie były w dotyku, najpierw bardzo miękkie, potem już wcale nie takie

miękkie...

A jego dłonie już nie obejmowały mojej twarzy, tylko przesunęły się na talię i pociągnęły mnie do siebie, aż poczułam jego ciepłą skórę. Objęłam go ramionami za szyję, a kwiatki do sukni, które dostałam od Luke'a zgmiotły się o pierś Scotta...

.. a szpilka, którą były przypięte, wbiła mi się w dekolt.

- Au - krzyknęłam, puściłam Scotta i odsunęłam się o krok.

- Co? - Scott miał nieprzytomny wzrok. - Co się stało?

- Nic - wyszeptałam. Bo nic złego się nie stało. Po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że absolutnie wszystko jest absolutnie w jak najlepszym porządku. - Tylko że...

- Och, przepraszam! - powiedział Scott. Chociaż jego głos wcale nie brzmiał, jakby mu było przykro. - Ale musiałem to zrobić, Jen... bo... bo wiem, że pewnie już nigdy nie będę miał drugiej szansy.

Odpięłam kwiaty Luke'a od sukienki i upuściłam je w wysoką, ciemną trawę.

- Co ty wygadujesz? - spytałam.

- Wiem, że mówiłaś, że jesteśmy tylko przyjaciółmi - powiedział Scott. Facet, który przed chwilą odwalił taki kawał porządnego całowania, miał zdecydowanie za smutny głos. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że mu te pocałunki gorliwie oddawałam. - Ale... No cóż, nie jestem głupi. To w końcu Luke Striker, Jen.

- Co... to... ma wspólnego z Lukiem? - spytałam, szczerze zaskoczona, i z jego przejętej miny wywnioskowałam, że dzieje się coś, co mnie również powinno zaniepokoić.

- Ja tylko mówię... - dodał Scott, zupełnie jakby mnie w ogóle nie słyszał. Nie patrzył na mnie. Utkwił wzrok w odległym ognisku. - Mówię, że kiedy cię znów spotkałem, to znaczy na tym wyjeździe motywacyjnym w zeszłe wakacje, pomyślałem sobie, że jesteś... No cóż, naprawdę fajna. Ale nie umiałem stwierdzić, czy ty czujesz to samo do mnie. Jasne, byłaś bardzo miła. Ale ty zawsze byłaś miła. Dla wszystkich...

Gdyby mi wbił nóż w serce, nie mogłoby mnie to bardziej zboleć. „Miła mała Jenny Greenley, przyjaciółka całego świata”...

- Naprawdę trudno było się zorientować, jak to z tobą jest - ciągnął Scott szybko i cicho, jakby usiłował to wszystko z siebie wyrzucić, zanim zmieni zdanie. - Czy mnie lubisz jakoś inaczej, czy tak jak wszystkich. A potem Geri powiedziała mi, że ty się ogóle nie umawiasz na randki...

O mój Boże. Słowo, Geri już nie żyje. - ...no a ja doszedłem po prostu do wniosku, że cóż, nie było mi przeznaczone. A Geri naprawdę okazywała mi tyle współczucia i jakoś tak jedno poprowadziło do drugiego, i... Normalnie totalnie nie żyje. - No wiesz. Och jasne!

- No więc zdecydowałem... Ale to było jakby... - Scott przecesał włosy gestem całkiem podobnym do gestów Luke'a. - Nie mogłem tak naprawdę wybić sobie ciebie z głowy. A im więcej czasu z tobą spędzałem, no wiesz, przy obiedzie i na zebraniach „Gazety”, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że to z tobą chcę być, i że Geri i ja... Po prostu do siebie nie pasowaliśmy. No dobra, może jej daruję życie. Ale tylko może. Scott wreszcie znów obrócił się do mnie. Jego oczy były nieodgadnione w ciemności.

- Ale wtedy pojawił się Luke. - powiedział.

- Tak? - Nadał nie rozumiałam, co Luke ma z tym wspólnego. - I co?

- I... no... to przecież Luke Striker, Jen. - No to co?

- Oj, daj spokój, Jen? Przecież to ty zgodziłaś się iść z nim na Wiosenne Szaleństwo!

- Tak - mruknęłam przeciągle.

I wtedy powoli... bardzo powoli... zaczęło mi świtać, co Scott usiłuje mi przekazać.

Nagle tak wiele rzeczy, których wcześniej nie rozumiałam, zaczęło się składać w całość. Jak to, że w samochodzie Scott podał mi chusteczki higieniczne zamiast mnie pocałować. To wcale nie znaczyło, że mu się nie podobałam.

Och, nie. Zrobił tak, bo myślał, że ja się kocham w Luke'u Strikerze.

Sądził, że jestem zajęta.

A wtedy przed domem chciał zapytać, czy jestem zakochana w Luke'u Strikerze.

I nagle poczułam się tak, mimo że była przecież ciemna noc - i mówiąc szczerze, trochę marzłam w szyfonowej sukience - jakby zabłysło słońce.

Poważnie. Jakby weszło słońce i oblało mnie ciepłem swoich promieni.

- Poszłam z Lukiem na Wiosenne Szaleństwo - wyjaśniłam, oszołomiona pełnym napięciem spojrzeniem Scotta - bo mnie o to poprosił. Nie dlatego, że się w nim kocham. W gruncie rzeczy jestem chyba jedyną dziewczyną w mieście, która się w nim nie kocha. I nigdy się nie kochała.

- Naprawdę? - Scott złapał mnie za rękę, potem ją przytrzymał, nie za mocno, ale też wcale nie tak, jakby planował ją szybko wypuścić. - Więc tobie to nie przeszkadza, że on... i Geri? Ty nie... Ty się nigdy...?

- Oczywiście, że nie. - Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Czułam się jak w filmie. Słońce świeciło, ptaszki ćwierkały. Pomyślałam, że za chwilę zobaczę tęczę, a w tle pojawi się chór rewiowy śpiewający *Day by day*. - Nigdy się nie kochałam w Luke'u...

A potem - zadziwiająco - po prostu powiedziałam prawdę. Tak lekko, jakbyśmy rozmawiali o książkach...

- .. kochałam się w tobie, Scott.

No i zawisło między nami to słowo na K.

Jakby nigdy nic.

Trochę żałowałam, że nie mogę go schwycić i wepchnąć sobie z powrotem do ust...

.. .ale Scott ścisnął moją dłoń jeszcze mocniej. Teraz już zdecydowanie, tak jakby w ogóle nie zamierzał jej wypuszczać z uścisku.

- Czy ty właśnie powiedziałaś, że mnie kochasz? - spytał z wyraźnym niedowierzaniem.

No cóż, co miałam zrobić? Stało się przecież. Tak, powiedziałam to. Nie mogłam tego teraz cofnąć.

I wiecie co? Nagle wcale nie miałam na to ochoty.

- Tak mniej więcej od piątej klasy podstawówki - wyjaśniłam. Wiedziałam, że plotę głupstwa, ale nic mnie to nie obchodziło. - To dlatego nigdy się z nikim nie umawiałam. Potem wyjechałeś. Ale wróciłeś, a ja...

Nie udało mi się już wiele dodać. Scott chwycił mnie w ramiona i przyciągnął do siebie.

I znów zaczął mnie całować.

A ja go nie powstrzymywałam.

Całowaliśmy się przez cały pokaz fajerwerków. Nawet nie zauważyliśmy, że był jakiś pokaz fajerwerków...

.. .chyba dlatego, że sami mieliśmy własne fajerwerki.

A kiedy objęci wróciliśmy do ogniska, Trina podbiegła do nas, wołając:

- A gdzie wy byliście? Ominęły was wszystkie... Hej! Co... ? - I wtedy oczy jej się rozszerzyły. - O rany!

Wreszcie zauważyła obejmujące mnie ramię Scotta. A może dostrzegła na mojej twarzy rozanielony uśmiech. Przynajmniej tak mi potem mówiła, że wyglądałam na rozanieloną... Nawet z tą koronką królowej Anny w opasce zamiast niezapominajek.

Ale wy też pewnie mielibyście rozanielone miny, gdyby osoba, w której się kochaliście od piątej klasy podstawówki, powiedziała wam właśnie, że też was kocha.

Scott zgadza się z Lukiem i Geri, że powinnam w przyszłym roku kandydować do funkcji przewodniczącej samorządu szkolnego. Mówi, że jeśli trzeba, to dostarczy wszelkie ciastka, babeczki i słodczyce na moją kampanię wyborczą.

I chociaż ja nigdy nie przepuszczam okazji, żeby spróbować czegoś, co ugotuje Scott, moim zdaniem funkcja przewodniczącej samorządu szkolnego to jednak trochę za mało.

A czemu nie Biały Dom?

Przecież jestem wybitną specjalistką od relacji międzyludzkich.

W całym Los Angeles mówi się o

Luke'u Strikerze, którego widziano wczoraj na Rodeo Drive na spacerze z jego obecną stałą przyjaciółką, studentką pierwszego roku uniwersytetu stanowego Geri Lynn Packard. Młoda gwiazda kina miała bandaż na prawym bicepsie. Mówi się, że Striker przechodzi ostatni etap usuwania tatuażu, który mu pozostał po zeszłorocznym romansie z gwiazdą z planu *Lancelota i Ginewry*, Angelique Tremaine...

Na ekranach...

Zobaczcie Luke'a Strikera w US 30... Czy maturzysta zdoła uratować miasteczko w Indianie przed atakiem terrorystów, a przy okazji zdobyć serce ukochanej dziewczyny? Krytycy filmowi wysoko oceniają występ Strikera i wróżą US 30 duży sukces.

Jedną z ról głównych gra Lindsay Lohan jako Jenny Green.

Spytaj Annie

Pytaj Annie nawet o najbardziej skomplikowane sprawy dotyczące relacji międzyludzkich. No dalej, śmiało! Każdy list do Annie może zostać opublikowany w „Gazecie Liceum Clayton”. Gwarantujemy poufność nazwisk i adresów e - mailowych.

Droga Annie,

okay. Poszłam za Twoją radą i mu powiedziałam.

I wiesz co? On też mnie kocha!

No więc... Co teraz?

Już Nie Zrozpaczona

Droga Już Nie Zrozpaczona,

teraz macie żyć długo i szczęśliwie.

Annie

Podziękowania

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki, a zwłaszcza Beth Ader, Jennifer Brown, Billowi Contardiemu, Michele Jaffe, Laurze Langlie i Abigail McAden oraz radzie pedagogicznej i uczniom Bloomington High School South z lat 1981 - 1985. Autorka przysięga, że żadna z postaci przedstawionych w tej książce nie była wzorowana na nich.

